NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 2

JÓZEF WINIEWICZ

EMIL ZASŁAWSKI

ZYGMUNT HAUPT

ANTONI SŁONIMSKI

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

KSAWERY PRUSZYŃSKI

STEFAN THEMERSON

PORUCZNIK HERBERT

ZBIGNIEW JORDAN

LONDYN
LUTY
1945

1/6 & 2/6 Including Tax

Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne
Kolacje z tańcami
Kuchnia i ciastka domowe
Orkiestra kontynentalna
Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1
Tel. MAYfair 0826

VANEK zaleca klientom oswobodzonych krajów zaopatrzenie się w kostiumy, palta na spodzie futrzanym i t. d. z najlepszych angielskich materiałów. Wszelkiego rodzaju futra i reperacje. Na składzie są futra męskie.

VANEK
4, WILLIAM STREET,
KNIGHTSBRIDGE, S.W.1
a także w Bournemouth

WILDENSTEIN EXHIBITION

RECENT PAINTINGS AND DRAWINGS BY

FELIKS TOPOLSKI

February 21 until March 17 1945

DAILY 10—4
SATURDAYS 10—1

147 New Bond Street, W. 1
Telephone : MAYfair 0602/3

POLSKI KUŚNIERZ
dawniej Katowice
LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.
59 Knightsbridge, London S.W.1
Tel.: SLOane 3625

Wykonuje NOWE FUTRA i przeróbki z własnych i powierzonych materiałów.

UWAGA! Wyjątkowa 25%-towa zniżka cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 2

LONDYN LUTY 1945

JÓZEF WINIEWICZ

DLACZEGO I JAK TRZEBA ZMIENIĆ DOTYCHCZASOWĄ GRANICĘ POLSKI Z NIEMCAMI?

Traktat Wersalski miał dwa teksty. Pierwsza jego wersja, wręczona jako warunki pokoju delegacji niemieckiej w dniu 7 maja 1919 roku, przyznawała Polsce znacznie więcej terytorium, niż wersja druga, będąca dokumentem ostatecznym i uroczyście podpisanym 28 czerwca tegoż roku przez wszystkich zainteresowanych. W maju przyznano nam między innymi bez zastrzeżeń nieomal cały Śląsk Opolski, w czerwcu sprawę tę oddano już na pastwę plebiscytu.

Im spokojniej stawało się na świecie tym bardziej liczono się z Niemcami, niż z Polską. Przejawiało się to nie tylko w dwóch wersjach Traktatu Wersalskiego. Na początku 1919 roku rzeczoznawcy amerykańscy, brytyjscy i francuscy dawali nam — obok tego, co było na zachodzie polskim w 1939 roku — nie tylko Opolskie, ale także Gdańsk i dużą cześć Prus Wschodnich. Im więcej Berlin rozdzierał szat nad losem pokonanych Niemiec, tym gruntowniej zmieniano poprzednie decyzje na niekorzyść Polaków. Gdańsk oddano Lidze Narodów pod protekcję i wiemy czym to się skończyło; plebiscyt w Prusach Wschodnich miał być Salomonowym wyrokiem a skończył się krzywdą ludu mazurskiego, któremu okoliczności nie pozwoliły wypowiedzieć swobodnie co myśli o junkrach, pastorach i urzędnikach niemieckich, germanizujących go od wieków.

Polska rozstrzygnięcia niekorzystne dla niej przyjęła i była jednym z tych krajów, które najwierniej i najkonsekwentniej stały na straży wersalskich decyzyj. Rok 1939 pokazał, że Polska była nawet gotowa z bronią w ręku trwać przy niesprawiedliwym dla niej Traktacie. Niemniej natychmiast w dniu wybuchu obecnej wojny cała opinia polska wypowiedziała się za koniecznością rewizji dotychczasowej granicy polsko-niemieckiej. Jednomyślność wszystkich była zupełnie wyjątkowa, zapał zaś osiągnięcia tego celu równy tylko woli zachowania niepodległości. W końcu 1942 roku w okupowanej przez wroga Warszawie wydano drukiem książkę pt. „*Ziemie Powracające*". Jest to geograficzne, ekonomiczne i statystyczne studium terenów, które — zdaniem autorów — winny Polsce przypaść po tej wojnie. Przyświeca im dążenie do oparcia zachodniej granicy zasadniczo na Odrze, ale z objęciem na Śląsku terenów jeszcze szerszych. Wydawcy we wstępie książki zauważają:

„Wojna obecna, kończąc nasze tysiącletnie zmagania z Niemcami, winna dać nam w ręce punkty należne zwycięzcy; wracając na ziemie, na których wchodziliśmy w historię, winniśmy tam mieć zabezpieczone władanie. I to winno być przesłanką zasadniczą naszego programu granicy zachodniej... Powrót na macierzyste ziemie Polski — musi stać się mitem nowej Polski, dogmatem życia polskiego, wyzwalającym twórczą energię wchodzącego w życie pokolenia walki i heroizmu. Jest on bowiem bramą, która prowadzi nas z ciasnego podwórka małych spraw na drogi wielkości. Jest i czymś więcej: problemem — być albo nie być Polski".

Słowa te wyraźnie charakteryzują uczuciowe nastawienie naszych braci z podziemi krajowych do zagadnienia nowej granicy polsko-niemieckiej. Zastanówmy się nad argumentami rzeczowymi.

I.

Polska musi wystąpić o zmianę swej dotychczasowej granicy z Niemcami z szeregu względów; wszystkie one są istotne dla polskiej racji stanu.

Polskie postulaty winny brać zasadniczo pod uwagę następujące obszary:

a) Gdańsk,

b) Prusy Wschodnie, za wyjątkiem powiatów północno-wschodnich, do których zgłasza żądania Rosja,

c) rejencję Opole, za wyjątkiem południowej części pow. Racibórz (Ratibor), zachodniej części powiatu Głupczyce (Leobschütz) oraz węzła kolejowego Ziegenhals w powiecie Nissa (Neisse), które winny przypaść Czechosłowacji,

d) rejencję Wrocław, z miastem Wrocławiem, ale bez powiatów Kładzko (Glatz) i Bystrzyca (Habelschwerdt), które winny przypaść Czechosłowacji,

e) kilka powiatów nadodrzańskich z rejencji Lignica,

f) te powiaty rejencji Słubice (Frankfurt), które leżą po prawym brzegu rzeki Odry,

g) tę część Pomorza Szczecińskiego (Provinz Pommern), która leży po prawym brzegu rzeki Odry,

h) miasto Szczecin wraz z okolicą i powiatami Wkra (Ueckermünde) oraz Uznań-Wołyń (Usedom-Wollin), zabezpieczającymi ujście rzeki Odry.

Dokładne wytycznie granicy będzie wymagało oczywiście bardziej precyzyjnego sformułowania terytoriów, z wzięciem przede wszystkim pod uwagę zagadnienia węzłów komunikacyjnych, punktów ważnych dla elektryfikacji, istniejących między poszczególnymi powiatami powiązań gospodarczych, problemu urządzeń wodnych na Odrze itd.

Bardziej precyzyjne wniknięcie w te problemy może umniejszy nasze zainteresowanie jednym lub drugim odcinkiem terytorium dotychczas niemieckiego wzdłuż Odry. Może nawet trzeba będzie do rozważań jeden lub drugi teren jeszcze dołączyć. Zasadniczo jednak trzeba rozważać wymienione tu tereny w całości.

Argumenty, które przemawiają za przesunięciem granicy polsko-niemieckiej dadzą się streścić w dużym skrócie jak następuje:

1) Granica polsko-niemiecka winna być zmieniona ze względów strategicznych. Jest zbyt długa i geograficznie nielogiczna. Istnieje co prawda tendencja lekceważenia potrzeb bezpieczeństwa narodów mniejszych wobec postępu techniki wojennej, wymagającej rzeczywiście wielkich zasobów gospodarczych i odpowiedniego zaplecza dla obrony. Mniejsze państwa muszą jednak mieć granice strategicznie obronne z tych względów, aby mogły stawić czoło agresji, chociażby tylko przez okres potrzebny do uruchomienia aparatu zobowiązań międzynarodowych, gwarantujących zbiorowe bezpieczeństwo. Odnosi się to szczególnie do państw takich jak Polska, która dysponuje i dysponować będzie na swoim terenie surowcami dla podstawowych przemysłów zbrojeniowych oraz dużym rezerwuarem ludzi dla rekrutowania stosunkowo licznej armii. Demograficzne możliwości Polski wyraziły się dotąd szybszym i większym przyrostem

naturalnym, niż je miały i mają Niemcy. W czasie od 1800 do 1930 bezwzględna ilość ludności wzrosła:

w Europie	o	266 proc.
w Niemczech	o	243 proc.
w Polsce	o	350 proc.

Obecna wojna osłabiła prężność biologiczną Polski, w znacznie mniejszym stopniu, niż Niemiec. Przyrost naturalny jest w Polsce obecnie mniejszy, ale nie tyle na skutek spadku ilości urodzin, ile na skutek wzrostu śmiertelności. Ilość urodzeń jest nawet większa, niż była przed wojną.

Strategiczne względy wymagają przede wszystkim zniesienia enklawy Prus Wschodnich, odpowiedniego przestrzennego zabezpieczenia ośrodków polskiego przemysłu, na Śląsku i w widłach rzek Wisła — San, oraz odsunięcia granicy od polskich portów Gdyni i Gdańska. Prusy Wschodnie muszą więc być wcielone do Polski, a reszta granicy polsko-niemieckiej wydatnie przesunięta na zachód, skrócona i, o ile się da, wyprostowana.

2) Właściwa zmiana granicy polsko-niemieckiej jest wskazana i konieczna także ze względów gospodarczych. Nabytki terytorialne są jednym z najbardziej realnych odszkodowań, jakie Polska może otrzymać od Niemiec za ogrom wyrządzonych szkód państwu polskiemu i jego obywatelom. Polska szczególnie potrzebuje terenów kolonizacyjnych dla rozładowania jej rolniczego przeludnienia. Według szacunku polskich rzeczoznawców przeludnienie to już z uwzględnieniem (do końca 1944 roku) strat wojennych, wyraża się cyfrą 4.750.000 ludzi, dla których potrzeba ziemi na osadnictwo.

Zapas ziemi do parcelowania znajduje się na wyżej wymienionych terenach należących do najrzadziej zaludnionych w Niemczech (za wyjątkiem zachodniej części rejencji wrocławskiej) oraz mających olbrzymi odsetek wielkiej własności rolnej. Należy zaznaczyć, że rok rocznie nie tylko przed 1914, ale i przed 1939 na tereny te odbywała się stała i duża sezonowa emigracja robotników rolnych z centralnych i południowo-zachodnich okręgów rolniczych Polski. Polska domaga się więc terytoriów, które częściowo były i są uprawiane rolniczo rękami polskich robotników.

Aport przemysłowy niemieckiego Górnego Śląska wzmoże potencjał surowcowy naszego kraju i potencjał produkcyjny polskiego ciężkiego przemysłu. Aport przemysłowy okręgu przemysłowego Wrocławia może zasilić Polskę wieloma gałęziami przemysłu przetwórczego, którego rynki zbytu zawsze leżały na polskim zapleczu. Niemieckie sfery gospodarcze w okręgu wrocławskim i opolskim tę współzależność z Polską zawsze silnie akcentowały. Przede wszystkim one domagały się zawsze w pertraktacjach o polsko-niemieckie traktaty handlowe, swobody gospodarczej wymiany z Polską. Polska ma obowiązek ściągnięcia do okręgów przemysłowych Śląska ludności polskiej z zachodu i centrum Niemiec, która od dziesiątka lat pracę swą musiała oddawać na usługi przemysłu niemieckiego. Robotnik polski musi przestać pracować dla innych.

3) Bardzo ważkim przy problemie granicy polsko-niemieckiej zagadnieniem jest sprawa komunikacji, i to nie tylko kolejowej, ale i wodnej, śródlądowej. Długa i powyginana granica polsko-niemiecka przerywała system komunikacyjny w Polsce zwłaszcza na kierunku południowo-północnym, w którym ku morzu szło 64,4% polskiego importu i 80,6% polskiego eksportu. Centrum kraju nie posiadało bezpośrednich i krótkich połączeń kolejowych z Gdynią i Gdańskiem.*)

*) Przypominam znowu nieuwzględnioną, choć jednomyślną, uchwałę Komisji Cambona, która w czasie konferencji pokojowej w Paryżu rekomendowała danie Polsce Gdańska i terenu zabezpieczającego całość linii kolejowej Warszawa-Mława-Malbork (Marienburg)-Gdańsk; Polska otrzymałaby na mocy tej rekomendacji całą południowo-zachodnią część Prus Wschodnich. Ze względów komunikacyjnych komisja ta dawała Polsce także więcej terenów na zachodzie, niż obejmowała to granica z 1939 r. (kolej Piła-Chojnice).

Wisła traciła charakter wielkiej drogi wodnej śródlądowej wobec nienależenia portu gdańskiego do państwa polskiego. Wrzynająca się głęboko w polski okręg przemysłowy enklawa niemieckiego Śląska utrudniała połączenia kolejowe i wodne do morza. Klin niemieckiego Śląska rozrywał komunikację Polski i Czechosłowacji. Wszystkie ważne drogi komunikacyjne zachodnich województw polskich, o ile nie były przerwane granicą, były zbyt bliskim sąsiedztwem tej granicy zagrożone.

Te istniejące warunki może zmienić granica, która przede wszystkim rozszerzy dotychczas wąski dostęp Polski do morza. Warunki te będą mogły być zmienione w pełni tylko wtedy, o ile Polska posiadać będzie węzeł kolejowy wrocławski, mający decydujące znaczenie w komunikacji kolejowej między Polską a Czechosłowacją oraz między okręgami przemysłowymi tych dwóch krajów a portami w Gdyni, w Gdańsku i w Szczecinie. Warunki te mogą oczywiście poprawić się znakomicie, o ile Polska posiadać będzie jeszcze w całości na swoim terenie odcinek Odry od Raciborza po Szczecin wraz z ujściem tej rzeki do Bałtyku. Odra jest bowiem najtańszą i najkrótszą arterią wodną dla przemysłu śląskiego.

Potrzeby komunikacyjne Gdyni i Gdańska mają dla Polski jednak znaczenie naczelne. Szczecin — o ile stanie się Polski — będzie zawsze portem, leżącym zbyt blisko granicy, aby go uważać za strategicznie bezpieczny.

4) Za zmianą granicy polsko-niemieckiej przemawia i wzgląd etnograficzny. Wszystkie tu wymienione tereny należą jeszcze, lub do niedawna należały do obszaru językowego polskiego. Większość ludności południowej części Prus Wschodnich mówi do dziś po polsku. Polską jest nieomal cała rejencja opolska. Większość powiatów rejencji wrocławskiej jeszcze stosunkowo do niedawna była zaliczana w obręb zasięgu języka polskiego,*) szereg wschodnich powiatów tej rejencji jest zamieszkałych przez ludność polską do dziś dnia. Do chwili wybuchu wojny znaczne skupienia ludności polskiej były we wszystkich powiatach Brandenburgii i Pomorza Szczecińskiego, bezpośrednio przylegających do granicy polsko-niemieckiej.

W czasie obecnej wojny na wschodzie Niemiec, poza Śląskiem, znalazło się około 500.000 Polaków, wywiezionych tam na roboty przymusowe. Są wśród nich przedstawiciele inteligencji polskiej. W rejencji opolskiej znajdowały się komórki polskiego ruchu podziemnego. W mniejszym stopniu, ale działały one także na terenie Prus Wschodnich.

* * *

Zmiany dotychczasowej granicy Czechosłowacji na odcinku Śląska, o których wyżej wspomniano, są zgodne z opinią, którą wielokroć wypowiadali różni rzeczoznawcy czescy. Są one uzasadnione poprawą strategiczną granic Czechosłowacji (okręg Kładzka) względnie obecnością na terenach wyżej wymienionych powiatów skupień ludności pochodzenia morawskiego. W kilku wypadkach (n.p. Ziegenhals) za rektyfikacją granicy przemawiają ważne względy komunikacyjne. Polska powinna poprzeć te dążenia czeskie, gdyż są one zgodne z zasadniczą linią wytyczną polityki polskiej w tej wojnie, aby granica polsko-czechosłowacka została możliwie rozszerzona a współpraca polityczna obydwu narodów zacieśniona.

Jak wygląda charakterystyka tych obszarów?

---

*) Robert E. Dickinson, Reader in Geography — University College w Londynie, zwrócił na to uwagę w swej pracy opublikowanej w 1943 r.pt. „*The German Lebensraum*". Podnosi on, że w 1790 Wrocław mówił jeszcze po polsku, że Odra do dziś dnia stanowi granicę obszaru językowego polskiego i niemieckiego i że rej. opolska jest w całości polska.

Wolne Miasto Gdańsk ma obszar 1893 km. kw., na którym zamieszkiwało 416 tysięcy osób, przy średnim zagęszczeniu 220 ludzi na km. kw. Wielka gęstość średnia jest wynikiem istnienia na tym małym obszarze znacznych skupień miejskich z miastem Gdańskiem na czele (258.000 mieszkańców). Właściwe pojęcie o nasyceniu ludnościowym tego obszaru daje dopiero gęstość ludności wiejskiej. Wynosi ona dla całego terytorium średnio 47 ludzi na km. kw. Przyrost naturalny był bardzo niski.

Polaków, obywateli gdańskich, było — według danych gdańskich — 9,1% ogółu ludności. W rzeczywistości odsetek był większy i zapewne dochodził 20%. Pod względem wyznaniowym przeważali ewangelicy, gdy na katolików przypadało 30%. Z rolnictwa żyło 19% ludności. Najpoważniejszym źródłem utrzymania był przemysł, rękodzieło i budownictwo, które zapewniały byt 31% mieszkańców. 28% ludności było zatrudnionych w handlu, transporcie i przemyśle hotelarskim. Olbrzymi odsetek, bo blisko 10% stanowili emeryci, płatni przez Rzeszę. Z nich rekrutował się element ostro antypolski.

Na terenie Wolnego Miasta Gdańska dominowały w chwili wybuchu wojny średnie i duże gospodarstwa chłopskie. Przemysł terytorium gdańskiego — to prawie wyłącznie przemysł ulokowany w samym Gdańsku. Na pierwsze miejsce wysuwają się tu stocznie. Przemysł maszynowy w ostatnich czasach rozpoczął budowę maszyn rolniczych, dla których rynkiem zbytu miała być Polska. Przemysł spożywczy obejmował cukrownictwo, gorzelnictwo, wytwórnie konserw rybnych i przemysł czekoladowy. Konserwy rybne i czekolada były głównie przeznaczone dla Polski. Dwie rafinerie cukru przerabiały wyłącznie cukier polski, przeznaczony na eksport do Wielkiej Brytanii. W łączności z wielkim eksportem polskiego drzewa pozostawał przemysł drzewny.

Handel pozostawał w ścisłym związku z polskim zapleczem gospodarczym, jako rezultat faktu, że przez Gdańsk szło (r. 1938) 25% polskiego importu oraz 33% polskiego eksportu. Odsetki dotyczą obrotów w tonach. Odsetki wartości tych obrotów były niższe.

Prusy Wschodnie, bez anektowanego przez Niemców w marcu 1939 roku obszaru kłajpedskiego, obejmowały w 1939 r. 36.992 km. kw. i 2.488.122 ludności. Gęstość zaludnienia wynosiła 67,3 osób na km. kw. Była to gęstość zaludnienia nie tylko wiele mniejsza od gęstości zaludnienia Rzeszy (136,1 osób na km. kw.), ale i od średniego zaludnienia Polski (90 na km. kw.). Administracyjnie cała prowincja dzieliła się (cyfry z 1939) na następujące rejencje (Regierungsbezirk):

Królewiec (Königsberg)	..	13.147 km. kw.	—	1.059.085	ludności
Gąbin (Gumbinnen)	..	9.399 „	„ —	559,205	„
Olsztyn (Allenstein)	..	11.520 „	„ —	568,024	„
Kwidzyń (Marienwerder)	..	2.926 „	„ —	301,808	„

Przyrost naturalny ludności, chociaż przeciętnie wyższy od średniego przyrostu Rzeszy, nie dorównywał średniej Polski. Od 1843 r. całą prowincję cechował odpływ ludności na zachód, do Niemiec, co uwidoczniło się w znacznie wolniejszym wzroście zaludnienia, niż to wykazywały inne okręgi Rzeszy. Było to zjawisko dla polityki niemieckiej wybitnie groźne, gdyż pustoszał ludnościowo obszar, otoczony ze wszystkich stron terytorium polskim o bardzo dużej prężności ludnościowej. Rok rocznie Prusy Wschodnie musiały wchłaniać wielką rzeszę polskich robotników rolnych — sezonowych, aby uprawiać pola i sprzątać żniwa.

Prusy Wschodnie całe należały jeszcze stopięćdziesiąt lat temu do zasięgu języka polskiego. Jeszcze w połowie XIX w. była w Królewcu

szkoła polska.*) Proces germanizacji obraz ten zmienił. Ludność mówiąca po polsku, zamieszkuje dziś zwarcie tylko rejencję Olsztyn oraz niektóre powiaty rejencji Kwidzyń i pewne gminy rejencji Gąbin. Dokładnych odseek składu narodowościowego prowincji, która w północno-wschodniej części miała i ludność litewską, nie można ustalić wobec zupełnej niewiarygodności tendencyjnej statystyki niemieckiej. Pod względem wyznaniowym przeważa, także w polskich okręgach, ludność ewangelicka.

Rolnictwo jest głównym źródłem utrzymania mieszkańców wsi. Żyło z niego 42% ogółu ludności, wobec 20% dla całych Niemiec. Struktura zawodowa ludności Prus Wschodnich była prawie identyczna ze strukturą zawodową Polski. Prusy Wschodnie posiadają mimo dużego zalesienia, rozległych łąk i pastwisk oraz licznych jezior i bagien wysoki procent ziemi ornej, zbliżony do odsetka Polski. Przeważa wielka, junkerska własność rolna. Chłopskie gospodarstwa dominują w okolicach zamieszkałych przez ludność polską.

Najstarszym przemysłem Prus Wschodnich jest przemysł bursztynowy, głównie w Królewcu. Szeroko rozwinięty jest przemysł drzewny, bo nawet ponad miarę miejscowego surowca. Wielkie ilości drzewa były zawsze importowane do Prus Wschodnich z Polski. Na surowiec importowany były szczególnie skazane fabryki wschodnio-pruskie celulozy, które produkowały 20% wytwórczości całych Niemiec. Były one ulokowane w najlepszych dla siebie warunkach komunikacyjnych więc w Królewcu, Tylży (Tilsit) i Ragnecie (Ragnit). Przemysł młynarski był rozsiany dość równomiernie po całym kraju (wiatraki i młyny wodne). Wielkie nowoczesne młyny skupiały się jednak przy linii kolejowej Królewiec-Ejtkuny (Eydtkuhnen). Wobec rozwiniętej hodowli bydła duże znaczenie w Prusach Wschodnich miały mleczarnie; największe z nich znajdowały się w Królewcu. Nie rozwinął się szerz j w Prusach Wschodnich przemysł przetworów mięsnych, ani rybnych. Gorzelnie, kilka browarów i cegielnie uzupełniały w chwili wybuchu wojny obraz przemysłu opartego na surowcach miejscowych.

Najpoważniejszym zakładem przemysłowym była stocznia Schichau w Elblągu (Elbing). W tym samym mieście znajdowały się fabryki samochodów. Królewiec-miasto jest nie tylko dobrze rozwiniętym portem, ale i największym ośrodkiem przemysłowym całego obszaru (przemysł maszynowy, elektrotechniczny, papierniczy, wagonowy i samochodowy). Elbląg, Malbork (Marienburg) i Braniewo (Braunsberg) miały przemysł tytoniowy, a Braniewo jeszcze i przemysł skórzany.

Podkreślamy, że najwięcej uprzemysłowiona jest część prowincji północno-wschodnia. Największymi miastami są:

Królewiec	372.164	mieszkańców.
Elbląg	85.952	„
Tylża	58.468	„
Olsztyn	50.396	„
Wystruć (Insterburg) ..	48.711	„

Liczba mieszkańców miast była nie tylko wyrazem ich gospodarczego znaczenia. Na ilość mieszkańców miast wpłynął decydująco fakt dużych garnizonów wojskowych i wielka ilość urzędników. Nie licząc wojska w Prusach Wschodnich było w 1939 r. przynajmniej 500.000 urzędników, łącznie z rodzinami.

Ze Śląska (Provinz Schlesien) ważne są dla polskich postulatów terytorialnych przede wszystkim dwie rejencje (stan 1939):

*) W 1837 ukazało się w Londynie angielskie tłumaczenie książki niemieckiej profesora O. L. B. Wolffa oraz dr. H. Doeringa p.t. „*The German Tourist*". Książka ta wyraźnie wymienia istnienie w Królewcu polskiego seminarium („*Besides the University, which was founded in* 1541, *there are ... a Polish Seminary*").

Wrocław (Breslau) .. .. 12.958 km. kw. — 1.971.829 ludności
Opole (Oppeln) .. .. 9.715 „ „ — 1.529,258 „

Gęstość zaludnienia obydwu rejencji była zbliżona i wynosiła dla obu powyżej 150 ludzi na km. kw. Przyrost naturalny był niższy, niż przeciętna przyrostu naturalnego Polski. Obydwie rejencje, mimo ich przemysłowego charakteru, który od kilku dziesiątków lat stale się wzmagał, cechowała w ciągu ostatnich stu lat stała tendencja odpływu ludności na zachód. Mimo wysiłków polityki narodowo-socjalistycznej i bezwzględnych rygorów ustawowych, które miały zahamować ten odpływ ludności, nawet w ostatnich latach przed obecną wojną strata emigracyjna obu rejencji wynosiła blisko 150.000 ludzi. Ubytek ten był wyrównany rok-rocznym napływem robotników z Polski.

Ludność rejencji Opole była w przeważnej mierze polska i wyznania rzymsko-katolickiego; wyjątek stanowiło kilka zachodnich powiatów tej rejencji. Rejencja Wrocław, za wyjątkiem wschodnich powiatów, była w większości zamieszkała przez ludność niemiecką, względnie zgermanizowane rodziny pochodzenia polskiego. Prawie 70% ludności to ewangelicy. We wschodnich powiatach tej rejencji mieszkają Polacy, wielu z nich jest wyznania ewangelickiego. O polskiej tradycji obydwu rejencji świadczą polskie nazwy większości miejscowości, o ile nie zostały zarządzeniem władz niemieckich zmienione. Wzdłuż zachodniej granicy obydwu rejencji mieszka poza tym ludność czeska.

Struktura zawodowa ludności obydwu rejencji była do siebie bardzo zbliżona i charakteryzował ją fakt, że tylko w przybliżeniu 1/4 ludności żyła z rolnictwa. Reszta utrzymywała się z przemysłu, rękodzieła, handlu i komunikacji.

Rzeka Odra, przepływająca środkiem obydwu rejencji pozostawia po swoim lewym, zachodnim brzegu ziemie nieprzeciętnie urodzajne, należące do jednych z lepszych w całych Niemczech. Uprawia się tu pszenicę, jęczmień i buraki. W oparciu o tę produkcję rozwinął się tu rolniczy przemysł przetwórczy (cukrownie, rafinerie olejów roślinnych, gorzelnie, browary, fabryki konserw, suszarnie lnu, młyny i mleczarnie). Gleba po prawym brzegu Odry jest uboga, a kraj lesisty. W oparciu o produkcję leśną prawego brzegu Odry i duże lasy górzystej zachodniej części rejencji Wrocław pracował szeroko rozwinięty przemysł drzewny (tartaki, fabryki celulozy, papiernie i wytwórnie mebli).

Głównym bogactwem tych obszarów jest jednak węgiel. Tereny węglonośne rozciągają się na Śląsku niemieckim pomiędzy dotychczasową granicą polsko-niemiecką, a rzeką Odrą, tworząc niemieckie Zagłębie Śląskie w granicach rejencji Opole. Oddzielnym terenem węglowym jest zagłębie w powiecie Wałbrzych (Waldenburg), w północno-zachodnim kącie rejencji Wrocław, choć przechodzi i na teren rejencji Lignickiej. Te dwa zagłębia są podstawą rozwoju nie tylko silnie rozwiniętego przemysłu rolniczo-leśnego, o którym wspominaliśmy wyżej, ale przede wszystkim przemysłu żelaznego i metalurgicznego. Cechuje go nader szeroki wachlarz produkcji (silniki obrabiarki, maszyny do przeróbki metali oraz kamieni, drzewa i chemikalii, maszyny włókiennicze, lokomotywy, maszyny rolnicze itd.).

Rudy cynku, ołowiu i kadmu zalegają tuż poza granicą Polski w rejencji Opole. Posiadanie tych złóż umożliwiałoby pełne zatrudnienie polskich hut cynku i ołowiu, które pracowały dotąd w 70% na rudach importowanych. Zagłębie w Wałbrzychu posiada niewielkie złoża miedzi, niklu i arsenu. W okolicach Opola leżą bogate złoża wapniaków i gliny, o które oparł się przemysł cementowy. Rynkiem zbytu dla tego przemysłu były do 1919 roku zachodnie połacie Polski.

W obydwu rejencjach, zwłaszcza jednak w Wałbrzychu, Niemcy bezpośrednio przed wojną, ale głównie po 1939 r., rozbudowali liczne fabryki

benzyny syntetycznej. Produkcja ich jest kilkadziesiąt razy wyższa, niż przedwojenna produkcja benzyny w Polsce. Obok kopalnictwa węgla i przerobu rud produkcja benzyny syntetycznej stała się charakterystyczną cechą gospodarki omawianych tu terenów. Poza tym należy wymienić tu jeszcze istniejący przemysł wełniany i sztucznego jedwabiu.

Przemysł ciężki koncentrował się zasadniczo dokoła trzech miast: Zabrze (Hindenburg), Gliwice (Gleiwitz) i Bytom (Beuthen) w rejencji Opole. Przemysł przetwórczy miał swój największy ośrodek we Wrocławiu. Wszystkie te centra były nastawione lub nastawiały się na zbyt na ich naturalne zaplecze Polskę. Obydwie rejencje, dzięki dużym zasobom energii wodnej, są gęsto zelektryfikowane. Z większych miast należy wyliczyć:

W rejencji Wrocław:	miasto Wrocław ..	629.565	mieszkańców.
	Wałbrzych (Waldenburg)	64.136	„
	Świdnica (Schweidnitz)	39.052	„
	Brzeg (Brieg)	31.419	„
W rejencji Opole:	Zabrze (Hindenburg)	126.220	„
	Gliwice (Gleiwitz) ..	117.240	„
	Bytom (Beuthen) ..	101.084	„
	Opole (Oppeln) ..	52.977	„
	Racibórz (Ratibor) ..	50.004	„
	Nissa (Neisse)	37.859	„

Na terenie obu rejencji mieszkało około 500.000 urzędników państwowych z rodzinami. Więc element luźno związany z terenem.

Rejencja Słubice (Frankfurt) może wejść w rozważania nasze tylko tymi ze swych powiatów, które leżą po prawym brzegu Odry. Cała rejencja miała w 1939 roku obszar 18.388 km. kw., zamieszkałych przez 1.316.590 mieszkańców. Z tego obszaru zasadniczo interesuje nas tylko niecałe 9.000 km. kw. o ludności 464 tysięcy. Najgęściej bowiem zaludniona część rejencji leży po lewym brzegu rzeki Odry, gdzie znajdują się także cztery z pięciu większych miast tego obszaru. Gęstość przeciętna zaludnienia terytorium po prawym brzegu Odry nie przekraczała 50 ludzi na km. kw. Niedoludnienie obszaru spowodowało, że teren ten, nauka i publicystyka niemiecka przedstawiały za bezpośrednio zagrożony parciem ludnościowym z rolniczo przeludnionej i mającej duży przyrost naturalny Polski. I ten teren należał do obszarów, na który rokrocznie odbywały się przypływy sezonowych robotników rolnych z Polski.

W skład rejencji Słubice weszły wzdłuż granicy polsko-niemieckiej powiaty Babimost (Bomst), Międzyrzec (Meseritz) oraz Skwierzyna (Schwerin), które do rozbiorów Polski w końcu XVIII wieku wchodziły w skład państwa polskiego. Do 1918 roku wszystkie te trzy powiaty były częścią Wielkopolski (Provinz Posen). Traktat Wersalski nam ich nie przyznał. Pierwszy z tych powiatów, Babimost, został ostatnio przed wojną skasowany. We wszystkich trzech powiatach w przededniu obecnej wojny mieszkał poważny odsetek ludności polskiej. W innych powiatach omawianego tu terenu przeważał żywioł niemiecki. Wyznaniowo wśród ludności przeważali ewangelicy.

W składzie zawodowym ludności na pierwszy plan wysuwa się ludność wiejska. Grunty nie są żyzne. Dominowała wielka własność rolna. Przemysł ziemniaczany i gorzelniczy oraz młynarski pozostawały w związku z rolniczym charakterem terenu. Czynne były też tu drobne kopalnie węgla brunatnego. Tartaki, niewielkie cegielnie i małe fabryki włókiennicze (tkactwo wełniane) uzupełniały obraz niskiego uprzemysłowienia tych okolic.

W Kistrzyniu (Küstrin) znajdowały się zakłady przeróbki mebli oraz fabryki przetworów ziemniaczanych. Gorzów (Landsberg), jedyne większe miasto obszaru (w 1939 48.053 mieszkańców), miał fabryki włókien-

nicze (jutowe), fabryki wyrobów żelaznych i maszyn rolniczych, Teren był dobrze zelektryfikowany; elektrownia (Finkelhard) znajdowała się jednak w Słubicach, po lewym brzegu Odry.

Pomorze Szczecińskie (Provinz Pommern) miało 38.400 km. kw. obszaru, zamieszkałego w 1939 roku przez 2.393.844 mieszkańców. Prowincja dzieliła się w 1939 roku na następujące rejencje (Regierungsbezirk):

Szczecin (Stettin)	..	14.179 km. kw. —	1.237.782 mieszkańców.
Koszalin (Köslin)	..	12.766 „ „ —	676,790 „
Pogranicze (Grenzmark)		11.456 „ „ —	479,272 „

Z rejencji Szczecin może nas interesować teren po prawym brzegu rzeki Odry oraz tylko te powiaty, wraz z miastem Szczecinem, które okalają zalew Szczeciński (Pommersche Bucht) u ujścia Odry. Teren ten ma około 8.000 km. kw. i 745.000 mieszkańców.

O ile się wyłączy miasto Szczecin (271.575 miszkańców) to gęstość zaludnienia interesującej nas części prowincji spada poniżej 50 ludzi na km. kw. Dla porównania przypomnijmy, że dla całej Polski wynosiła 90 ludzi na km. kw., a Niemcy nawet 136,1. Obok niskiej gęstości zaludnienia, stosunki demograficzne Pomorza cechował tak samo, jak i inne prowincje wschodnich Niemiec, stały odpływ ludności na zachód Niemiec. Prowincja ta była jednym z terenów, na których szukali i znajdywali rokrocznie pracę polscy robotnicy sezonowi.

Na ludność prowincji składały się swego czasu zasadniczo dwie grupy narodowościowe: niemiecka i słowiańsko-polska. Dzięki daleko posuniętym procesom germanizacyjnym żywiołu polskiego w prowincji ostatnio przeważał element niemiecki. Polacy znajdowali się głównie w powiatach wzdłuż granicy polsko-niemieckiej. Cztery z tych powiatów Trzcianka (Schönlanke), Wałcz (Deutsch-Krone), Złotów (Flatow) i Człuchów (Schlochau) wchodziły do końca XVIII wieku w skład państwa polskiego. Toteż do wybuchu obecnej wojny polskie życie organizacyjne było tam bardzo żywe. Dwa dalsze powiaty Lębok (Lauenburg) i Bytowo (Butow) były do wybuchu wojny obecnej zamieszkałe przez ludność polską mówiącą narzeczem kaszubskim, z której nauka niemiecka, wbrew oczywistym faktom, chciała zrobić osobną narodowość. W mniejszych grupach Polacy byli rozproszeni po całym terenie prowincji. Gdzie zaś ich dziś nie spotykamy, tam nazwy miejscowości i pamiątki historyczne po kościołach mówią o nie-niemieckiej przeszłości tych ziem. Przeważało wyznanie ewangelickie. W powiatach przygranicznych ludność katolicka dochodziła do 40%. Zasięg katolicyzmu pokrywał się z polskim pochodzeniem ludności, choć w wielu wypadkach katolicy rekrutowali się również z Niemców.

Cała prowincja miała w przeważającej mierze charakter rolniczy; są to najbardziej rolnicze części Niemiec. Grunty, za wyjątkiem ziem nad Odrą, są niezbyt żyzne, czym też się tłumaczy gęste zalesienie terenu i liczne wrzosowiska. Teren odznacza się jeszcze dużymi jeziorami. Wszędzie przeważała w 1939 r. wielka własność rolna w posiadaniu wielkich pruskich rodzin arystokratycznych. Charakter agrarny omawianych ziem zaciężył również na ich przemyśle. Najczęściej spotykanym przemysłem rolniczym było tu gorzelnictwo i krochmalnie. Nad Odrą, gdzie lepsza ziemia — były cukrownie; tu też skupiły się wielkie młyny.

Szczecin rozwinął wielki przemysł wełniany. W Koszalinie powstał ośrodek wyrobu tkanin impregnowanych. Przemysł ceramiczny (w Lęborku i pod Szczecinem) był nastawiony na zbyt do Prus Wschodnich. Połowy ryb w Bałtyku dostarczały surowca dla przemysłu rybnego. Drzewo z lasów szło nie tylko do tartaków oraz wytwórni mebli, ale i do przemysłu papierniczego z trzema ośrodkami; Szczecinem, Koszalinem i Słupskiem (Stolp). Wysoko rozwinięta była na całym Pomorzu Szczecińskim sieć małych warsztatów mechanicznych.

Uprzemysłowienie Pomorza Szczecińskiego po prawym brzegu Odry było jednak stosunkowo słabe. Główne obiekty przemysłowe prowincji leżały po lewym brzegu Odry. Centrem przemysłu prowincji był Szczecin, pełniący rolę portu dla całych wschodnich Niemiec, ze Śląskiem na czele. Przed 1918 rokiem Szczecin był również głównym portem dla Poznańskiego, skąd i dokąd towary szły rzeką Wartą i Notecią.

W Szczecinie, obok stoczni, wyrósł przed obecną wojną ciężki przemysł (Zakłady Hencke-Donnersmarck), zużytkowujący śląski węgiel i rudę szwedzką. W okręgu Szczecina były fabryki samochodów i motocykli. Przemysł chemiczny Szczecina, przerabiający importowane surowce dostarczał nawozów sztucznych rolnictwu wschodnich Niemiec.

Z większych miast terenu należy wymienić:

Szczecin	271.575	ludności
Słupsk (Stolp)	50.377	„
Piła (Schneidemühl) ..	45.791	„
Starogard (Stargard) ..	39.760	„
Kołobrzeg (Kolberg) ..	36.617	„
Koszalin (Köslin) ..	33.479	„

Odsetek ludności urzędniczej jak wszędzie na wschodzie Niemiec, był znaczny. Około 400.000 mieszkańców na omawianym tu terenie prowincji stanowili ludzie, bezpośrednio opłacani przez państwo, i ich rodziny.

* * *

Przy opisie terenów celowo został użyty często czas przeszły. Gospodarcze przeobrażenia, zwłaszcza w ośrodkach przemysłowych na tych obszarach, dokonane w czasie wojny były na pewno duże. Wojna trwa już szósty rok a wschód Niemiec, jako długo odległy od uderzeń lotnictwa bombardującego od zachodu, silnie przemysłowo rozbudowano. Brak jednak danych do odtworzenia dzisiejszego stanu rzeczy, który wydaje się o tyle znowu zmienny, że dalszy postęp wojny zniszczy przynajmniej część dokonanych tu inwestycji. Jedno tylko wiadomo, że gospodarka okupacyjna Niemiec w Polsce związała tereny tu opisane jeszcze silniej strukturalnie z polskim obszarem gospodarczym, niż to można było obserwować przed 1918 rokiem i przed 1939.

III.

Zespolenie z Polską obszarów odłączonych od niemieckiego wschodu, winno nastąpić na podstawie następujących założeń:

a) Tereny te powinny zostać przyznane Polsce umowami międzynarodowymi bez urządzania tam jakichkolwiek plebiscytów. Metody niemieckiego Drang nach Osten, które powodowały w ostatnich stuleciach ciągłą fluktuację zachodnich granic Polski, doprowadziły na terytoriach, zabranych w tych okresach przez Niemcy, do takich przeobrażeń, że nowa granica nie da się przeprowadzić zgodnie całkowicie z wolą miejscowej ludności.

Długi proces germanizacji wypaczył w dużej mierze poczucie przynależności narodowej ludności pochodzenia miejscowego. Konsekwentna kolonizacja tych terenów żywiołem niemieckim oraz wypychanie z nich ludności polskiej także przyśpieszyły zmianę ich pierwotnej, polskiej struktury narodowościowej. Lata władania niemieckiego przejawiają się do dziś dnia w sterroryzowaniu wielkością Niemiec często nawet tych jednostek, które mimo powierzchownego zgermanizowania nie zatraciły swego związku z polskością. Trzeba będzie długich lat pokoju oraz atmosfery pełnej niezależności narodowej w granicach państwa polskiego,

aby usunięte zostały straty i rany, zadane niemieckim systemem skupieniom Polaków we wschodnich prowincjach Niemiec.*)

b) Ludność niemiecka powinna z tych terenów zostać przesiedlona do Rzeszy. Z dotychczasowych mieszkańców powinni pozostać tylko Polacy, i ta część zgermanizowanej ludności, pochodzenia polskiego, która według wszelkiego prawdopodobieństwa przejdzie proces repolonizacji. Wobec stosunkowo świeżego pokostu germanizacyjnego liczba ludności, mogącej być zrepolonizowaną prawdopodobnie będzie bardzo duża.

Doświadczenie bowiem z działalnością mniejszości niemieckiej w Polsce między dwiema wojnami czyni współżycie Polaków i Niemców w granicach jednego państwa niemożliwym. Działalność ta godziła w państwową integralność Polski. Mniejszość niemiecka nie umiała i nie chciała stać się lojalnym obywatelem państwa polskiego. Ciężkie przejścia społeczeństwa polskiego z okupacją niemiecką znaczenie tego problemu jeszcze pogłębiają. Zmiany terytorialne na wschodzie Niemiec utrwalą się tylko wtedy, jeżeli po stronie polskiej granicy nie zostanie problem niemieckiej mniejszości.

Wysiedlanie takie nie będzie bez precedensu. Bezpośrednio po Pierwszej Wojnie Światowej uregulowano drogą umów międzynarodowych o transferze ludności tarcia narodowościowe na Bałkanach. Wynikiem ich była normalizacja stosunków międzynarodowych w tej części Europy oraz unormowanie sąsiedzkiego współżycia narodów dotąd z sobą skłóconych.†)

c) Wszystkie zmiany terytorialne winny być przeprowadzone w sposób jak najszybszy. Należy dążyć do tego, aby natychmiast z zawieszeniem działań wojennych obszary przyznane Polsce, mogły zostać przyjęte przez polską administrację. Tylko tą drogą uniknie się chaosu okresu przejściowego i osiągnie szybkie uporządkowanie stosunków prawnych.

Gdyby warunek ten nie został spełniony, należy obawiać się niemieckiego sabotażu, dążącego do zniszczenia względnie zdezorganizowania warsztatów pracy. Niemcy chaos okresu przejściowego wyzyskaliby dla swoich własnych celów propagandowych, z myślą o uniemożliwienie Polsce wejścia w posiadanie danych terytoriów. Akcja niemiecka zbiegałaby się z narastającą po wojnie falą proniemieckich sympatii, zwłaszcza na zachodzie.

Wobec koniecznych rozstrzygnięć terytorialnych obowiązuje ta sama zasada, którą należy stosować przy rozwiązywaniu całości problemów powojennych Niemiec. Sprzymierzeni po zakończeniu wojny nie mogą okazywać żadnych wahań co do swych decyzji. Masy niemieckie uważałyby to za słabość. Losami narodu, który był zawsze kierowany trzeba pokierować. Zasady postępowania z Niemcami po wojnie powinny być ustalone przed jej końcem i, z chwilą zaprzestania działań wojennych, trzeba od razu przystąpić do ich realizacji. Im Niemcy będą mieli mniej czasu i okazji do spekulacji i przeciwstawiania się zarządzeniom zwycięzców, tym pewniej utrwalą się zmiany, wojną obecną spowodowane.

Przejmowanie przez Polskę obszarów odłączonych od niemieckiego wschodu będzie ułatwione szeregiem okoliczności, wynikających z ich struktury ekonomicznej. Terytoria te mają układ zasadniczo różniący je od organizmu gospodarczego reszty Niemiec. Przeważa produkcja rolnicza w przeciwstawieniu do przemysłowego charakteru Niemiec central-

*) Już w 1919 roku panowało przekonanie, że zasada plebiscytów przy odstępowaniu części terytorium państwa pokonanego nie jest czymś niezachwianym. Udokumentowany pamiętnik David Hunter Miller'a z Konferencji Pokojowej w Paryżu *My Diary at the Conference of Peace* (Nowy Jork, 1924) notuje zasadniczo zastrzeżenia przeciw plebiscytom nawet prezydenta Wilsona, tego wielkiego ideologa zasady o samostanowieniu narodów. Wilson nie wierzył, aby plebiscyty naprawdę mogły wyrazić wolną wolę ludności.

†) Należy silnie podkreślić, że idea przesiedleń wyszła na Bałkanach od wielkiego greckiego męża stanu Venizelosa, choć przesiedlenia te zmusiły 5 milionów mieszkańców liczącą Grecję do wchłonięcia 1½ miliona Greków, przesiedlonych z innych państw. Za inicjatywą Venizelosa wypowiedział się Nansen, wielki humanitarysta.

nych i zachodnich. Struktura gospodarcza niemieckiego wschodu jest natomiast zasadniczo podobna do przekroju ekonomicznego zachodniej i centralnej Polski. Podobieństwo to wyraża się nie tylko przewagą rolnictwa, ale i dużym podobieństwem co do przeciętnej gęstości dróg komunikacyjnych, rodzaju produkcji rolnej, gęstości zalesienia i t.p. Jest w tym co prawda jedna zasadnicza różnica: zachodnia i centralna Polska są gęściej zaludnione. Właśnie jednak fakt, że wschód niemiecki należy do najrzadziej zaludnionych terenów Rzeszy czyni łatwiejszym osiedlenie go Polakami, gdy ludność niemiecka zostanie usunięta.

Odrębny charakter na zasadniczo agrarnym terytorium, które nas interesuje, mają jedynie trzy okręgi przemysłowe: Opolski, Wrocławski łącznie z Wałbrzychem i Szczeciński. Dla Polski szczególnie ważne są dwa pierwsze. Okręgi te wyróżniają się nie tylko wysoką produkcją przemysłową, ale i dużą gęstością zaludnienia. Dla przejęcia ich przez Polskę potrzeba by dużego zasobu fachowców i to może stanowić dla Polski istotną trudność. Trudność tę oczywiście może wyrównać okoliczność, że faktycznie okręgi te są związane gospodarczo z dotychczas polskim zapleczem i od niego zależne.*)

Zasadniczym problemem przejęcia jakichkolwiek obszarów z niemieckiego wschodu przez Polskę jest zagadnienie demograficzne. Polska musi zastąpić na tych terenach ludność niemiecką, która z nich zostanie wysiedlona na pozostałe przy Niemcach terytorium. Polska może dla tych celów dysponować rezerwą ludności z czterech źródeł. Źródłami tymi są:

1) ludność zbędna w rolnictwie, która przed wojną była oceniana w Polsce w granicach 1939 roku różnie, ale zawsze na powyżej 5 milionów ludzi nieznajdujących na wsi możliwości należytego bytu;

2) ludność, na wsi i w miastach, której warsztaty pracy zostały w okresie okupacji niemieckiej bądź całkowicie zlikwidowane bądź skomasowane z innymi w większe warsztaty†) na skutek przeprowadzonych przez okupantów niemieckich przemian strukturalnych w gospodarstwie Polski;

3) ludność ze zniszczonych wojną miast (Warszawa), których odbudowanie będzie wymagało długiego okresu czasu i którą trzeba będzie gdzieś szybko osiedlić, założywszy, że ludność zniszczonych wsi pozostanie na swych gospodarstwach, odbudowujących się znacznie szybciej;

4) ludność, która napłynie do Polski z zagranicy (m.i. z zachodnich Niemiec), gdzie dotąd przebywała z przedwojennej emigracji i gdzie nie będzie chciała czy mogła pozostać (między 1895-1938 wyemigrowało z Polski w poszukiwaniu pracy 5,8 milionów ludzi).

Jest dziś prawie niemożliwym ustalenie liczb szacunkowych dla rozmiarów tych rezerw ludzkich, którym danie mieszkania i osadzenie na warsztatach pracy będzie pierwszym i najważniejszym zadaniem polskiej polityki. Przede wszystkim nie wiadomo jakie będą ostateczne straty zadane organizmowi ludnościowemu Polski obecną wojną. Wobec jednak dużej biologicznej prężności narodu polskiego, czego przejawem jest poważny odsetek urodzin nawet w tej chwili, należy założyć, że Polska będzie miała do osadzenia kilka milionów ludzi i zaludnienie nowych nabytków terytorialnych l i c z b o w o nie będzie stanowiło dla państwa polskiego zbyt wielkiej trudności.

---

*) Publikacja Karl Werner'a „*Fragen der Deutschen Ostgrenze*" (Wrocław, 1933) przytacza szereg map i grafikonów, wykazujących powiązania tych obszarów z polskim zapleczem. Celem ich było uzasadnienie — niemieckich żądań aneksjonistycznych co do całej zachodniej Polski.

†) Źródła krajowe ustaliły, że do końca roku 1943 Niemcy zlikwidowlli w Polsce 186 tysięcy gospodarstw rolnych. Ilość ludności rolniczej, która stała się wskutek tego zbędna oszacowano na 400 tysięcy. Równocześnie Niemcy zlikwidowali 45-60% istniejących przed wojną warsztatów rzemieślniczych i drobnoprzemysłowych. Ilość straconych miejsc do pracy na skutek tego wyniosłaby około 600 tysięcy. Zlikwidowano poza tym 250 tysięcy przedsiębiorstw handlowych.

Trudność stanowić natomiast może problem j a k o ś c i o w y elementu ludzkiego, mającego zastąpić wysiedlonych Niemców. Ludzi, przygotowanych do obejmowania gospodarstw rolnych, Polsce na pewno nie zabraknie. Może natomiast brakować sił fachowych do miast. Tu należy wziąć jednak pod uwagę, że na około 2.400.000 Polaków (łącznie z jeńcami) wywiezionych przez Niemcy na roboty przymusowe do Rzeszy kilkaset tysięcy ludności dawnej rolniczej wróci do Polski z pewnego rodzaju przeszkoleniem zawodowym, głównie w przemyśle. Poza tym Polska, jak widzieliśmy wyżej, będzie dysponować zapasem ludności miejskiej, nadającym się do osadzania w miejskich ośrodkach obszarów odebranych Niemcom. Zwróćmy tu uwagę na fakt, że w ostatnich latach przed wojną proces urbanizacji postępował w Polsce znacznie szybciej naprzód, niż we wschodnich Niemczech.

Również problem jakościowy wydaje się możliwym do rozwiązania, choć zagadnienie musi być starannie przepracowane przez naszych ekonomistów. Polska w pewnej jednak mierze musiałaby oprzeć się o pomoc specjalistów z zagranicy.

Przy przejmowaniu terenów niemieckich oraz przy połączonym z tym przesiedlaniu ludności, Polska będzie potrzebować od zagranicy także pomocy w zakresie organizacyjnym i finansowym. Przesiedlenia będą niewątpliwie ułatwione faktem, że poważny odsetek ludności niemieckiej albo przed końcem wojny zostanie ze wschodu Niemiec wyewakuowany wraz z cofającymi się wojskami niemieckimi, albo sam ucieknie, jak to widzieliśmy po Pierwszej Wojnie Światowej na obszarach, które wówczas zostały od Rzeszy odłączone. Niemniej należy się z tym liczyć, że znaczna część ludności niemieckiej będzie musiała być wywieziona. Transfer ten jest poważnym zagadnieniem organizacyjnym. Polska pokona go na swym obszarze, czynniki międzynarodowe muszą pomóc przy jego przeprowadzeniu na terytorium Rzeszy, gdzie wysiedlonych z Polski Niemców trzeba będzie rozsiedlić. Akcja ta w Rzeszy zbiec się winna z parcelacją wielkich majątków niemieckich.*) Wchłonięcie zaś przez Niemcy wysiedlonych z Polski jest możliwe wobec tendencji gwałtownie spadającego w Niemczech przyrostu naturalnego oraz wobec olbrzymich strat wojennych w ludziach. Straty te na końcu roku 1944 wynosiły około 6 milionów zabitych. Churchill ocenił te straty w grudniu nawet wyżej.

Pomocy finansowej będzie Polska potrzebować na zagospodarowanie Polaków, osiedlonych na nowych obszarach oraz na pobudzenie normalnego tętna życia gospodarczego na obszarach przejętych. Pomoc ta będzie musiała być znaczna. Będzie ona na pewno jednak finansowo niższa, niż ogrom strat wyrządzonych gospodarstwu polskiemu wojną i metodami okupacji niemieckiej. Międzynarodowym osiągnięciem tej pomocy stanie się normalizacja stosunków politycznych na odcinku polityki europejskiej, tak dotąd zaognionym.

Wschód Niemiec przechodzi i jeszcze przejdzie w przeciągu tej wojny olbrzymie przemiany. Nawet gdyby nie dokonywały się tam żadne przesunięcia granic, normalizacja stosunków gospodarczych, ludnościowych i socjalnych wymagałaby na tych obszarach dużo organizacyjnego i finansowego wysiłku. Tym lepiej więc, że z przemianami, będącymi skutkiem działań wojennych, zbiegną się przemiany, będące skutkiem planowania pokoju.

Niechże one będą z korzyścią dla organicznej pracy narodu polskiego, który obecną wojną został szczególnie tragicznie dotknięty. Oczywiście przesunięcie granicy polsko-niemieckiej i zagospodarowanie nowych terytoriów państwa polskiego wymaga najwyższego wysiłku całego polskiego społeczeństwa i jego kierowników. Stoimy tu przed decyzjami wielkich p r a k t y c z n y c h rozwiązań. Od nich przede wszystkim zależy nasz sukces.

*) Rzeczoznawcy polscy obliczają ilość ziemi do rozparcelowania w centralnych i zachodnich Niemczech na 3.298.000 hektarów. Daje to możliwość osadzenia prawie 250.000 rodzin włościańskich.

EMIL ZASŁAWSKI

CZARTORYSKI I JEGO LIGA NARODÓW

„Je ne propose, je n'oppose,
— j'expose".

Gdy na konferencji między-parlamentarnej w Berlinie, w 1908 r., domagano się ukoronowania dzieła Haskiej Konferencji Pokojowej utworzeniem międzynarodowej organizacji na podstawie hasła „niezawisłości narodów i integralności ich terytoriów", sprawozdawca i inicjator, parlamentarzysta amerykański Barthold spotkał się ze sprzeciwem Belga Huysmanna — „Po cóż mówić o uznaniu integralności terytorium państw współczesnych wówczas, gdy Polska domaga się jeszcze swojej niepodległości".

Sto lat wcześniej, mniej wyraźnie, ta sama myśl niepokoiła tego wielkiego, acz dyskutowanego, Europejczyka Talleyranda, dla którego rozbiory Polski były „więcej niż zbrodnią — bo błędem" — a nieobecność Polski na mapie Europy rujnowała jego „systemat polityczny" i „systemat federalny". W tym monumentalnym dziele sztuki politycznej jakimi są instrukcje, które sobie udziela na Kongres Wiedeński, Talleyrand przekonywuje, grozi, namawia: „Mimo jakiekolwiek rozbiory, Polacy... zawsze będą tworzyli jedną rodzinę". Dla systemu politycznego europejskiego „Odbudowa Królestwa Polskiego będzie korzyścią i to bardzo dużą korzyścią" byleby było niepodległe i byleby miało silną konstytucję.

Jeżeli w tak ustawiczny sposób, personel polityczny Europy tak ostro i przenikliwie odczuwa niemożność zorganizowania trwalszego pokoju póki będzie trwał paradoks nieobecności licznego, oryginalnego i nieabdykującego narodu, czy nie należałoby powiązać Sprawę Polski ze sprawą organizacji międzynarodowej i czy nie należałoby kłaść podwaliny organizacji międzynarodowej by wraz z nią Polsce przywrócić niepodległość? Czy nie należałoby wnieść do anarchii międzynarodowej minimum reguł organizacyjnych zapewniając wszystkim narodom możność dalszego rozwoju w ramach „Ligi", która się stanie namiastką solidarności „Unum Corpus Christianum" zlikwidowanego Traktatem Westfalskim?

Oto jak kroczy myśl polskiego prekursora Ligi Narodów i eksponenta — ze wszystkich prekursorów — najściślejszego, najbardziej życiowego i praktycznego projektu organizacji międzynarodowej — Adama Czartoryskiego.

W tej śliskiej dziedzinie gdy większość współczesnych zawsze apeluje do t.z. natury ludzkiej, projekt Czartoryskiego jest tym bardziej zastanawiający i przewyższa projekty innych „rzeczowych" prekursorów — szczególnie natychmiast poprzedzający „rzeczowy" projekt Opata de St. Pierre—tym, że jest jedynym, *który był przedmiotem polityki praktycznej*, że został przetłumaczony na język nie wiele odbiegający od myśli politycznej epoki, przynajmniej w takim stopniu, że ani autora ani naczelnego poręczyciela nie pomawiano o donkiszoterię polityczną. Że projekt ten wyszedł z umysłu Polaka-patrioty, ministra spraw zagranicznych Cara Wszechrosji, żołnierza Kościuszki, autora Barda Polskiego (o akcentach avant la lettre tak Mickiewiczowskich), człowieka z gruntu prawego i uczciwego w walce z kompleksami Wallenrodowymi sprawia, że stoi się w obliczu dokumentu wysoce ludzkiego.

* * *

Środowisko i czasy, nic dziwnego, przepajają projekt Czartoryskiego i czynią go tak odmiennym od wszystkich poprzedzających.

Czartoryski nie miał najmniejszych złudzeń co do gatunku uczuć i podkładu moralnego rządzącego społeczeństwem, dla którego pracował.

Skoro należy godzić rzeczy nie do pogodzenia, należy je godzić wszystkie. — Stąd, jeżeli należy wyrwać Napoleonowi hasło wolności ludów, niech to czyni Car autokrata, który sam jeszcze nie ośmiela się przeprowadzić najmniejszej reformy liberalnej dla własnego ludu.

Jeżeli należy pokonać — przekonanie, które Czartoryskiego najbardziej trapi — uczucie instynktownej niechęci rosyjskiej (w klasach rządzących) do Polaków i czystą nękającą przekorę jako nieprawdopodobny motyw myślenia politycznego to niechże, pośrednio prawda, ci sami rządzący przyczynią się do odbudowy Polski. Gdybyż lud rosyjski doszedł do głosu, gdyby demokratyzm rządził w Rosji — mówi Czartoryski — nie należałoby obawiać się zaborczości i carskiej pychy, ale skoro tak nie jest, rzeczą męża stanu jest skanalizować tę pychę dla dobra ogólnego, — „twierdzenie bynajmniej nie paradoksalne, stwierdzi Czartoryski w innym miejscu, bo godzi się z drugim, bardziej powszechnym, rysem charakteru rosyjskiego, z jego abstrakcyjnym idealizmem".

Pod rokiem 1804 — rok projektu — znajdujemy w pamiętnikach Czartoryskiego (Mémoires et correspondances avec Alexandre I, Paryż 1887) następujące usprawiedliwienie projektu nowej organizacji międzynarodowej, co do którego może w świetle późniejszej historii, można byłoby się zgodzić z Thiers'em (Histoire du Consulat et de l'Empire), że jest „młodzieńczym i chimerycznym".

> „Wszystkie cele do których Rosja zmierza z nieustanną wytrwałością, — a które się co najmniej sprowadzają do zawładnięcia większą częścią Europy i Azji — zostały wyraźnie pomyślane i wytknięte jego spadkobiercom przez Piotra Wielkiego... Impuls nadany narodowi, przez jego żelazną wolę wciąż trwa. Dzięki niepospolitemu zbiegowi okoliczności Rosja znajduje się niepokojąco blisko osiągnięcia swoich celów, a Europa nie zdołała jej zatrzymać. Trudności wewnętrzne mogą od czasu do czasu opóźniać jej postęp, ale duch Piotra wciąż unosi się nad jego Cesarstwem i jego bezlitosna ambicja spoczywa w głębi każdego rosyjskiego serca... Jak głęboko wierzyłem, że będzie mi daną możność pogodzenia tendencji społeczności rosyjskiej ze wspaniałomyślnymi ideami jej włodarza i możność użycia rosyjskiej żądzy sławy i zwierzchności na ogólną korzyść ludzkości".

Projekt najprzód musi przejść przez tajną Radę, o której Pan Thiers tak lekceważąco wspomina („Les jeunes gens de l'entourage de l'Empereur") a która składa się z przyjaciół Aleksandra: Strogonowa, Czartoryskiego, Nowosilcewa i Koczubeja. W stosunkach między sobą towarzystwo petersburskie uważa tę grupę „młodzieńców" za całkowicie oddanych sobie przyjaciół.

To Nowosilcewowi zostanie powierzona misja praktycznego przeprowadzenia projektu; fakt melancholijny później dla Czartoryskiego i błąd oceny w stosunku do smutnej osobistości późniejszego prześladowcy młodzieży wileńskiej, który jak Piłat zostanie uwieczniony w polskim Misterium.

Nie jest rzeczą przypadku, że słowa „Polska" w projekcie nie znajdziesz, ale w rozmowach osobistych z Aleksandrem — Nowosilcew oczywiście jest wtajemniczony — Czartoryski sobie zawarował, że *odbudowa* Polski ma być celem naczelnym projektu. Szczerości Aleksandra o tyle trzeba chyba oddać sprawiedliwość, iż przez całe życie kierował się zasadą, że albo Polska zostanie przywrócona przez niego, lub przez nikogo, a szczególniej nie przez Bonapartego i jego doradcę Talleyranda.

* * *

Chwila obrana na rokowania w sprawie projektu zdawała się być przychylną. Nieustające prawie wojny francuskie, wykorzystywanie haseł rewolucyjnych przez dyplomację Talleyranda, „Rewolucja która się stała człowiekiem" („La révolution qui s'est faite homme") a tuż jutro Imperatorem, wszystkie znaki na niebie wskazują, że musi dojść do wstrząsu ogólnego i, że to dwa Państwa, które dotychczas z nierównych powodów

ośmielają się nie poddawać nakazom Korsykańczyka, Anglia i Rosja, obejmą w nim rolę kierowniczą.

Właśnie, odwieczne szaleństwo dyktatorów każe Korsykańczykowi incydentem, który wstrząsa całą Europą, uzmysłowić niebezpieczeństwo jakim jest dla pokoju europejskiego i istniejącego ładu, nieopętana i szalona ambicja dzisiejszego dożywotnego Pierwszego Konsula i jutrzejszego Imperatora. Dnia 14 marca 1804 roku wojska francuskie gwałcąc neutralność badeńską, wtargnęły do miasta Ettelheim i schwyciły księcia d'Enghien, który sześć dni później zostaje stracony w Vincennes. Żaden z dworów europejskich nie śmie zaprotestować. Czyni to jedna Rosja, która notą zaprojektowaną i redagowaną przez Czartoryskiego domaga się „zadawalającego wyjaśnienia" tego „pogwałcenia zasad słuszności sprawiedliwości i prawa międzynarodowego". Odprawa Talleyranda jest natychmiastowa i w brutalności swojej aż okrutna. Żądanie rosyjskie jest nie do zrozumienia. Francja nie uważała się za upoważnioną do żądania wyjaśnień wówczas gdy Cesarz Paweł został zamordowany. Dla złagodzenia Talleyrand każe swemu Ambasadorowi wraz z notą przekazać list osobisty do Czartoryskiego zapewniający go o szacunku jaki żywi dla niego Bonaparte. To było prawdą jeżeli chodziło o samego Talleyranda, który doskonale odczuwał głębokie intencje Czartoryskiego, odpowiadające zresztą jego własnym. Ale oto co o jakiejkolwiek współpracy wówczas z Francją, notuje Czartoryski w swoich pamiętnikach w tym 1804 roku:

> „... ja przewidziałem zerwanie z Francją. Ustalenie poufnych stosunków między tą potęgą a Rosją, o co mię Rosjanie oskarżali, było dalekie od moich myśli, gdyż wszelkie porozumienie między tymi dwoma potęgami, byłoby złowrogim dla interesów Polski".

Zerwanie nastąpiło niebawem po wręczeniu noty francuskiej. Należało rokować z Anglią o sojusz, ale ma to być sojusz trwały, nieoparty o wspólne uczucie zemsty, lecz o podstawy „najbardziej wzniosłych zasad sprawiedliwości i filantropii".

Taka jest geneza ostatniego przed paktem Ligi Narodów projektu organizacji międzynarodowej, zawartego w tajnej instrukcji z daty 11 września 1804 roku, udzielonej Nowosilcewowi dla jego rokowań z Anglią.

* * *

Projekt Czartoryskiego jest z typu projektów procesualnych w odróżnieniu od nieistniejących jeszcze w zwartej całości, o ile nam wiadomo, projektów typu funkcjonalnego. Przed Dumbarton Oaks, należało o nim powiedzieć, że jest najbardziej zbliżony w swoim założeniu do Paktu Ligi Narodów.

Jak i pakt, kładzie on nacisk na związek jaki istnieje między gatunkiem rządów wewnętrznych a przynależnością do zrzeszenia międzynarodowego, ale, równie jak Pakt, występując szczególnie w imieniu państwa autokratycznego, system Czartoryskiego nie zawiera postanowień konstytucyjnych łączących formę rządów porządku wewnętrznego z porządkiem międzynarodowym.

> „Prócz tego, że zasady na podstawie których, proponuję Anglii zawarcie porozumienia poufnego" — pisze Czartoryski w instrukcji w imieniu Cara — „powinny być uważane za istotny jeśli nie jedyny środek ograniczenia potęgi francuskiej do słusznych rozmiarów, zasady te również przyczynią się szczególnie do ustalenia na podstawach silnych i trwałych, przyszłego spokoju Europy. Wydaje mi się oczywistym, że wielki ten cel można będzie uważać za osiągnięty tylko wówczas, gdy zdoła się, z jednej strony uzyskać przywiązanie narodów do swoich Rządów, czyniąc te ostatnie zdolnymi do zachowania się mającego wyłącznie na celu najwyższe dobro poddanych im ludów, wówczas gdy z drugiej strony, utrwali się stosunki między Państwami regułami ścisłymi, uszanowanie których będzie leżało w ich własnym interesie".
>
> „Głębokie rozmyślania nad tymi sprawami i doświadczenia wieków, dostatecznie wyjawiają, że te dwa osiągnięcia można tylko wówczas zapewnić, gdy wewnętrzny porządek społeczny będzie oparty na rozsądnej wolności, utrwalającej po-

niekąd Rządy i otaczającej je pewną zaporą przeciw namiętnościom, nieobuzdanym ambicjom i szaleństwu, które wiedzie często na manowce ludzi stojących na czele narodów i gdy przywróci się prawu narodów, które reguluje stosunki federacji europejskiej, jego prawdziwe zasady".

Mimo ciągłego odwoływania się do prawa międzynarodowego, projekt Czartoryskiego, jak i wszystkie niemal projekty procesualne, o prawie tym stanowić nie będzie, bo to w konsekwencji doprowadziłoby do tworzenia „Civitas maxima" i organizacji typu funkcjonalnego, co współcześni Czartoryskiego mają zwyczaj kwalifikować niewygodnym, dla praktycznego projektu, mianem „wieczystego pokoju".

Ale Czartoryski i współcześni mają przed oczyma mikrokosm zastanawiającego choć rewolucyjnego przykładu „Civitas maxima" w postaci federacji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jednakowoż w warunkach europejskich a więc wówczas wszechświatowych można zaledwie zrobić to, co robią wszystkie projekty, to jest zorganizować i stanowić o przymusie procedur międzynarodowych. Ale nawet i w tej ograniczonej mierze Czartoryski, gdyby nie zgłaszał projektu Anglii, mógłby się powołać na przykład kontynentu amerykańskiego a mianowicie na konstytucję Konfederacji Amerykańskiej z 1781 roku. Artykuł trzeci „Artykułów Konfederacji" ustanawia „Ligę przyjaźni", która ma zapewnić wspólną obronę bezpieczeństwa wolności i dobrobytu ogólnego „Państw" (to jest 13 kolonij) gwarantując sobie pomoc wzajemną; jest to przodek w prostej linii gwarancji artykułu 10 Paktu Ligi Narodów. „Gwarancje" „spokoju i bezpieczeństwa" projektu Czartoryskiego pochodzą z tego samego źródła prawdopodobnie, ale natrafiają na te same trudności na jakie natrafił Pakt Ligi Narodów pogodzenia „gwarancji" z dopuszczalnością wojny. Jednak w przekonaniu Czartoryskiego i Cara „oświecenie czasów" już zezwala na postanowienie, że wszelkie wojny rozpoczęte bez uciekania się do przyszłych obowiązujących procedur międzynarodowych, będą wojnami przeciwko Lidze, przeciwko „Unii europejskiej". Postanowienie zapewne logiczne i proste, ale Czartoryski byłby bardzo zdumiony gdyby stwierdził w 100 lat później, że podczas rokowań nad paktem Ligi Narodów w komisji Hotelu Crillon, nikomu nie przyszło na myśl rozwiązanie to wyraźnie zaproponować a każdy uważał za „tabu" formuły „clair-obscure" szkicu zwanego Hurst-Miller.

Czartoryski rozumuje w następujący sposób:

„Nie chodzi bynajmniej o urzeczywistnienie marzenia o wieczystym pokoju. Jednakowoż zbliżylibyśmy się bardzo do wyników, które ono zapowiada gdyby w traktacie, który zakończy wojnę powszechną zdołano ustalić na zasadach jasnych i ścisłych postanowienia prawa narodów. Dlaczegóżby nie można było podporządkować prawo pozytywne Narodów" — myśl naszym zdaniem, po raz pierwszy wysunięta w piśmiennictwie politycznym i prawniczym świata a której stuletnia współczesna praktyka odpowiedzialności międzynarodowej zaledwie zarysowała pierwociny — „zapewnić przywileje neutralności, umieścić zobowiązanie nierozpoczynania nigdy wojny aż do wyczerpania środków, które pośrednictwo strony trzeciej może nastręczyć, by w ten sposób wyjawić wzajemne żale i starać się załagodzić?"

„Na takich zasadach można by było przystąpić do pacyfikacji generalnej i dać początek Lidze, której zawarowania stworzą do pewnego stopnia nowy kodeks prawa narodów, który przyjęty przez większą część Europy, stałby się łacno niewzruszoną regułą gabinetów tym bardziej, że ci którzy by zamierzali przeciw niej wykroczyć snadnieby ściągnęli na siebie siły nowego Związku (Union)".

„Po tylu niepokojach, po odczuciu niewygód wynikających z niepodległości niepewnej i złudnej, większość rządów zechce należeć do Ligi, która zagwarantuje im w najwyższym stopniu spokój i bezpieczeństwo. Szczególnie Państwa drugorzędne przyłączą się do niej duszą i sercem".

Rosja i Anglia, twierdzi następnie Czartoryski, rozpowszechnią swoim przykładem zmysł mądrości i sprawiedliwości, który zatrzyma postęp rządów samowolnych. Ale też, by zapewnić Lidze trwałość, należy utrzymać ścisłe więzy między Londynem a Patersburgiem: zresztą Państwa te przez długie lata nie będą miały żadnych interesów sprzecznych i swoim przymierzem zapewnią niezmącalność pokoju.

Doszedłszy do tego punktu swego wykładu Czartoryski, który pisze dla Nowosilcewa i Pitta, musi pogodzić doczesność z przyszłą organizacją. Stanie się to przy rozważaniu tej pulcherrima quaistio wszystkich międzynarodowców: wielkie i małe państwa, rząd i dyrekcja Ligi. O doczesności, która tak zainteresuje Pitta zaledwie aluzja: Nowosilcew, poza instrukcją ma napomknąć o Malcie, Neapolu: dopiero w następnym 1805 roku, memorandum (bez daty) Czartoryskiego przystąpi do prawdziwej redystrybucji terytorialnej Europy, z której warto tylko zapamiętać o podziale Niemiec między Austrią i Prusami i przyrzeczeniu Rosji Konstantynopola i Cieśnin. Natomiast w sprawie Ligi, Czartoryski jest zdecydowany: Anglia i Rosja będą dyrektorami Ligi: inspiracja raczej z Dumbarton Oaks, niż z Paktu Ligi Narodów w jego tekście obowiązującym, bo też projekt Czartoryskiego jak i ostatni dokument międzynarodowy nie przeszedł przez namiętne dyskusje w rodzaju tych, sławnych, z 4 i 5 lutego 1919 roku w Hotelu Crillon i w Ambasadzie Stanów Zjednoczonych.

Oba Państwa dyrekcyjne, Rosja i Anglia, zapewniają sobie w projekcie Czartoryskiego:

> „... pewne korzyści, które zwrócą koszta przez nie poniesione. Ten warunek jest tym bardziej usprawiedliwiony, że spokój Europy może być tylko utrzymany dzięki właśnie lidze stworzonej pod auspicjami Rosji i Anglii do której się przyłączą państwa drugorzędne i wszystkie te, które rzeczywiście pragną pokoju. Liga ta nakaże szacunek tym, którzy zechcą pokój zakłócić. Jednakowoż by nadać Lidze zwartość rzeczywistą (une consistence réelle) by nie zawiodła w swoich wynikach, obie potęgi opiekuńcze winny zachować w pewnym stopniu preponderencję w sprawach Europy..."

Los projektu z jego wieloma niedomówieniami politycznymi leżał w wielkiej mierze w rękach Nowosilcewa, który nawet gdyby był przychylny Polsce, nie nadawał się do powierzonej misji przez swoją niepowagę moralną z którą się dosadnie rozprawił historiozof traktatów rosyjskich von Martens, oceniając wyniki londyńskiej misji Nowosilcewa. Pitt, zaledwie od kilku miesięcy na czele rządu i w ciągłej obawie przyszłej inwazji (którą dopiero za rok rozwieje Trafalgar), chce w projekcie Czartoryskiego widzieć tylko propozycję przymierza rosyjsko-angielskiego, bo jeżeli nawet za tym niecodziennym projektem w wykładzie osobliwego Nowosilcewa nie kryje się żadna polityczna intryga, to i tak o nim szczegółowo mówić nie można bo mapa Europy „będzie niepotrzebna przez następne 10 lat".

Rokowania zakończą się podpisaniem traktatu dnia 11 kwietnia 1805 roku i tylko w artykule 6 „osobnym" jest mowa o zasadach projektu, co do których układające się strony uważają już teraz za wskazane porozumieć się by nadać im rozgłos „natychmiast gdy szczęście wojenne wykaże tego konieczność".

> „Zasady te są: nie przeszkadzać bynajmniej narodowemu życzeniu Francji co do formy jej rządów, ani zresztą innym krajom gdzie połączone siły zbrojne zostaną zużyte; nie przywłaszczać sobie przed zawarciem pokoju podbojów dokonanych przez jedną lub drugą ze stron współwalczących i nie zawładniać obszarami lub miastami, które zostaną zdobyte na wspólnym nieprzyjacielu chyba, że się to stanie w imieniu kraju lub państwa do którego one, ze stwierdzonego prawa należą, lub w imieniu wszystkich członków Ligi, w innych wypadkach; wreszcie zwołanie po zakończeniu wojny kongresu powszechnego, by przedyskutować i ustalić na zasadach bardziej ścisłych niż to niestety miało miejsce dotychczas, przepisy prawa narodów, zapewniając im poszanowanie przez utworzenie organizacji zrzeszeniowej dopasowanej do położenia państw europejskich. (Système fédératif calculé sur la situation des différents États en Europe)".

Polskie piśmiennictwo polityczne zawiera zapewne wielu myślicieli, którzy rozważali sprawy organizacji międzynarodowej; król Stanisław Leszczyński, ks. Skrzetuski i Staszyc są spośród późniejszych. Żaden jednak z nich nie może być porównany z Czartoryskim którego projekt, może razem z projektem Abbé de St. Pierre, zachował akcenty tak współczesne, że transpozycje niektórych rozważań na język polityczny dzisiejszy nie wydają się być rzeczą czystej erudycji.

ZYGMUNT HAUPT

KAPITAN BLOOD

Kiedy po długiej niebytności wraca się do miasta narzuca się nieodparcie smutek. Zabija on radość powrotu do rzeczy, spraw i ludzi bliskich, których przez tyle miesięcy było brak i które to rzeczy za chwile zapomnienia mszczą się tym, że cynicznie, bez narkozy którą jest codzienny kołowrót bytowania, ukazują nam czas przebieżony. Pociąg mija znajome mi i zarazem obce lasy podmiejskie, potem migają przez okna śmietniska przedmieść, mury i kominy fabryk, pociąg chwieje się i zgrzyta na rozjazdach zwrotnic.

Przed dworcem tłok porannych przyjazdów. Jest smutny świt na niebie różowym jak z „papier maché". Idę chodnikiem w chłodzie poranka, uderza mnie spokój i sielankowość miasta które kiedyś było dla mnie, kiedy mnie pierwszy raz tu przywiozła matka, Labiryntem i Metropolis. Jedynie czcigodne kasztany, tych samych wymiarów co wszędzie różowiły się w skośnych promieniach słońca. Nędza patrzy z oczu stróżów kamienicznych u bram domów, kiedy z zamiatanych płyt chodników unoszą się opalizujące w cieniu obłoki miejskiego kurzu i jeży się szczypiorek trawki rosnącej między kostkami bruku.

Wzruszony i smutny docieram do swego schroniska. Nic się nie zmieniło w ścianach, które widziałem tak dawno. Kiedy myłem się w wodzie która wesoło i burzliwie tryskała z kranów umywalni, byłem w dalszym ciągu przygnębiony. Wyciągnięty jak długi na łóżku śledziłem czarne kreski śmigających za oknami jaskółek. Pustka mej pracowni odbijała wiernie hałasy podwórzowe. Byłem zmęczony drogą i zasnąłem sam nie wiedząc kiedy.

Zbudził mnie głód i hałas drukarni pod moją pracownią, hałas uparty od którego odwykłem. Ranny przyjazdowy pesymizm gdzieś się zapodział. Byłem ciekawy miasta i konfrontacji z nim.

Miasto powitało mnie „uchylającym zza rogu kapelusza Kohnem". W jego towarzystwie miałem je odszukać.

Indaguje mnie i informuje. Jest poranek recytacyjny młodej poezji. Już późno ale jeszcze coś złapiemy. Po drodze pilne i akuratne studiowanie anonsującego recytację afisza. Jest krytyka rzeczowa jego strony graficznej, którą komponował amator, dosyć pretensjonalnie, włącznie z czarnym kołem, punktem, akcentem mającym idealnie i kompozycyjnie podkreślić nowoczesność, odżegnać to wszystko co obwieszcza od jakiegokolwiek passeizmu i kwiatków.

— Z tą młodą poezją — krytykuje mój Cicerone — to tak jakbyś opowiadał, że byłeś kiedyś wicemistrzem gimnazjum przemyskiego w tenisie. Wygląda to bardzo przekonywująco kiedy mówisz „wicemistrz", podczas kiedy mistrz byłoby już fanfaronadą i nagim kłamstwem. Nie mogliby tego nazwać poezją, nawet przez jakieś monstrualnie wielkie P. No a największe laury — typuję — będzie zbierać „wujaszek"...

„Wujaszkiem" nie wiem dla jakich przyczyn nazywaliśmy poetę i najbardziej niebezpiecznego pojedynkowicza, jak wyciętego żywcem z komedii Bałuckiego.

— Ale Wara nie bierze dzisiaj udziału, za to będziemy go mieli z całą komsomolską bojówką — no a jeżeli i Połmiński tam będzie, to nie ma już po prostu miejsca dla reakcji... — Aha, Tadzia widziałem wczoraj z jego nową flamą, całkiem mi się nie podoba, robi wrażenie chudej Blumenfeldowej.

Prelekcja odbywa się w „Rozmaitościach", inaczej Domu Ludowym, inaczej Narodnym Dimie i właściwie trudno dociec jakimi drogami chadza przeznaczenie i utylitarność tego lokalu wylepionego złoconymi stiukami. Idziemy tam najkrótszą drogą.

Żyję w mieście zawsze bardzo oderwanym życiem ale nigdy nie czułem się bardziej poza jego nawiasem niż tego dnia. Ulice znane i opatrzone, jak do drażliwości znane rysy twarzy bliskich osób. Wśród znajomych murów i ścian traci się poczucie przestrzeni, nie ma nic co by odświeżało zmysły w trzech wymiarach orientujące, doznaje się ich atrofii. A sprawy własne albo wyprzedzają nas albo opóźniają. Czy nie jestem bardziej w tym właśnie miejscu do którego zdążam, jeżeli moje myśli przewidują już nowe okoliczności, nastrajają się do nich, mam wizję ich klimatu, moje doświadczenie potrafi mi ocenić z dużą precyzją wszelkie ewentualności, dedukcja pracuje całą parą, a faktycznie dopiero idę ku temu, jeszcze temu wszystkiemu nie nadążyłem.

Miasto. Czymś niebywale przypadkowym i bezplanowym jest to zbiorowisko domów, podwórz, placów, skwerów, ogrodów i ogródków. Właściwie z miasta zna się tylko niewielki procent odkrytych dla oka przechodnia powierzchni „komunalnych", perspektyw ulic, obramionych schodkowatą linią fasad domów i jest się zaskoczonym kiedy jakieś sprawy zaprowadzą w środku znanego kręgu budowli na jakieś podwórze lub piętro, gdzie pojawia się przed zdumionymi egzotyka niewidzianego nigdy z ulicy miejsca. To znów tak jak ze znanymi twarzami, które kryją poza sobą czeluście dziwaczne i frapujące kiedy przez kaprys przypadku znajdziemy się poza ich zwykłym dniem. Miasto ma tych nieznanych twarzy tysiąc, a drugi tysiąc był w czasie przeszłym i zabawnym zajęciem jest dopatrywanie się tych byłych obliczy, które z antykwarskich stalorytów i naiwnych biedermajerowskich akwarelek usiłuję sobie dofantazjować.

Więc miasto to druty tramwajowe, szyldy, krawężniki, ogrodzenia skwerków, budki z papierosami, wywieszki z gazetami, rury kanalizacyjne (kiedy wybebesza się, kiedy przeprowadzane są naprawy „zbrojenia" ulicy, wybebesza się te ulice), lśniące tafle szyb wystawowych (kapelusze Mossant, Stetsona, Habiga, Borsalino, kawa palona i łososiowego koloru damskie kombinacje i gorsety), barokowe fasady kościołów i kamienice.

A kamienica w moim mieście była dla mnie czymś najbardziej smutnym pod słońcem. Stercząc fasadą w stronę ulicy, stereotypowo rozbudowana ku podwórzu, z jednym schematem-planem, z klatką schodową jako trzon, mezzaninem-antresolą i piętrami, gdzie rozchodzą się po obu stronach pokoje i przestrzenie mieszkalne z systemem „korytarzowym" lub bez, mieszkania nieszczelne, z łazienką z czerwonym od rdzy, opalanym węglem piecem, łazienką która chronicznie nie była używana i miała najbardziej odstręczający charakter ze wszystkich ubikacji domu. Niektóre narożne domy były rozbudowane w gloriety, turret windows, okna weneckie, inne sterczały głuchym narożnikiem. I wszędzie klatki balkonów, w floresach żelaznych poręczy więżące mieszczański smutek i nudę. Czasem, bliżej centrum dom o nieposzlakowanej linii architektury empirowej. Ale długie ulice, które były kiedyś drogami dojazdowymi do miasta, zabudowanymi w latach osiemdziesiątych, kiedy po światowym kryzysie ekonomicznym rzucono się do lokowania kapitałów w budowlach, te ulice cechowała architektura reminiscencyjna, wszystkich stylów klasycznych, z dominującym typem renesansowych pałaców włoskich, jakichś Palazzo Chigi, Aldebrandini, Ricardi na mieszczańską skalę, z „rustyką" i „boniowaniem", z gipsowymi szczegółami ulepionymi na poczciwym „szarowaniu" piaskiem z Góry Piaskowej (stamtąd ciągną jednokonne wozy piaskowe, z tej Góry Piaskowej ten piasek, sieje się on jak z klepsydry spomiędzy szczelin desek na bruk i „Wiśta-wio!" kroczącego obok furmana). Naturalnie secesja wiedeńska wykwitła bogato girlandami nenufarów i „szelkami". Potem przyszedł styl nowy. (Młodzi studenci architektury o rozwichrzonych czuprynach i tudzież świetnych pullowerach wertowali z zapałem w salach rysunkowych Wasmuths Monatshefte für Baukunst, l'Architecture d'Aujourd'hui, Lloyd Wright'a, zachwycali się Dudokiem, domami z Hilwersum, architekturą kafli, szkła i metalu z Haarlem, Rotterdamu, krytykowali

Corbusiera, rysowali dyplomy i szli na architektów w oddziale budowlanym miasta i pod przemożnym naciskiem starego porządku odbijali stare domy i dolepiali do nich holenderskie twarze, hojnie szafując kolorowymi terrazytami, ku zadowoleniu świeżych kamieniczników).

Nic z tego nie mogło zabić piękności miasta. Może to sprawiało jego położenie, w dolinie wśród wzgórz, kiedy fala dachów zbiegała z nich ku wąwozom, w których dymiło i drżało miasto. Najpodlejsza, najsmutniejsza pod słońcem ulica miała swoją daleko smużącą się perspektywę albo niespodziewany, czarodziejski spadek lub zakręt. Nieporządek i bezplanowość zabudowań stwarzały romantyczne, niespodziewane pustacie, pozostawał w ruchliwym miejscu jakiś dom, pokryty zapomnianym, czcigodnie zmurszałym gontem, z ogrodem-anachronizmem za wysokim częstokołem z pordzewiałych prętów żelaznych ogrodzenia. Ulice zwężały się lub zakręcały w sposób urągający jakimś zasadom przelotności, logiki, racjonalności i wychodziły na majestatyczne place i fora, naokoło których nie było nic. Albo na przykład, szło się ulicą wybrukowaną normalnie, po miejsku mozajką, sterczą po obu stronach słupy latarń elektrycznych, zielenią się oliwkowym kolorem metalowe budki transformatorów, łuszczy się emalia na tabliczkach wskaźników hydrantowych, leżą w spadłych liściach kasztanowych metalowe, znormalizowane kubły na śmiecie — a obok — a obok, za zwartym szeregiem domów rośnie Gaj Hesperyd! Obłe wzgórze, ciągnące się aż tam gdzie dalekie i świecące oknami zabudowania kliniki, jest zielone od trawy i pochylone nad nią stare jabłonie, omszałe i drżące od wiekowości. Ich gałęzie i gałązki w ostatecznym wysiłku rodzenia nielicznych liści i płodzenia kwaśnych i małych jabłek, delikatną siateczką zarzucają koronkę czarną na błękit nieba. Są starczo zidiociałe, nie myślą i nie przeczuwają już życia, a w ich korzeniach i konarach tli się jeszcze wspaniały kiedyś i silny impuls, elan życiowy. Są zapomnianym cmentarzem drzew w środku miasta...

* * *

To było koło dwunastej i właściwie byliśmy spóźnieni. Na Wałach trzeba było długo czekać. Było to nieprzyjemne. Falował nieskoordynowany tłum. Byłem tak zajęty swoimi sprawami że nie uważałem, nie widziałem. Nie potrafię teraz powiedzieć jaki to był tłum. Nie mogę sobie przypomnieć czy był zbity, czy luźny, gorączkowy czy spokojny, czy był jak fala, czy wrzątek w kotle, czy jak oliwa w kadzi, czy ktoś temu przewodził, człowiek czy idea, czy cechowała go akcja czy inercja, dziwię się sam teraz, że można tak zapomnieć, tak przejść na głucho koło tego. Gdyby mnie ktoś teraz zapytał, zaindagował — powiedziałbym: Nie mogę sobie przypomnieć; gdyby ktoś się uparł i przypierał mnie do ściany: No jak, człowieku, nic nie możesz sobie przypomnieć? słuchaj! ani wrażenia? ani kształtu, barwy? nic? ani zapachu?... Aha zapach... coś jak stare zleżałe ubranie, pleśń... Daleko, ponad głowami widać było wyniesione sylwetki konnych policjantów.

A naprawdę to było tak. Corocznie w zimie magistrat uchwalał na posiedzeniach budżetowych roboty budowlane dla zatrudnienia bezrobotnych. Powiedzmy czterysta tysięcy złotych. Potem przychodziła wiosna, pieniędzy nie było. Miały być, gdzieś to się robiło, gdzieś rósł kwiat paproci w dżungli tropikalnej ekonomicznych praw, w cierplarnianym klimacie oparów lękliwe mimozy i delikatne storczyki złota. A na zewnątrz — kartel cukrowniany hypnotyzował sugestywną, wspaniałą reklamą („c u k i e r k r z e p i" — zagraniczne świnie), kartel cementowy swoje... ażeby dewizy... Przychodziło lato, pieniędzy jak nie było tak nie było, bezrobotni opalali się na wzgórzach wóleckich, tam gdzie Góra Stracenia, tam gdzie Pasieki Miejskie. Chleb się kupowało na połówki, ćwiartki, ósemki... Między kostkami bruku rosła w szparach zielona trawka.

A na Pożyczkę Inwestycyjną, na jej użytek Tadzio Wara napisał sugestywny slogan:

Obywatelu — stój i patrz!
Interes jasny, czysty jak szkło.
Państwo pożycza — Państwo oddaje,
Tysiąc za jeden — Milion za sto!

i sam śmiał się ze swojej blagi.

Pod koniec jesieni zaczynały wreszcie wozy ciągnąć z cegłami i czerwony, ceglany miał farbował stwardniałe od przymrozków błoto placów budowlanych. Wapno źle tężało. Na obradach budżetowych magistrat przewidywał sumy na roboty budowlane na następny rok.

* * *

Jesteśmy w Rozmaitościach pod koniec. Jestem po wsi, trochę oszołomiony rozgardiaszem świata ludzi zmieniających bardzo szybko swe attachement do rzeczy, jak to w mieście, trochę jestem przybity brudem, ciasnotą i smrodem ludzi w mieście i jest mi trochę smutno. Za kulisy teatru, gdzie zaszliśmy, dochodzi dziwaczny i przeobrażony głos recytatorów i świeci tu stalowy hełm strażaka, zasłuchanego nieruchomo w aliteracje i asonansy młodej poezji.

Po tym poranku idziemy nieporządnie, ludzie znajomi i nieznajomi do knajpy w Rynku, na obiad. Czcigodne studnie Rynku, w środku rozety muszli zbierającej wodę z bronzowych paszcz delfinów, na cokołach wznoszą się prosto i w wdzięcznym kontrapoście mitologiczne postaci Neptuna, Diany z liżącymi jej kolana chartami i konającym jeleniem — Akteon oparł stopę o groźny kłami łeb dzika, niewinne i przeczyste gołębie polatują nieregularnym trzepotem wśród tego i cyniczne kawki popstrzyły odchodami dumne głowy bogów i półbogów. Plac rynkowy właśnie uprzątają po targu, który trwał do godziny dwunastej i dzieje się to w zgartywaniu kup naci rozmaitych warzyw i kwiatów i ściąganiu stołków i straganów znaczonych literami MUT (Miejski Urząd Targowy).

Narożna knajpa rynkowa mieściła się w starej, siedemnastowiecznej kamienicy, podpartej przyporami, pomiędzy którymi były wejścia do sklepów albo do piwnic. Zanim się jeszcze weszło wiało stamtąd jakimś kwaśno-fermentującym zapachem, który był odurzający i miły i przykry. Było to jedno z miejsc gdzie się chodzi z odrazą a jednak stale się chodzi. Przepisowo wszyscy byli gwarliwi i bezceremonialni i nonszalanccy. W przejściu między bufetem napiętrzonym śledziowymi kanapkami a kontuarem z roślinnie apatyczną kasjerką, kłóciło się dwu podpitych i zaindyczonych jegomościów („— ja sobie wypraszam — pan wie z kim pan mówi?!"), dalej były małe salki pod ciężkimi sklepieniami.

Perorował przy stole profesor Deresz, wielki i otyły. Unosił swą masywną głowę nad złożonymi na stole rękami, świecił szkłami okularów, uśmiechał się plombami spomiędzy mięsistych warg. Mówił o swoim ostatnim pobycie w Paryżu:

„...ten kongres estetologów o który mnie państwo pytacie — mówił jak na uniwersyteckiej prelekcji, z pauzami i retorycznymi przystankami, głębokim, emfatycznym głosem — to było coś niezmiernie ciekawego. Spotkałem tam Lalo — znałem go jeszcze z dawnych czasów, ma niezmiernie ciekawe koncepcje — ale muszę wam powiedzieć że zapoznał mnie z niezmiernie ciekawym młodym malarzem holenderskim. Byłem w jego pracowni, to co mi pokazywał to było coś rewelacyjnego. Nie chodzi mi o formalną stronę, co do której można by się spierać, ale ma swój własny sposób na rozwiązanie problemu perspektywy. Interesowało mnie to ze względu na moje własne poszukiwania na ten temat, moją perspektywę odwróconą, u niego ma się do czynienia z czymś bardzo wyrozumowanym a zarazem robiącym wrażenie, że wypływa to z jakiegoś pozaziemskiego natchnienia. Z czym by to porównać — proszę państwa

— to coś przypominającego — proszę państwa — jakby świadomy siebie u drzeworytników wczesnego...

Piliśmy kolorowe wódki, specjalności lokalu, wchodzili nowi goście, z trudem rozdziewając się z płaszczy i kapeluszy w ciasnych przejściach. Alkohol uderzał z lekka do głowy. Ktoś usiłował sobie przypomnieć nazwę francuskiego aperitifu z Arles, gość, literat z Warszawy siedział znużony i natarczywie bawiony przez innych, na stole, na półmiskach czerwieniła się krwawo szynka litewska podana z sosem tatarskim i kaparkami, ktoś inny mówił o filogenezie. Ciężkie, wiśniowego koloru boazerie drewniane ścian lśniły w blasku lamp palących się mimo pełnego dnia z powodu niedostatecznego oświetlenia przez małe okna i furczał rozpędzony wentylator elektryczny. Gwar głosów mówiących razem przygłuszał sens zdań, wybijał się tylko ostry falset Wary:

— Takich jak wy pierwszych postawi się pod ścianę, najniebezpieczniejszy społecznie jest lumpenproletariat...

Ktoś usiłował uruchomić wielki gramofon stojący pod ścianą i wymuszone w końcu z niego dźwięki zachrypniętego walca popłynęły ku kolorowym, włoskim afiszom win, rozwieszonym na ścianach. Pamiętam jeszcze FIEZOLE, AQUILEĘ, CAPRI, FORLI, CATANIĘ, PALERMO, LAGO MAGGIORE spływające ku nam z zadymionych ścian knajpy. Blaty stołów były wymyte w ciągu wielu lat do białego mięsa i chropowate od słojów.

Słychać było głos majora Bliskiego jak opowiadał:

— ...piąty ułanów spieszony i rozsypany w terenie koncentrował na sobie ogień bolszewickich cekaemów. Generał niecierpliwił się w oczekiwaniu na drugi szwoleżerów i od samego rana wysyłał kogoś na ich spotkanie. W końcu przyszła kolej na porucznika...zaraz...zapomniałem w tej chwili jak się nazywał...który właśnie skądś wrócił, miał zhasanego konia, słabo zaprotestował — Panie Generale moja kobyła, ale generał na niego z góry, tak że siadł i pojechał, kobyła rzeczywiście chuda jak...z miejsca ruszył galopem, za piętnaście minut, czuję, moja kolej. Od rana wczesnego trzy razy już jeździłem, ale nie próbowałem nic powiedzieć, pojechałem. Ujechałem sto metrów, drugi szwoleżerów — noooh! tym razem mi się udało...

...co to jest czas? — krzyczał niepotrzebnie Wara, ze swoją głową caput mors, w której oczodołach świeciły jego niebieskie oczy — czy nie ma czasu? czy czas jest tylko złudzeniem? My tylko zmieniamy się w przestrzeni i to nam daje złudzenie przepływającego czasu. Tak jak materia przepływa przez nas jak przez maszynę, przez fizjologiczną maszynkę i potem wracamy i włączamy się w ten sam zasób materii. Więc jeżeli wrażenie zmiany — powtarzam zmiaaany! — — nazwiemy czasem to czas będzie niczym innym tylko ruchem a ruch znowu jest zależny od przestrzeni więc jedność czasu, ruchu i przestrzeni. Bertrand Russell powiada że właściwie we współczesnym świecie mamy całkowity przekrój czasu, z czasem przyszłym w Stanach Zjednoczonych, Rokokiem w Chinach i tak dalej... Można by to rozszerzyć na okresy geologiczne, gdzieś pod biegunami jest okres lodowy, z krateru Etny wylewa się magma czasów krzepnięcia ziemi, na Nowej Zelandii żyją ptaki dyluwialne...

— ...to wtedy wycofano tę dywizję piechoty za Bug — przerywa Bliskiemu pułkownik.

— ...jechaliśmy w nocy. Co za prześliczna to była noc, księżycowa, wśród lasów, takie drzewa, liściaste, szpilkowe, byłem śmiertelnie głodny. Patrzę — domy, sztab stoi, przedtem jeszcze szef sztabu powiedział do mnie, Pan poruczniku zaczeka tu na drugi szwoleżerów, bez niego niech Pan nie przychodzi, znacie tę głupią sytuację — ja podporucznik. Ale rotmistrz Rupp powiada do mnie, to są moi ludzie, sześćdziesiąt szabel, jakie jest pańskie życzenie, jedziemy zaraz czy czekamy na drugi szwadron? No to czekamy na drugi szwadron.. No a przed tą chatą siedzi dwóch

ułanów i zajada taką misę sera ze śmietaną i cebulą, a ja od świtu nic w ustach nie miałem. Więc zaraz do baby, najadłem się, tu sztab — gdzie mnie—podporucznik do stodoły na słomę. Rano wychodzę, tu tymczasem bateria zajechała za jakiś parkan i jak nie huknie mi nad uchem! Jedziemy dalej, ściąga się wszystko, artyleria wali po dwunastym ułanów...

— No taak — mówi z przekonaniem pułkownik.

— ...przejeżdżamy groblę...

— Aha, aha — poruszają się słuchacze.

—...przed nami poszła brygada kozacka, jakieś sześćset szabel, dowiedzieliśmy się o tym na drugim przyczółku grobii, ubezpieczenia nie było dywizja jechała na ogonach straży przedniej, dojeżdżamy, a tu piąty ułanów rozwinięty harcownikami na polu-polanie, dookoła lasy jak na dłoni, strzały rozpoznania, bolszewicy ustawili dwie baterie i jak nie gruchną, strzelali bardzo celnie, tu ułan wylatuje z koniem, granat, ułan wylatuje z koniem — major Bliski rysował paznokciem półkola na stole — nasza bateria zajęła tu stanowisko, tędy kozacy poszli dwa razy do szarży ale ich kartaczami odparto, piąty ułanów spieszył się, odesłał tu konie, kozacy obeszli tędy i tak z koni wystrzelali konie artyleryjskie. Mnie wysyła szef sztabu do drugiego szwoleżerów ażeby szarżował. Jadę, nie ma szwoleżerów, Rupp sam wykombinował na szczęście lepiej, poszedł na kierunek dziewięćdziesiąt stopni inny i dobrze...tam byłby trafił na pustkę, wyrąbał szablami dwie baterie...tędy o... — nowa rysa paznokciem na stole.

— ...naturalnie wszystko zależy od wyboru formy — dowodził profesor Deresz — fikcja sama w utworze literackim nie istnieje. Wszystko co jest napisane to już było, jeżeli nie dosłownie jako fakt zaszły to w takim razie jako jedna z bardzo bogatych możliwości jakie daje życie. Jeżeli przez psychobiologów jest dostatecznie dowiedzione, że mózg ludzki zdolny jest do opanowania myślowo straszliwie dużej lecz w konsekwencji ograniczonej — proszę państwa — ilości pojęć...powiedzmy dziesięć milionów... to ta liczba jest wypowiedzialna dla tego mózgu i czy to zostanie przetworzone wcześniej czy później jest to tylko kwestią czasu—jakby powiedział Czechow...

— ...demontowali właśnie ostatnie działo... Poszła kozacka szarża, patrzę...bagno usiane naszymi ludźmi i końmi. Wycofujemy się groblą, nasze konie potonęły zaraz, jesteśmy jak na dłoni a tu na tej wyspie pluton kozaków bije w nas. Ułani idą przy grobli, ciągną konie, usiłujemy ustawić ich na grobli, porucznik ten i ja...ale co ośmiu poradzi i niech tylko odwrócić oczy, porucznik strzela sam, patrzę ciągnie jeden jucznego konia z cekaemem, szef sztabu powiada do mnie...ale gdzie tu...bagno, ale rozkaz, więc jeden koc, drugi, dery i wszystko w wodę. Nagle ci kozacy wieją. Patrzę — jedzie drugi szwoleżerów, jedzie dwójkami, tamtędy znaleźli jakąś drożynę i wyobraźcie sobie! po jednemu przejechali...a kozacy ci z przyczółka bali się podsuwać... Wracamy na groblę, a byliśmy w wodzie często po pas, byłem spragniony...jak się położyłem, zacząłem pić wodę pełną komarów, glist, taką ciepłą i zieloną. Na grobli biało, ludzie pozrzucali mundury, w gaciach, strasznie to miękki naród, kazałem ubierać się, brać broń, idziemy, patrzę a tu jakaś kawaleria wyciągnięta ale to byli nasi — — X-ty ułanów...

Obiad się kończył i ktoś poddał żebyśmy się wybrali na film „Kapitan Blood". Literat z Warszawy poprawił prowincjusza, że wyjątkowo wymawia się nie Blud ale Blad. Kiedy wyszliśmy na ulicę okazało się, że w międzyczasie spadł deszcz i znów było pogodnie i słońce jaskrawo świeciło nam w twarze i drugie odbite od mokrych płyt chodnika świeciło i raziło nas z dołu i nie było od niego ucieczki ale byliśmy podnieceni i weseli idąc tak dużą paczką do kina.

Na ekranie działo się film z Errolem Flynnem i czarnobiałe pejzaże dalekich wysp wysypywały się na jego prostokąt.

ANTONI SŁONIMSKI

MODLITWA O SZARFĘ I TRUNEK

Daj mi nową, grubą książkę snów,
Daj mi nową butelkę ze snami,
Daj mi szarfę białą opatrunku,
Bo gdy zasnąć nie mogłem dziś znów,
Nie starczyło i szarfy i trunku.

Daj mi książkę, w której sen jak rym
Z każdej karty przechodzi na kartę,
Bandaż długi bym owijał nim
Rany w mojej pamięci otwarte.

Snów mi trzeba i zatraty w snach,
Snów ogromnych, jak warowne mury,
Poprzez które nie przeskoczy strach,
Pod któremi nie przemkną się szczury.

Daj mi senną, długą, złotą nić
Abym z dna mógł się odbić jak nurek,
Kiedy zacznę strasznie znowu śnić,
Wśród warszawskich piwnic i podwórek

Zagubiony w księżycowym kurzu,
Przytulony do twych zimnych nóg,
Na warszawskim znajomym podwórzu.
Rzuć mi linę długą abym mógł

Na londyńskie powrócić pięterko.
Daj mi wrócić i odbić się z dna,
A do ręki daj srebrne lusterko
Żebym poznał, że to jeszcze ja.

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

UPADEK MUSSOLINIEGO

Już trzeci dzień brakło w Rzymie wody. Trzeci dzień odgrzebywano rannych i zabitych, ale praca ta była zaledwie rozpoczęta, daleka od końca. W całej dzielnicy przykolejowej, tak jak pierwszego dnia, stały na ulicach rozbite tramwaje, leżały powyrywane żelazne słupy, gmatwały się po ulicach porwane druty elektryczne. Auta z trudnością posuwały się wąskimi przesmykami między gruzem i dołami.

Zabitych odgrzebywano ciągle i ciągle coraz więcej. Owijano ich w co bądź gdyż nie było trumien, odnoszono i odwożono na cmentarz.

Ludzie stojąc i patrząc mówili głośno to co myśleli i za co poprzednio zabijano. Nie zwracali uwagi na obecność żołnierzy, oficerów, policjantów i milicjantów faszystowskich.

Na pytanie jednej z kobiet gdzie zostaną umieszczeni bezdomni, druga odpowiedziała głośno mimo że była otoczona zwartym tłumem:

„Wypędzą kanalię i umieszczą ich w jego domu".

Kanalią miał być Mussolini.

O nim, o faszyźmie i o faszystach mówiło się wiele w ciągu tych dni. Na murach pojawiły się hasła przeciwfaszystowksie szerzone przez partie opozycyjne. Potajemnie lub na oczach wszystkich pisano obelgi przeciw Mussoliniemu i przewódcom faszystowskim.

Mussoliniego nazywano w nich najczęściej mordercą, bandytą, złoczyńcą, rogaczem.

Pisano:

„Śmierć mordercy".

„Śmierć bandycie".

„Śmierć złoczyńcy".

„Śmierć rogaczowi".

„Zamknąć w szpitalu wariata".

Tłum nie brał udziału ani w naprawianiu ulic ani w usuwaniu gruzów. Jedyną radą i jedynym ratunkiem w tym nieszczęściu było według tłumu wypędzić precz Mussoliniego i skończyć wojnę. Toteż tłum tylko stał, tylko patrzył i najwyżej komentował. Zawsze z ironią i nienawiścią. Łatwo wybuchał obelgami.

Przerażenie ogarnęło ludzi odwiedzających przykolejowe dzielnice gdy znajdując się tam usłyszeli syreny alarmu. Tłum pobiegł w stronę centrum miasta tłocząc się w ciasnych przejściach i złorzecząc, ale też i korzystając z okazji by zaatakować kilku faszystów, którzy chwilę przed alarmem rozlepiali afisze z wielkim napisem:

„Wytrzymać".

To słowo „wytrzymać" wykrzykiwano obelżywie za faszystami.

Alarm nie trwał długo. Ludzie, mówiąc z ironią o wszystkim co rządowe, powtarzali, że alarm ten był fałszywy, że dano go tylko po to by zapędzić ludzi do piwnic na czas gdy przewódcy faszystowscy wizytowali zburzone dzielnice.

Po alarmie, powiększając niepokój, podano w radio pierwsze liczby dotyczące bombardowania Rzymu. Powiedziano, że w nalocie tym brało udział ponad pięćset samolotów, że zrzucono ponad siedemdziesiąt tysięcy kilogramów bomb.

Ten pierwszy atak miał miejsce w dzień po wielkim przemówieniu nowego sekretarza faszystowskiej partii. Ludność mówiła o nim ze wstrętem powtarzając, że miał na sumieniu wielu zabitych w czasie gdy faszyzm walczył o władzę. Straszna to była mowa, wysłuchana ze śmiechem i drwinami gdy Scorza, głosem tragicznym, brzmiącym jak głos człowieka tonącego, powtarzał w niej wielokrotnie ten ponury refren:

„Wytrzymać, wytrzymać".

W dwa dni później podobnie przemawiał inny mówca. Ludność, biorąc to przemówienie za zły prognostyk, uwierzyła, że rano powtórzy się nalot. Toteż tego dnia gospodynie rzymskie już od najwcześniejszego rana przygotowały obiad i zabrawszy go ze sobą udały się wraz z rodzinami do schronów. Tego dnia mało kto pojechał do pracy. Rano było pusto na ulicach Rzymu i opustoszały też całkowicie dzielnice położone przy rzymskim węźle kolejowym, tym już sławnym San Lorenzo.

W tramwaju, którym tam pojechałem, ludzie mówili, że w dzielnicy tej dawał się już czuć silny zapach trupi rozkładających się pod gruzami ciał. Mówiono, że ciał tych znajdowało się wiele po zawalonych piwnicach, mówiono o kilku tysiącach lub o kilkunastu szepcząc, że rząd nie chciał podać prawdziwej liczby by nie powiększać oburzenia ludu. Ludność bowiem powtarzała coraz to uporczywiej:

„Anglicy uprzedzali by usunąć się z pobliża węzłów kolejowych. Dlaczego rząd tego nie ogłosił?"

Trupi zapach czuć było rzeczywiście zaraz w pierwszych ulicach dzielnicy. Pracowano tam bardzo powoli by nie powodować zawalenia się murów i śmierci tych, którzy żyjąc jeszcze czekali ratunku. Ciągle bowiem słyszano jęki, wołania o pomoc i ciągle straszliwe, szarpiące nerwy złorze-

czenia. Po dokopaniu się jednak do piwnic najczęściej wydobywano trupy zgniecione wielką masą murów które zwaliły się na nich. Odpędzano precz ludzi by tego nie widzieli bo nieraz były to tylko części ciał, nieraz ciała całkowicie zniekształcone którym brakło głów, nóg albo ramion, nieraz widziało się tam po kilka ciał zgniecionych razem w makabrycznym uścisku.

Noc zastała mnie w tej dzielnicy na rozmowie z biedakami, którzy musieli tam pozostawać by pilnować ocalałego dobytku, to jest tych stołów połamanych, szaf, łóżek, krzeseł i garnków pozostałych po katastrofie. Nie mogli od tego odejść, nie mogli tego ze sobą zabrać, nie mieli pieniędzy na opłacenie wozu. Spędzali noce siedząc na ulicy.

Z tymi ludźmi przesiedziałem czas nocnego alarmu w jednej z na pół rozwalonych piwnic. Czuliśmy tam silniejszy niż na ulicy odór rozkładających się ciał, pozostałych pod zawalonymi częściami tej samej piwnicy. Ludzie spali.

Po alarmie aż do Kolosseum doszedłem pieszo.

Smutna to była droga. Na chodnikach siedziały tłumy biedaków z tobołkami i z dziećmi. Widać było ich zmęczenie i wygłodzenie. Twarze mieli poszarzałe i wychudłe, byli brudni, obdarci, w brudnej bieliźnie.

Bezdomni, ewakuowani ze zburzonych dzielnic i ci którzy obawiali się spędzić noc w domu, siedzieli także i pod arkadami Kolosseum.

Rozmawiając z nimi natknąłem się na kobietę apatyczną jak i inni. Siedząc pod murem trzymała na kolanach opuchnięte niemowlę. Powiedziano mi o niej, że straciła pokarm w chwili przerażenia.

Nie miałem pieniędzy by odwieźć ją z dzieckiem do lekarza bo moje szczupłe zasoby wyczerpały się w dzielnicy bombardowanej na pomoc nieszczęśliwym. Wróciłem dopiero w godzinę później by pomóc tej kobiecie ale już jej nie znalazłem. Człowiek, który zajął jej miejsce powiedział mi, że poszła ona zanieść dziecko na cmentarz.

Tego dnia na ulicach centrum było pusto. Tylko bardzo rzadko widziało się ludzi. Ci byli cisi i zatrwożeni tym co ich czekało. Mówili, że na Sycylii ludność mordowała władze faszystowskie przed przybyciem wojsk amerykańskich i angielskich. Rząd obawiał się, że rzecz podobna mogła powtórzyć się w kraju i w Rzymie. Toteż w każdej chwili po miastach mógł się rozsrożyć faszystowski i niemiecki terror. Wiedziano, że do Rzymu przybywały coraz to nowe oddziały policji, że uzbrojono cywilnych agentów, ściągano zewsząd faszystowską milicję, zrbojono pewniejszych członków partii. Faszyści chcieli terroru. Inni, bardziej trwożliwi, nie widząc już dla siebie ratunku, wyjeżdżali.

Tak mówiono w sobotę. Tak jak poprzednich dni brakło tego dnia wody. Ludzie w uboższych dzielnicach przestali się myć.

Dzieci były brudne.

Nie funkcjonowały ustępy zawalone kałem.

Dzieci chodziły na ulicę. Ludzie wyrzucali kał w papierze na ulicę.

Ulice zaczynały cuchnąć.

Wiatr niósł do Rzymu wielkie ilości kurzu ze zburzonych dzielnic i coraz większy zaduch rozkładających się ciał.

Kobiety, już wystarczająco zmęczone wystawaniem po kolejkach i spędzaniem wielu godzin w piwnicach z dziećmi, musiały jeszcze podwójnie pracować by utrzymać czystość w domu i nosić wodę nieraz z bardzo daleka. Trudno im było na czas przygotować posiłek.

Ludzie byli źli. Na próżno zaglądali w bramach do skrzynek pocztowych. Listy z powodu przerwania komunikacji nie dochodziły. Wiedziano, że były bombardowane miasta, ale nie miano wieści od bliskich.

Każdego dnia mógł być nowy nalot na Rzym. Jakie pociągnąłby za sobą konsekwencje skoro pierwszy zdezorganizował życie na tak długo i skoro po raz pierwszy po dwudziestu latach zachwiał stanowisko rządu?

Komenda wojskowa ogłosiła zarządzenia na wypadek bezpośredniego zagrożenia Rzymu. Te zarządzenia i bombardowanie odwróciło uwagę rzymian od wypadków rozgrywających się na Sycylii. Wiedziano jednak, że poddawały się tam całe oddziały namawiane do tego przez ludność. Posiłki, żywność, uzbrojenie i amunicja nie dochodziły do Sycylii. Tamtejsza klęska była kwestią dni. Żołnierze nie chcieli się bić. Wiedzieli, że w kraju było gorzej niż na froncie. Byli namawiani do niestawiania oporu przez partie opozycyjne, wiedzieli, że ludność poza frontem czekała niecierpliwie chwili, w której mogłaby oswobodzić się od zbyt długo cierpianej dyktatury ludzi, o których nie mówiono inaczej niż „mordercy", „zabójcy".

Milicjanci faszystowscy wypisywali na murach:

„Duce".

Żołnierze dodawali do tego słowa swoje komentarze. Pisali uporczywie:

„Zabójca".

Cicho było w Rzymie w sobotę wieczorem i w niedzielę rano kiedy to po mieście poszła wieść o trwającej bez przerwy wielkiej radzie tych „morderców" i „zabójców", o wielkiej radzie faszystowskiej. Każdej chwili mogła przyjść wiadomość o udanym lub nieudanym zamachu stanu, o objęciu władzy przez antyfaszystowską generalicję albo o rozsrożeniu się faszystowskiego terroru i masakrze opozycjonistów. Liczono się z możliwością załamania się Mussoliniego nie mogącego się już oprzeć ani na królu, ani na wojsku, ani na ludności, ani na biurokracji, ani nawet na własnych ministrach.

„Ktokolwiek go zastrzeli" mówiono w mieście.

Nie wiedziano jeszcze o wyniku głosowania na radzie faszystowskiej i że Mussolini był już aresztowany. Przypuszczano i takie rozwiązanie sprawy. Ale przypuszczano także i to, co nastąpiło później, po porwaniu Mussoliniego przez Niemców, to znaczy terror i masakrę opozycjonistów, i okupację Rzymu przez wojska niemieckie.

Na ulicach było pusto. Ludzi widziało się tylko na przystankach tramwajowych. Mało kto był po barach i winiarniach. Nie wiedziano nic. Czekano wiadomości.

Rzym robił wrażenie wymarłego miasta. Pusto było także i o godzinie dziesiątej czterdzieści pięć wieczorem, o tej godzinie, o której podawano na świat wiadomość o zaszłych zmianach.

O godzinie tej znalazłem się w okrężnym tramwaju. Na jednym z przystanków, był to ostatni przystanek przed Porta Pinciana, wsiadł do tego tramwaju młody człowiek wyglądający na robotnika. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że ludzie w tramwaju nie wiedzieli jeszcze o podanym przed kilkoma minutami komunikacie radiowym. Był podniecony usłyszaną wiadomością. Chciał się nią podzielić z innymi, chciał mówić, ale chciał się też i zabawić nieświadomością innych. Śmiał się do siebie samego i w pewnej chwili powiedział głośno, śmiejąc się:

„Jabym tego rogacza, mordercę Mussoliniego powiesił i w ten sposób wszystko by się skończyło".

Potem, korzystając z osłupienia ludzi dodał jeszcze głośniej niż poprzednio:

„Dość nacierpieliśmy się w ciągu dwudziestu lat przez tę kanalię faszystowską".

Ludzie odstąpili od niego mimo ścisku panującego w tramwaju. W głębi ktoś wybuchnął śmiechem.

„O kim pan mówi?" — spytał ktoś inny, stojący bliżej.

„O tym kanalii Mussolinim" — odpowiedział robotnik tak głośno, że jego słowa usłyszano w całym tramwaju. Ludzie zerwali się z miejsc. Ktoś zaczął uporczywie dzwonić na konduktora i krzyczeć by zatrzymano tramwaj. Ktoś inny krzyknął do robotnika:

„Milcz".

To on rzucił się w stronę robotnika i zaczął się z nim szamotać mając rewolwer w ręce. Kilku innych rzuciło się do nich by ich rozdzielić. W tramwaju śmiano się histerycznie gdy tymczasem robotnik, oswabadzając się od stakującego go agenta krzyczał głośno:

„Komunikat radiowy podał do wiadomości, że Mussolini został dymisjonowany. Marszałek Badoglio objął rząd a król naczelne dowództwo. Nie ma już faszyzmu".

Zatrzymano tramwaj. Była to Porta Pinciana przy której mieli czekać moi przyjaciele. Popatrzyłem za agentem, który wysiadł na tym samym przystanku. Stał na ulicy oszołomiony tym co usłyszał, nie wiedząc co ma ze sobą zrobić. Potem zaczął biec w stronę placu Fiume, w okolicy którego znajdował się komisariat policji. W tramwaju śmiano się jeszcze.

Ulica była prawie ciemna i całkowicie pusta. Tylko na rogu, ponad kawiarnią, otworzyło się okno i ukazały się dwie kobiety.

„Czy to prawda? — spytałem nie wyłuszczając nawet co miało być prawdą. Słyszały komunikat radiowy. One także nie mówiąc co miało być prawdą odpowiedziały po prostu i jednym słowem:

„Tak, to prawda".

W dole, w okolicy hotelu Exelsior, widać było kilku ludzi. Z innych ulic słyszało się pojedyńcze okrzyki:

„Niech żyją wolne Włochy".

„Niech żyje król".

Okna były pozamykane. Poza kilku osobami na ulicach pusto. Poza tymi okrzykami cicho.

Jakiś człowiek mający około trzydziestu pięciu lat, ubrany w granatowe spodnie i białą koszulę z zawiniętymi rękawami powtarzał uparcie okrzyk:

„Niech żyją Wolne Włochy. Niech żyje król".

I za każdym razem dodawał nawołując ludzi do demonstracji :

„Do Kwirynału".

Ten okrzyk, nawołujący do udania się pod zamek królewski powtarzał uparcie, mimo że nie był on podejmowany przez nikogo innego. Powtarzał ciągle, niezrażony tym, że oglądano się za nim z ciekawością i niezrażony tym, że nikt tego okrzyku nie powtarzał. Nie ustawał. I jego upór sprawił wreszcie, że kilka osób zaczęło iść za nim w stronę Kwirynału.

Nie było to jednak łatwe. Nie szedł on bowiem najkrótszą drogą. Wstępował do innych ulic, krążył po dzielnicy ciągle krzycząc i ciągle chcąc wywołać entuzjazm w zaspanych ulicach. Toteż łatwo stało się zrozumiałe, że był to agent policji mający za zadanie spowodowanie demonstracji na rzecz króla. Prędko utwierdziłam się w tym przekonaniu słysząc w pobliżu królewskiego zamku innych mężczyzn tak samo jak on samotnie nawołujących do prokrólewskich demonstracji. Jednym z nich był ten sam, który przed godziną atakował robotnika w tramwaju. Już się przyzwyczaił do tego, że o Mussolinim mówiono głośno to co myślano. Szedł ulicą prowadząc za sobą grupę ludzi i powtarzał głośno, uparcie, jednostajnie:

„Niech żyje król".

„Niech żyją Wolne Włochy".

„Niech żyje Badoglio".

Miał rozchełstaną koszulę, otwartą marynarkę, był bez kapelusza, rozczerwieniony od entuzjazmu spełnianego zadania, głos miał ochrypły.

Ktoś krzyknął:

„Precz z faszyzmem".

Agent przeczekał ten okrzyk, dał mu przebrzmiać i potem podjął swoje:

„Niech żyje król".

„Niech żyją Wolne Włochy".

Widać było, że demonstracje antyfaszystowskie nie należały do jego obowiązków.

Ludzi w stronę zamku królewskiego szło coraz więcej. Pod zamkiem zagęściło się od tłumu. Było tam już kilkaset jakichkolwiek osób, zapóźnionych przechodniów, ludzi którzy wyszli z kin i z teatrów, chłopaków, uliczników. Stali patrząc na gwardie królewskie i żołnierzy trzymających wartę, czekali na to co miało nastąpić.

Człowiek ubrany w granatowe spodnie i białą koszulę, ten który przyprowadził ludzi sprzed hotelu Exelsior, wdrapał się na latarnię przed zamkiem królewskim. Trzymał skądś już wydostany sztandar królewski i trzymając go wysoko w ręce chciał podniecić tłum do owacji na cześć króla. Od czasu do czasu, gdy tłum się uciszał, zaczynał on przemówienie. Mógł je jednak tylko zaczynać, ludzie bowiem zaczynali już wznosić okrzyki samodzielnie, przez nikogo nie zachęcani. Mówił więc tylko to:

„Włosi"!

Potem, gdy znowu następowała chwila ciszy, powtarzał ten swój początek przemówienia:

„Włosi"!

Na tym jednak kończył.

Ludzie we Włoszech nie byli przyzwyczajeni do samodzielnego wyrażania swych uczuć. Nie wiedzieli co robić. Stali i patrzyli. Słyszało się tu i ówdzie w grupach namowy bardziej trwożliwych, by iść do domu. Obawiano się, że mogą być awantury, że cała ta historia może się okazać prowokacją. Niektórzy, śmielsi, oświetlali elektrycznymi latarkami balkon zamkowy znajdujący się nad bramą. Król jednak nie wychodził, ani nie pokazywał się w oknie, mimo że okrzyki na jego cześć zaczynały się powtarzać coraz częściej. Mówiono, że zamknął się w Villa Savoya gdzie miało odbywać się posiedzenie nowej rady ministrów.

Publiczność nudziła się wyraźnie. Kilka kobiet zaczęło obejmować żołnierzy by imitować rewolucyjne bratanie się tłumu z wojskiem, ale entuzjazm nie chwytał. Ludzie poważniejsi zaczynali się rozchodzić. Pozostawał tłum niedorostków. Śmiano się z jakiegoś staruszka który trzymał jeszcze znaczek faszystowski w klapie marynarki. Okazało się, że zmieszawszy się z tłumem stojącym przed zamkiem nie wiedział nawet co zaszło.

„Szedłem do domu, zobaczyłem ludzi pod zamkiem więc myślałem, że się coś stało i poszedłem" — tłumaczył.

Potem dodał nieśmiało:

„Myślałem, że może wojna się skończyła".

Wyśmiewany przez uliczników nie odpowiadał im, tylko rozglądał się nieufnie po twarzach jeszcze nie wiedząc czy ludzie nie kpią sobie z niego. Potem, ocierając sobie pot z twarzy i z karku zaczął pytać cicho bardziej dorosłych „czy to prawda". Odpowiedziano mu poważnie, że tak. Wtedy starzec, jeszcze nie zupełnie przekonany powoli odpiął znaczek partyjny. Potrzymał go chwilę w ręce i widząc, że nikt już na niego nie zwraca uwagi, wsunął go do kieszeni.

Tłum chciał robić cokolwiek. Król się nie pokazywał. Nic się nie zdarzało pod zamkiem. Nie opłacało się tam przychodzić. Mogło to nawet być niebezpieczne, ciągle bawiem nadciągali żołnierze tworząc kordony przed wejściem do pałacu. To niektórych zniechęciło do demonstrowania. Ktoś zaczął nawoływać do demonstracji na rzecz marszałka Badoglio, nowego prezesa rady ministrów. Krzyczano by iść pod jego mieszkanie. Ale to także nie chwytało. Inni jednak chcieli iść do redakcyj faszystowskich dzienników. Ci byli bardziej uparci, mimo że odosobnieni. Ale publiczność obawiała się strzelaniny z faszystami mogącymi się bronić po redakcjach i policji. Przeciwni temu byli także agenci nadciągający z nowymi grupami pod zamek. Ci nie podchwytywali okrzyków by iść do redakcji dziennika „Praca faszystowska" lub „Dziennik włoski". Mimo to część tłumu poszła za ludźmi nawołującymi do zajęcia dzienników faszystowskich. Część tłumu była już rozgorączkowana i zaczęła się

wyłamywać spod opieki agentów. Nie interesowało go już demonstrowanie na cześć i na rzecz króla. Przyjrzałem się grupie ludzi stojącej przy mnie. Była tam jedna kobieta i trzech mężczyzn już rozgorączkowanych. Ale gdy jeden z nich jeszcze raz wzniósł okrzyk na cześć Wiktora Emanuela drugi trącił go łokciem i mruknął:

„Daj spokój. To wspólnik".

Powiedział to i zaraz wykrzyknął:

„Niech żyją Wolne Włochy".

Tym razem nacisk położył na słowo „Wolne".

Ci trzej zaczęli iść za ludźmi nawołującymi do udania się do redakcji dzienników. Jeden z nich, z kobietą, szedł chodnikiem. Dwaj inni, trochę nieśmiało, przyłączyli się do dużej grupy mężczyzn idących ulicą. Najpierw wstydząc się tego co robili i robiąc to nieśmiało, potem zapalając się coraz bardziej i coraz bardziej rozgorączkowani i stanowczy, pomagali zatrzymywać na ulicy auta by sprawdzać kto jedzie.

W ten sposób tłum zaczynał obejmować władzę na ulicy. Ośmielał się coraz bardziej nie napotykając na opór. Policji nie było i nie było wojska. Zaczynało się słyszeć pierwsze okrzyki antyfaszystowskie. Zdania, które przed kilkoma dniami wypisywano na murach w San Lorenzo, tego wieczora słyszało się krzyczane publicznie na głównych ulicach Rzymu.

„Zabójca".

„Morderca".

„Rogacz".

„Śmierć zbrodniarzowi".

Te słowa słyszało się najczęściej.

Rozgorączkowani chłopcy wdrapywali się na zatrzymywane auta i bili pięściami w ich szyby gdy nie chciano otworzyć. Wygwizdano urzędnika hiszpańskiego, wszyscy jednak przejeżdżający autami potrafili się wylegitymować. To sprawiało zawód. Tłum chciał dostać do rąk jakikolwiek łup. Tu i ówdzie, nie mając celów konkretniejszych, strzelano w powietrze. Wołano przechodzących żołnierzy by przyłączyli się do tłumu. Nawoływano mieszkańców wyglądających oknami by schodzili na ulicę. Bito szyby w instytucjach faszystowskich. Nie zaczepiano jednak żołnierzy niemieckich.

Tych żołnierzy widziałem kilku w ciągu wieczoru. Przemykali pod murami trzymając się ich jak najbliżej. Rewolwery mieli w ręce, przy piersiach. Rozglądali się niepewnie. Widać było, że i oni zostali zaskoczeni przez sytuację. Szli pospiesznie. Jak najkrótszymi drogami chcieli dostać się do swych hoteli. Rozczerwienieni byli lub bladzi i zawsze z rewolwerami przy piersi, gotowymi do strzału.

Tłum interesował się jednak raczej autami, którymi mogli uciekać faszyści. Tłum, zatrzymując auta krzyczał:

„Nie dajcie uciec bandycie. On jest odpowiedzialny za San Lorenzo".

Nie wiedziano jeszcze, że Mussolini był aresztowany. Łudzono się, że znajdzie się w którymś z zatrzymywanych aut. Jeżeli nie on to przynajmniej któryś ze znaczniejszych i bardziej znanych faszystów. Ciągle jednak chodziło o niego i ciągle powtarzał się ten okrzyk:

„Nie dajcie uciec mordercy".

Na centralnej ulicy Rzymu, na Corso Umberto, tłum zgęstniał. Szturmowano do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Krzyczano, że schronili się tam faszyści. Tłum wtargnął do bramy został jednak wyparty przez wojsko.

Ulica była zasłana podartymi dziennikami i afiszami propagandowymi. Szturmowano do redakcji bijąc szyby w gablotkach reklamowych i szturmując do wejść. Ale i tam nadjechały auta z wojskiem, które zaciągnęło warty tworząc kordon przed całym gmachem.

Zaczęto nawoływać do udania się na plac Wenecji. Tam był pałac zajmowany poprzednio przez rząd. Ten pałac, z którego balkonu Mussolini wygłaszał przemówienia.

Tłum zgęstniał jeszcze bardziej. Wojska nie było. Nie było policji. Nikt nie stawiał oporu. Niczego nie broniono. Na placu Wenecji chłopcy rzucali kamienie w okna zamkniętego pałacu. Szturmowali do głównego wejścia, przed którym kilka godzin wcześniej stały warty faszystowskie i które otaczali agenci policji. Nie było agentów. Chłopiec szesnasto albo siedemnasto letni, znalazłszy gdzieś gruby drewniany pal, bił nim w drzwi. Ten robił wrażenie młodego rewolucjonisty ze starych obrazów. Był rozczerwieniony, bez marynarki, w koszuli rozchełstanej na piersiach. Miał zawinięte rękawy, jeden z nich szeroko rozdarty. Trzymał swój pal oburącz. Bił nim zawzięcie. Potem, zawołany przez innych i widząc, że jego wysiłki nie były podejmowane przez towarzyszy, zaczął tym palem bić w szyby wsuwając go między kraty okien. Pracę swoją wykonywał starannie i systematycznie. Żadnej spośród wielu tych drobnych szyb nie darował. Łomot jego pala słyszało się bardzo długo, najpierw od strony frontowej pałacu, potem w kącie, tam gdzie znajdowała się biblioteka.

Tam, w tym kącie bardziej zacisznym i mniej pancernym, pali tych pojawiło się więcej. Jeszcze chwila a wtargniętoby od tej strony do pałacu.

Nadjechały jednak ciężarowe auta z wojskiem. Nadjechały pospiesznie, tak jak straż do pożaru.

Tłum, jak zwykle w podobnych okazjach, chciał mieć wojsko za sobą. Toteż zaczął wznosić przyjazne okrzyki. Zaczęło się od tego, że ktoś krzyknął:

„Niech żyje wojsko".

Tłum podjął ten okrzyk dodając do niego inne. Ludzie ożywili się, zaczęli znowu wiwatować na cześć króla i Wolnych Włoch. Ale żołnierze, nieprzejednani tym, zaczęli brutalnie i sprawnie odpychać ludzi od murów pałacu i od okien. Dało się słyszeć kilkanaście strzałów. Tłum ogarnęła na chwilę panika.

Po chwili jednak okazało się, że żołnierze nie mieli złych zamiarów w stosunku do manifestantów. Ludzie uspokoili się powoli. Szyb jednak już nie bili. Zaczęli iść w stronę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych bo rozeszła się wieść, że bronili się w nim faszyści. Rzeczywiście słyszano z tamtej strony strzały. Człowiek zakrwawiony, pierwszy ranny którego widziałem tej nocy na ulicy, mówił, że wyrzucano tam faszystów oknami. Inny dodawał, że popełniło tam samobójstwo kilku wyższych urzędników faszystowskich.

Ale gdy tłum z placu Wenecji doszedł do zabudowań Ministerswa zastał także i tam kordony wojskowe.

Opowiadano sobie, jedni drugich podniecając, że w uboższych dzielnicach rozbijano związki faszystowskie i mieszkania znaczniejszych ludzi reżimu. Mówiono, że znalezionych wyrzucało się tam oknami, że plądrowano mieszkania szukając żywności i że znajdowano jej wiele.

Przeszedłem jeszcze raz miasto. Wszędzie ulice były zasłane dziennikami z przedednia, znalezionymi w redakcjach i w kioskach ulicznych. Na jezdniach walało się wiele papieru wyrzuconego z rozbitych związków faszystowskich. W wielu domach gdzie mieściły się te związki były powywalane drzwi i okna. Wszędzie jednak nadciągało wojsko, wszędzie widziało się kordony żołnierzy z bagnetami na karabinach. Ulice zaczęły pustoszeć.

Całą noc krótkofalowe stacje radia włoskiego powtarzały na świat i we wszystkich językach wiadomość o dymisji Mussoliniego. Odczytywano tekst proklamacji wystosowanych do włoskiego narodu przez króla i przez marszałka Badoglio. W proklamacjach tych ciągle jeszcze mówiono jednak o królu jako o cesarzu Abisynii. Tyle tylko, że opuszczano rok ery faszystowskiej poprzednio obowiązującej.

Dopiero w poniedziałek rano tłum zaczął panować na ulicy. Był to już inny tłum. Gdy poprzedniego dnia jego większość stanowiła inteli-

gencja, kobiety i niedorostki, to nazajutrz rano zaczęli przeważać mężczyźni z robotniczych przedmieść Rzymu. Ulica zaczęła nabierać wyglądu z przedednią rewolucji.

Tłum opanował autobusy, tramwaje, taksówki i napotkane na ulicy auta prywatne zmuszając szoferów do objeżdżania miasta. Na ulice centralne zaczęły wychodzić całe przedmieścia. Pokazali się ludzie wygłodniali i obdarci. Mówiło się, że tego ranka w centrum Rzymu znaleźli się wszyscy ci którzy musieli opuścić San Lorenzo. Nie widziało się ludzi w kapeluszach. Mało kto z demonstrantów był w krawacie i mało kto w marynarce. Widać było bosych. Twarze były rozgorączkowane. Okrzyki na cześć króla zostały zastąpione okrzykami na cześć Matteotiego. I dopiero tego dnia demonstracje przybrały charakter antywojenny, mimo że proklamacja rządowa kończyła się zdaniem: „Wojna trwa".

Tłum odpowiadał na to okrzykami:

„Precz z wojną".

„Niech żyje rewolucja".

„Niech żyją Wolne Włochy".

W okrzykach tłumu widać było, że to Wolne Włochy były inne niż poprzedniego dnia. Tak wyglądał ranek dwudziestego szóstego lipca. Tego ranka jednak na mieście była już z powrotem policja. Bo zniknęła ona tylko na jeden wieczór. Było wiele wojska. Na placu Wenecji ustawiono rzędem armaty. W wielu miejscach przejścia zostały zatarasowane przez kordony wojskowe. Ułożono zasieki z worków wypełnionych piaskiem. Ustawiono na rogach ulic karabiny maszynowe. Nowy rząd obejmował władzę.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

CIEŃ GRUZJI

Jan szedł niespieszący ulicą paryską, jakby to wszystko, co przeszedł przez tych lat pięć, było tylko snem, złym, koszmarnym snem. Świeciło jasne, grudniowe popołudnie, zupełnie wczesne jeszcze, toteż w tej części miasta nawet przechodniów było mniej jak zwykle. Było zatem i mniej mundurów obcych, mniej kaczkowatych, krzykliwych Amerykanów, mniej szykownych Anglików, mniej wojny i mniej khaki. Za to most Aleksandra III piętrzył po dawnemu swe złocone, kałamarzowe szpetoty, konie, syreny i piersiaste postaci, symbolizujące Republikę Francuską i Imperium Romanowych; i most ten, który nigdy nie budził w Janie miłych reminiscencyj, tym razem był mało polityczny, a za to bardzo dziewiętnastowieczny i paryski. Złocista szpetota carskiego mostu nabrała przez te lata patyny antyku. Idąc mostem, Jan obejrzał się za siebie, na lewy brzeg Sekwany. Chciał jakby przekonać się osobiście, czy jest — jak dawniej — na miejscu Kopuła Inwalidów i wieża Eiffla. Były. Ze szczytu wieży tak zrosłej z wspomnieniami Paryża, jak widok piramid z Egiptem, drapaczy chmur z wjazdem do Nowego Yorku, a kolumna Zygmunta z Warszawą, zwisała znowu tricolore, jakby większa tylko niż ta, która zwisała tam dawniej. Jej czerwień, biel i błękit były także jakby świeższe, niż przedtem. Dalej od wieży Eiffla rysowała się błękitniejąca w mglistym powietrzu paryskim Kopuła Inwalidów, niezmieniona, spokojna i daleka. Jan zszedł już z mostu i szedł skrajem w górę Champs Elysées. Po drodze mignęła znajoma twarz. To Florian Sokołów, po generalsku i angielsku wykwintny w swym mundurze War Correspondenta,

szedł w dół od Etoile'i, pilotując śliczną, młodziutką dziewczynę, Amerykankę najwidoczniej, chłonącą rozwartymi oczyma nieznany Paryż. „Panie Jasiu, musimy się zobaczyć, ja stoję u Scribe'a. — Jak Manuel?" — zamachał życzliwie Sokołów i zaraz odsalutował z łaskawym wdziękiem dwóm młodym brytyjskim podporucznikom gwardii, którzy na jego widok wyprężyli się i zabili salutem w dach.

Po tym Paryżu Jan chodził, jak po mieście czy miejscu dawnych, minionych wspomnień, i może dlatego nie szedł dalej Polami Elizejskimi ku majaczącym w słonecznym, błękitnym powietrzu masywom Łuku Tryumfalnego, ale naraz zawrócił, skręcił na lewo, ku niewielkiej i dosyć wąskiej uliczce. Kasztany i platany Pałacu Elizejskiego, tuż po prawej, z zamkniętą siedzibą prezydentów Republiki, rozścieliły tu pod nogi żółte, szeleszczące i nieuprzątnięte liście. Janowi przypomniała się naraz owa scena z pierwszych prawie wierszy „Pana Tadeusza".

„Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek
I obiegłszy dziedziniec zawrócił pod ganek.
Wysiadł z powozu. Konie zostawione same
Szczypiąc trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto, bo drzwi od wewnątrz zamknięto
Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przymknięto.
Przyjezdny do folwarku nie biegł sług zapytać
Odemknął, wbiegł do domu; pragnął go powitać
Dawno domu nie widział". —

Nie wiedział, czemu to właśnie. Paryż nie przypominał w niczym cichego dworu w Soplicowie, a jeep, którym wczoraj dobrnęli do Cité Universitaire, także nie był zbyt podobny do litewskiej „dwukonnej bryki". Ale nie: wiersze Mickiewicza nie bez racji dźwięczały echem w szeleście liści Elysées! Jan także:

„Biegał po całym domu i szukał komnaty
Gdzie mieszkał, dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
Te same widzi sprzęty, te same obicia
Któremi się zabawiać lubił od powicia
Lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdały..."

Tak, za każdym krokiem tej popołudniowej *flânerie* nachodziły Jana strzępy wspomnień i strzępy wierszy. Aż zrozumiał. Tajemnica skojarzeń była prosta: oto w ciągu niespełna tych czterdziestu lat Janowego żywota kolejno zawalały się za nim światy jego dzieciństwa, młodości, wieku męskiego nawet. Zawalił się nasamprzód daleki Kaukaz dzieciństwa ze wspomnieniem ojca-inżyniera i drewnianej daczy w pięknej Soczi, i Erzerumu, i Tyflisu. Zawaliła się i zgorzała brzozowa Białoruś ze Słucka, pylne drogi, którymi od stacji w Orszy jechało się do matczynej babki, starej pani, co korespondowała z Orzeszkową, trzymała w strachu psy, służbę i wnuki, i taiła w sercu dozgonnie nieukojony żal, że najmilszą z córek wydała za „człowieka z miasta". Te oba światy — Kaukaz i Białoruś — zawaliły się najprędzej i najwcześniej. Zawaliły się nawet tak dokładnie, że Jan przyjął to jako konieczność, niezbędność, jako coś — niejako — naturalnego. Tak samo, jak naturalnym jest, że w pewnym wieku porzuca się dziecinne, ongiś kuszące, zabawki, że nie wraca się do dziecinnych zabaw ani ubrań. — Dopiero pobyt w Anglii otworzył mu oczy na to, że normalnie jest, i powinno być, inaczej. Będąc na stażach w brytyjskich pułkach Jan odkrył, że jego angielscy koledzy posiadają jakiś swój *home* — nawet gdy nie jest ich własnym — że gdzieś, w jakimś Somerset albo Salop, albo Huntingdonshire, albo Norfolk, albo Devon, jest jakiś dom ich dziadków, gdzie są te same wypłowiałe obicia, które pamiętali dzieckiem, te same wiktoriańskie fotografie dawno pomarłych osób, gdzie zmieniają się tylko drwa na tych samych kominkach, psy uśpione przy tych samych fotelach, i gdzie wojna — to coś, co dzieje się daleko bardzo, a rewolucja

— czymś, o czym czyta się w gazetach, jak o wybuchu wulkanu, tornadzie na Antylach, czy gejzerze na Islandii. Paru kolegów Jana zabrało go do siebie na takich kilka dni urlopu, i wtedy dopiero Jan uświadomił sobie, że normalną rzeczą nie jest, by kraje naszego dzieciństwa czy młodości obsuwały się jedne po drugich w przepaść: normalnym jest, by trwały trwalej, niż jedno życie, niż czyjaś młodość. Trwalej niż parę pokoleń. Zarazem Jan uświadomił sobie wtedy, jak wielkim podtrzymaniem dla Johna, Teddy'ego, Boba, dla Phelpsa, dla Cromarty, dla Irwinga był — za ich dni dunkierskich, burmeńskich, włoskich, singapoorskich: w oflagu czy japońskiej niewoli nawet — ów fakt, że gdzieś tam w Anglii jest jakiś Linby Hall, czy Wencesworth Hill, czy Dartley Lodge, czy jak tam się zwały, najskromniejszy, nawet całkiem skromny, ale *swój*, rodzinny home, gdzie tak samo liście żółkną w alei na jesień, tak samo króliki wyrządzają szkodę w ogrodzie wiosną, tak samo ciecze po kamieniach jakiś nic nie znaczący dopływ Severn, Leach czy Yare, tak samo postman przychodzi o 9.30 rano, a mleczarz już o ósmej, tak samo ciotka Betty — w najgorszym razie Marjorie, czy Fannie — celebruje o piątej po południu zawiły, a niezmiernie ważny herbaciany obrzęd. Jan zrozumiał, że trwałość tego home'u jest tak samo podstawowa dla trwałości Imperium, jak Król, jak Parlament, jak Navy, jak Bank of England — cztery filary i świętości Zjednoczonego Królestwa. A gdy to sobie uświadomił, uświadomił sobie zarazem, że olbrzymia większość Polaków nie ma tego, co mają tamci. Wykrył jeszcze jedną polską nędzę. Dziecko, które jest podrzutkiem, nawykło do tego, by nie mieć matki i ojca, ale uświadamia sobie ich brak, gdy widzi inne szczęśliwe dzieci. —

Jan widział, jak potrzeba home'u wdrąża się tu i u innych emigrantów, jak czasem wykoszlawiała się w chorobliwe skrzywienie. Kontakty angielskie obudziły w nim jednak tęsknoty za tymi różnymi home'ami, jakie nie przetrwały w jego życiu dłużej, niż dzieciństwo czy młodość. Po upadku warszawskiego powstania Jan wcześniej niż inni zdał sobie sprawę z jeszcze jednej smutnej rzeczy: oto, że Polska jego młodości, to jest Polska lat pomiędzy 1922 a 1939 r., osunęła się w tę samą przepaść czasu, w jaką stoczyła się ongiś drewniana dacza w kaukaskiej Soczi, i senna, zadumana Białoruś pylnych traktów, brzozowych borów i łopuszańskiego domu. — To, co teraz będzie, gdy wrócę — jeśli wrócę — będzie już inną Polską. Może dla jednych lepszą; może dla innych gorszą. Ale dla wszystkich inną. — I dlatego tym miłościwszymi oczyma popatrzył teraz Jan na Paryż. — Bowiem Paryż nie był obcy. Paryż ocalał. Paryż pozostał. Uliczne powstanie, jakie zmiotło z tych bruków brunatne ślady swastyki było jak silna letnia ulewa, która tylko zmywa asfalt, odnawia zieleń liści i orzeźwia chłodem powietrze: nie było, jak w Warszawie, burzą, która łamie korony sosen i obala na ziemię dęby. — Tak, Paryż pozostał. — I Paryż nie był obcym; przeciwnie Paryż był bliższy, niż te miasta i miasteczka angielskie, gdzie przecież Jan spędził więcej czasu, niż tu. Jak? Dlaczego? Tajemnica kontynentu? Jednego i tego samego kontynentu i dla wspaniałego Paryża, i dla dalekich Łopuszan czy jeszcze dalszej Soczi? Może... Ale jeszcze i echo dzieciństwa, kiedy mowa francuska, jak to wtedy w Rosji bywało, wcześnie zawisła nad kołyską, kiedy w opowieściach starszych często przewijał się Paryż. A potem trzy kolejne paryskie pobyty. Ten pierwszy, 1932. Ten drugi...ten trzeci... Tak. Paryż należał do owej epoki jego życia, którą zamknął na zawsze rok 1939; i Paryż był jedną z nielicznych scen *tamtego* życia, na którą dane mu było wrócić. Tu i tylko tu mógł jeszcze iść ulicami, które się nie zmieniły, mijać domy, których nic nie spaliło, być tam, gdzie się było *kiedyś*. I Jan nie czuł żałości, że Paryż stoi, gdy Warszawa... Jan czuł w duszy wdzięczność, że przynajmniej, z tylu jego światów, ten jeden przetrwał.

* * *

Zatrzymał się i rozejrzał.

Tak. Krągły plac Beauvau był ten sam, co wtedy, owego pierwszego razu, i od razu sycił wspomnieniami. Jan pamiętał tamten wczesny brzask, pociągi mijane przy wjeździe. Pamiętał, jak pociąg stanął, krzyki: „Gare du Nord!" i „tout le monde descend!"; pamiętał, jak się znalazł w taksówce, jak przypominał sobie, że taksówkarzom za granicą daje się napiwek, — nie ustalone 10% jak w Polsce. Potem, jak próbował z tej taksówki rozejrzeć się po mieście, jak było ono wtedy wyludłe, szare, brudne,— nic dziwnego: piąta rano—i jak wreszcie auto skręciło na ten placyk, a z niego w zwężone przedłużenie — rue de Miromesnil. Był tam hotel, wskazany mu jeszcze w Warszawie przez redaktora jego pisma: i hotel był zawiadomiony. Jan pamiętał szyld nad bistrot z naprzeciwka i jak polewano ulicę, gdy wysiadał i płacił, i potem jak Mademoiselle Cécile z uśmiechem dawnej znajomej zaprowadziła go na górę. „C'est votre chambre". Jan pamiętał ten pokój z olbrzymim francuskim łóżkiem, jakich nie miały polskie, ani czeskie, ani wiedeńskie hotele, z miękkim, wytartym dywanem i białym marmurem kominka. — Dopiero z tym łóżkiem, pokojem i kominkiem Paryż mu się wydał jakiś bliższy. — Pamięta, zaciągnął story i poszedł spać po dwóch nocach spędzonych w trzeciej klasie pociągu pośpiesznego Niegoreloje — Warszawa — Paryż. Kiedy obudził się, przez kotary w framudze okna przeciekało ciepłymi, tłustymi plamami gorące słońce i dolatywał daleki, ale potężny, gwar dawno obudzonego miasta. Tak właśnie Janowi objawił się ongiś Paryż.

Hotel był tam, gdzie zawsze. Nie był ani zarekwirowany, ani zamknięty. Jan nie musiał nawet dzwonić: przecież nie była to piąta rano. Po prostu nacisnął mosiężną, wygładzaną klamkę i pchnął szklane drzwi. Był w hallu. W pokoju na lewo chwiały się po staremu melancholijne oleandry; przy jednym z biurek ktoś pisał. Na prawo... „Nous sommes bondés, Monsieur, rien à faire". Jan poznał głos i uśmiechnął się. Wyjaśnił, że nie o to chodzi. Mademoiselle Cécile nie poznawała go, aż naraz rozlała się w manifestacjach radości. — No jakże, no jakże... Vous étiez ici en trente deux — non, écoutez, trente trois. Puis deux fois en trente six. Puis en trente huit. Avant Münich — westchnęła. Puis en trente neuf! Wyliczała z pamięci, ze swej nieomylnej, hotelarskiej pamięci, każdy z paryskich pobytów Jana. Sezon. Niemal miesiące. Rzucała pytania i nie czekając odpowiedzi pytlowała dalej. Sprowadziła opasłego, mocno postarzałego Monsieur Gastona, który przyczłapał w tej samej alpagowej marynarce, z tym samym *torchon* w łapie i wtórował grubym basem jej piskom. — Alors vous restez chez nous — zapytała, niepomna tego, że przed chwilą „tout était bondé". I Jan nie mówił, że mieszka u przyjaciela, korespondenta „Manchester Guardian", który odnalazł nietknięte swe mieszkanie paryskie, ani że pensja porucznika wojsk polskich, to nie to, co dawniej bywało. Został. Wrócił do dawnego swego pokoju, tego „des longs séjours", jak określała Mademoiselle Cécile. Szło się doń drugą klatką schodową i na czwarte piętro bez windy; ale był stamtąd widok na pogiętą klawiaturę dachów i daleką zieleń Tuilerii.

Popędził metrem i zabrał swój bagaż wojskowy.

W pół godziny po powrocie ktoś zapukał do jego pokoju. — Come in — zawołał i, zawstydziwszy się bardzo, poprawił głośniej:

— Entrez.

— J'ai une lettre pour vous — śmiała się w progu Mlle Cécile, trzymając ręce za plecyma.

— List do mnie? Jakto? Już?

— A wie pan skąd?

— ?

— Z Warszawy! O, nie, nie powinnam z pana tak żartować — poprawiła się naraz — nie, nie, niech pan daruje, nie chciałam... List jest zresztą naprawdę z Warszawy. Ale jeszcze sprzed wojny. Jak pan wtedy

nagle wyjechał, nie wiedzieliśmy, gdzie odesłać, miał pan wrócić, pamięta pan? List leżał. Potem, gdy pan był na śmierć zapomniałam. I teraz bym zapomniała, ale Gaston przypomniał. Il est vieux, mais il a bonne mémoire. Oto list. —

Jan wziął kopertę i uczuł zawód. Nie, nie mógł to być żaden z listów, jakiego by teraz pragnął. Adres był wystukany na maszynie. Koperta nosiła nagłówek wielkiego pisma, dla którego ongiś pracował Jan przez szereg lat i z którym potem zerwał, gdy redaktor począł naginać pismo do niemiłych Janowi kierunków. Jakieś bardzo dawne czasy — pomyślał Jan: sześć lat i cała wojna. Co oni mogli od niego chcieć? Zauważył, że list jest bardzo gruby: może jakaś zadawniona korekta? Otworzył. Z koperty wypadł spięty spinaczami maszynopis — Jan rozpoznał czcionki swojej „Corony"— i krótki list redaktora:

„*Drogi panie Janie,*

Odsyłam panu przy niniejszym maszynopis pańskiego wywiadu z Prezydentem Gruzji, bo — jak przewidywałem — nie bardzo się to nadaje. Zapewne pan pamięta, że od początku nie miałem do tego pańskiego projektu zbyt wiele entuzjazmu. Co nas, w 1933 *roku, mogą obchodzić jakieś niepodległe Gruzje i ten ich premier, który w Paryżu rekonstruuje swój gabinet, kłóci się ze swymi socjal-demokratami? Dlaczego pan lepiej nie zapytał pana Uszaliwadze o jego historyczne wspomnienia? Może znał Kiereńskiego albo Rodziankę? Był może w stosunkach z Piłsudskim? Może by co powiedział o Polakach na Kaukazie przed* 1914? *Byłoby to na pewno ciekawsze od jego planów politycznych.*

Pieniądze skierowaliśmy, jak zawsze, na Crédit Lyonnais, Av. Wagram. Będę wdzięczny za słowo od pana. Przypominam wywiad z Montherlant.

Serdeczny uścisk dłoni łączę."

Następował podpis. Listy, jakie do nas dochodzą po kilku latach — rozumował Jan — to listy od kogoś innego i do kogoś innego. I Jan czytał list nie rozumiejąc, o co właściwie chodzi. Widział, że list jest zaadresowany do niego, że ten Jan — to on właśnie, on sam. I wiedział, że ten, co ten list napisał, podpisał i wysłał — to także znany mu człowiek. Ale treść listu była mu tak obca, jak treść listu dwóch obcych ludzi. Jakie pieniądze? Co znaczy: „jak zawsze"? I co to za wywiad z premierem Gruzji? Co za rekonstrukcja gabinetu? I Montherlant? Nie, nic nie wiedział. Ale rzucone na łóżko, zgięte we troje, leżały białe kartki maszynopisu? Jan zaczął czytać ów maszynopis — jego maszynopis. Nagłówek był długi: Jan w owym okresie lubił takie długie nagłówki. Byłem młody — pomyślał: jak dziś Marek Święcicki albo Karol Krótki. I przeczytał:

„WYGNAŃCZY RZĄD WALECZNEGO NARODU.
GRUZJA ŻYJE W PARYŻU.

Wywiad z Premierem A. W. Uwaliszadze".

Uwaliszadze! Tak. A jak było w liście? Uszaliwadze! no, tak: niechluj przekręcił nazwisko. Co jemu w polskiej redakcji mogło znaczyć Uwaliszadze czy Uszaliwadze? Jak dla Anglików dzisiaj... Uwaliszadze. Ach, tak, pamięta już, pamięta. Oczywiście. Uwaliszadze.

Szyby napływały gęstą, grudniową nocą, jaka nabiegała na Paryż. Gdzieś na Boulevard Haussman huczały jakieś ciężkie amerykańskie lory; na korytarzu jakiś głos piskliwy przypominał o „couvre feu". Jan zdjął battle-dress, buty — wsunął się do chłodnego łóżka i rozpiął koszulę khaki. Przekręcił kontakt nad łóżkiem. Lampa nad głową oświetlała teraz tylko jego ręce, brzeg kołdry i maszynopis nigdy nie opublikowanego wywiadu, który zwrócony, wzgardzony, przyczaił się tu, przetrwał — i w pewnym momencie wypełzł niespodziewanie, jak porą nocną wychodzi duch z cmentarza, jak na ścianę wybiega pająk. Jan czytał.

I czuł zarazem, jak silniejsze od słów wywiadu napływają wspomnienia, jak ćmy do światła, i jak odrzucony wywiad obrasta nimi z każdym przeczytanym słowem.

* * *

Są gleby, które posiadają zdumiewającą zdolność do konserwacji zwłok; powietrze paryskie posiada najwidoczniej zdolność konserwacji wspomnień. Jan poczynał sobie przypominać wszystko. Widział wyraźnie niebieskie kartki notesu, w którym było wpisanych jedenaście adresów danych mu przed wyjazdem do Paryża. Nazwiska były francuskie, polskie, żydowskie; wszystko możliwe zaczepienia w obcym mu mieście. Egzotyczne nazwisko Uwaliszadze figurowało na dziesiątym. A jednak był to drugi adres, pod którym Jan się zwrócił. Pamięta. Telefonował przecież z hallu. Pomagała mu Mlle Cécile. Jan zapytał po francusku: „Puis-je parler à Mr. Ouvalischadzé?" a gdy dowiedział się, że po tamtej stronie telefonu jest istotnie Mr. Uwaliszadze, powiedział, że jest Janem Garnyszem synem Stanisława Garnysza, inżyniera, zatrudnionego przy budowie Transkaukaskiej Kolei Żelaznej imienia wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza. Czy Monsieur Uwaliszadze pamięta? Jego ojciec, Stanisław, mieszkał na Lermontowskiej. Mieli willę w Soczi... Objaśnienia okazały się zbędne. Przerwał mu potok jedwabisto-miękkiej francuszczyzny rosyjskiej. Czy Uwaliszadze pamięta? Jakże nie miałby pamiętać drogiego Stanisława Fadiejewicza! Stanisław Fadiejewicz! (Jan z trudem uprzytamniał sobie, że ów Stanisław Fadiejewicz — to jego, Jana, ojciec). Uwaliszadze pamięta nawet jego, Jana, choć Jan nie może tego pamiętać: vous étiez trop petit. Tak, tak, Stanisław Fadiejewicz był wiernym przyjacielem pana Uwaliszadze. I prawdziwym przyjacielem Gruzji. Czy Jan Stanisławowicz jest od dawna w Paryżu? Może na stałę? A na długo? Ach, jako dziennikarz? To dobrze się składa. Doskonale. Kiedy Jan Stanisławowicz ma wolne śniadanie? Jan Stanisławowicz odpowiedział, że nawet i dzisiejsze. Ale głos przez telefon odrzekł, że dzisiejsze nie: dzisiaj jest posiedzenie *de notre conseil*. Jan nie zrozumiał, jakiej rady jest dzisiaj posiedzenie i mało go to obchodziło, ale zgodził się na następny dzień. Na czwartek. O wpół do pierwszej. Może dans mon bureau? Jan zapewnił, że najchętniej stawi się u pana Uwaliszadze. Zanotował adres.

Dzielnica i ulica, w której mieszkał gruziński przyjaciel dawno zmarłego ojca, należała do tych dzielnic Paryża, które były bardzo modne i szykowne do czasów hausmanowskiej przebudowy miasta lat 1860-tych; jeszcze szykowne, choć już nie modne, za pierwszych paru dziesięcioleci Trzeciej Republiki; ale zachowały nieco swej godności i na wiek XX-ty. Przeważały tu paropiętrowe wille poprzerabiane teraz na kilka mieszkań oddzielnych, ale na zewnątrz utrzymane w poprzednim stanie. Właściciele ich najwidoczniej spekulowali na jakąś nową rozbudowę Paryża, która wtargnie wreszcie i do tej dzielnicy, wykupi tych paręset domów po cenie zawrotnej, zburzy je i wystawi na ich miejscu jakieś corbussierowskie ogromy, z krytymi pływalniami, ogrodami na dachach trzynastych pięter i garażami w podziemiach. Czekając na ten wielki dzień, starali się nie wkładać zbyt wiele pieniędzy w konserwację starych ruder. Nr. 28 *bis*, pod którym Jan miał zastać ojcowskiego przyjaciela, był właśnie jedną z takich. Od ulicy dzielił go niewielki ogródek. Jan wszedł przez bramę, na której widniały jakieś dwie mosiężne wywieszki. Będąc z lekka spóźnionym, nie zwrócił na nie uwagi. Drzwi do willi były otwarte i do mieszkania po lewej ręce również. Tak, było to biuro. Już w korytarzu doleciały go podniesione głosy jakiejś dyskusji, prowadzonej po rosyjsku, francusku i jeszcze w jakimś innym gardłowym języku. Spór był tak gorący, że kiedy Jan stanął w progu, sprzeczający się nie dostrzegli go wcale. Postanowił zaczekać, aż skończą, i cofnął się nieco. Widział jednak dobrze z korytarza salę. Był to niezbyt duży pokój, obity jakimś

wypłowiałym obiciem; stały w nim przy sobie trzy biurka, jedna, dość staroświecka maszyna do pisania oraz urządzenie telefoniczne naprawdę zabytkowych kształtów. Na ścianie za biurkami wisiała duża mapa Kaukazu, podzielona na parę kolorowych plam. Ponad nią dwa portrety i jakieś skrzyżowane chorągiewki. Jan poznał, a raczej odgadł, barwy Gruzji.

Debata przybrała właśnie na gwałtowności i przeszła zarazem na ów niezrozumiały, gardłowy język. Debatujący byli trzej. Wszyscy trzej najwidoczniej Kaukazczycy. Jeden gruby i siwy, jeden w jakiejś wojskowej jakby kurtce, jeden, dosyć młody, czarny, najbardziej pewny siebie. Była i kobieta, wyglądająca na starą pannę, o pięknych gruzińskich rysach. Ta jakby próbowała łagodzić, ale czyniła to z taką zapalczywością, że powiększała rumor. Jan przypomniał sobie naraz bazary w Tyflisie i Soczi. Tak, to było to. Te bazary były jeszcze jednym szmatem dzieciństwa, strzępem jego osobistej, prywatnej — że tak rzec — ojczyzny, i teraz ta rozmowa, bazary przypominająca, odżywiała w nim przeszłość. Pierwsza zauważyła go kobieta i szarpiąc dyskutujących za rękawy zaczęła ich uspakajać, co zresztą nie przyszło łatwo. Podeszła więc do Jana pytając:

— Monsieur?

Ale po pierwszych słowach Jana przerwała mu:

— Ach, to pan! Doskonale. Pan prezydent przyjmie pana tout à l'heure. Dzwoniono nam z ambasady.

Stary pan przerwał jej:

— To pan jest wysłannikiem marszałka Piłsudskiego? Właśnie chodzi o to, że ja...

Jan, zarumieniwszy się nie wiedzieć czemu, spróbował powiedzieć, że nie jest niczyim wysłannikiem. Nie zrobiło to żadnego wrażenia.

— Je sais, je sais — mówił starszy pan, tak jak lekarz mówi w szpitalu do chorego, który zapewnia, iż jest już całkiem zdrów. — Wiem, wiem. Pan może być spokojny... Panowie się nie znają... Pan Garnysz...vous êtes comte, n'est-ce pas?... Generał... — tu zaszeleściło poetyczne i niezrozumiałe nazwisko. — Chodzi o to, że my z panem...

Ale z drugich drzwi już wylatywała starsza panna:

— Son Excellence pana prosi...

Ton był naglący i jakoś dla tamtych trzech nieuprzejmy. Ale oni zdwoili swe ataki:

— Trzeba, żeby pan wiedział...

— C'est très important...

— Słuszajtie...

W drzwiach ukazał się jednak starszy, otyły pan, łączący w szczególny sposób dostojność z poufałością. Zorientował się w mig w sytuacji. Podbiegł do Jana i podał mu rękę tak właśnie, że go tym podaniem pociągnął ku sobie i okręcił. Jan się nie zorientował, gdy Prezydent był już nie przed nim, lecz za nim, gdy lewą ręką zagarnął go po ojcowsku za plecy, wprowadził, a raczej wepchnął przed siebie do niewielkiego gabinetu, po czym skwapliwie zamknął za nimi drzwi. Zamykając, dorzucił jeszcze jakieś gruzińskie warknięcie. Po chwili zza drzwi dochodziły jeszcze odgłosy dalszej, ale gasnącej dyskusji, wśród niej górował uspakajający pisk kobiecy. Musiała stać przy samych drzwiach.

— Oczeń, oczeń rad — zapewniał Uwaliszadze, po czym dodał ciszej:

— Sortons!

I skierował Jana ku niewielkim drzwiom za biurkiem. Wychodziły one na jakiś korytarz, ciemny, ze skrzypiącymi parkietami; minęli jakiś składzik, jakieś wejście do kuchni. (Zapachy oliwy, czosnku i baraniego tłuszczu odnawiały zawsze u Jana wspomnienia tyfliskie). Wyszli. Przeszli jakiś miniaturowy ogródek, potem czyjeś podwórze, bramę domu, wreszcie wyszli na dość gwarną ulicę.

— Nous sommes presque hors du danger — uśmiechał się tryumfująco Uwaliszadze i spokojniej nieco podreptał na drugą stronę ulicy.

Jan szedł z przykrym poczuciem, że zaszło jakieś nieporozumienie i że on, Jan, winien tu coś wyjaśnić. Ale po kilkunastu krokach Uwaliszadze wszedł pierwszy do niewielkiej restauracji, gdzie — tak samo jak w Tyflisie i na tym korytarzu — pachniało baraniną i tak samo wyjrzały ku nim czarne gruzińskie twarze. Uwaliszadze był tu niewątpliwie człowiekiem znanym; pytał się, wydawał dyspozycje, o coś się spierał. Jan miał wrażenie, że stara się przybierać jakieś tony wyższości, podczas gdy obsługa była życzliwie poufała. Wreszcie ulokowano ich w osobnym pokoiku; wejście przesłaniała pleciona kotara, na której widniała zabójcza podobizna Czerkiesa.

— Teraz jesteśmy już zupełnie bezpieczni — powiedział, po zamówieniu potraw Uwaliszadze: — powiedziałem, żeby nie mówili im, gdyby przyszli i tu, że jestem. Ale pewno będą tam czekać — zaśmiał się.

— Kto byli ci panowie? zapytał Jan.

— Ach, to cała historia — westchnął Uwaliszadze — nasze historie gruzińskie! Ten stary osioł jest dzisiaj szefem naszej opozycji. Generał, nadęta oferma, był ministrem wojny w poprzednim gabinecie. Tamten młody pętaczyna...pełno z nim kłopotu. Zaraz się wszystkiego dowiedzieli. Spokoju by panu nie dali... Dla jakiego pisma pan pracuje? Do tego chahagbili najlepsze będzie to spokojne czerwone winko...

* * *

W godzinę później Jan zasiadł z powrotem w gabinecie Uwaliszadze i spijał czarną kawę, przygotowaną w mosiężnych czarkach na sposób — jak zapewniał gospodarz — prawdziwie gruziński, a który — w opinii Jana — nie różnił się od tureckiego. W dwie godziny potem też siedział w tym samym fotelu. Dochodziła piąta, gdy Jan pożegnał wreszcie swego gospodarza. Wracał smętny. Jego właściwy cel wizyty u A. W. Uwaliszadze był prawie zupełnie chybiony. Stary adwokat z Tyflisu, pomimo wszystkich zapewnień przyjaźni, powiedział mu bardzo, bardzo mało o jego ojcu, owym Stanisławie Fadiejewiczu — jak go nazywał — którego był ongiś przyjacielem i o którym przecie matka opowiadała Janowi długie i zawiłe historie. A właśnie Jan, wcześnie osierocony przez ojca, był tak spragniony wszelkich o nim wieści! Natomiast parę godzin rozmowy napełniło go całą masą wiadomości dotyczących przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Konfederacji Kaukaskiej, Gruzji oraz jej rządu, którego obecnym premierem *in exile* a zarazem ministrem spraw zagranicznych był właśnie nie kto inny, a dawny przyjaciel jego ojca — A. W. Uwaliszadze.

Po pierwszej półgodzinie Jan był zorientowany już zupełnie, w jaki to świat wdepnął przypadkiem. Ale trudno mu się było wycofać podczas lunchu — i to dobrego lunchu — prawie dosłownie z objęć starszego, godnego pana, który zawsze wobec odruchów zniecierpliwienia zagadywał znowu a to o Stanisława Fadiejewicza, a to o Jadwigę Pietrowną, a to o Soczi, że Polaka brało z powrotem na cierpliwość. Jeszcze trudniej przyszło wycofać się z czarnej kawy w domu; — Jan musiał odsiedzieć. Zrezygnował. Powiedział sobie, że straci tych kilka godzin życia i Paryża na dalekie, zawiłe i nierealne sprawy jakiejś drugorzędnej emigracji politycznej w powojennej Europie. Starał się nawet, zrezygnowawszy, wzbudzić w sobie zainteresowanie tym tematem, skoro nie mógł od niego się oderwać. Powiedział sobie, że na Inwalidów i Champs Elysées znajdzie czas nazajutrz — i pogrążył się rezygnacyjnie w dziejach Gruzji.

Z wykształcenia historyk, z zawodu dziennikarz, — Jan wyłuskiwał z zawiłych opowieści Uwaliszadze cały szereg różnych motywów. Był przede wszystkim motyw prawdziwej dziejowej tragedii. Zaznaczywszy, że dzieje Gruzji sięgają III wieku po Chrystusie, Uwaliszadze był jednak na tyle litościwy, że zbył jednym zdaniem kilkanaście pierwszych stuleci i szybko przeskoczył do siedemnastego, a raczej nawet już do osiemnastego

wieku. Mówił o Gruzji, starym narodzie, starej kulturze i starym państwie, zmiatanym burianami tatarskich przechodów. Kiedy znikli Tamerlanowie, Dżyngishany, Złote i nie złote Ordy, wynurzyły się nowe niebezpieczeństwa. Rozdarta waśniami swych wielkich rodów, pozbawiona silnej władzy królewskiej, wyposażona w archaiczną armię, Gruzja — i całe międzymorze kaukaskie — znalazła się pomiędzy trzema potęgami: Persją, Turcją i Rosją. W XVIII stuleciu wzmógł się zwłaszcza napór rosyjski. Wzdychając Uwaliszadze opowiadał, jak daleki Petersburg przekupywał złotem, i straszył bagnetami, jak podjudzał Ormian-kupców i górali-Czerkiesów, jak jego ambasadorzy wynosili na tron i prowadzili za nos ostatnich, słabych i bezwolnych, królów gruzińskich. Janowi dzieje te były nieznane; ale nie były obce. Późniejsze dzieje Kaukazu — wiek XIX, wiek niewoli — nie były mu obce także. Uwaliszadze pokazał sztychowy portret Szamila, robiony w tej samej sztycharni paryskiej, która wydawała w tym samym niemal czasie podobne portrety powstańczych wodzów polskich; Uwaliszadze mówił o bohaterskich obronach, o krwawych generał-gubernatorach, nieszczęśliwym narodzie i niegodziwym caracie. I wszystko to wydawało się Janowi tylko inną wersją tej samej historii. Lata tyfliskie pozostawiły w jego domu jakiś ciepły, sentymentalny stosunek do Kaukazu i jego narodów. Teraz opowiadanie Uwaliszadze zapadało w przygotowany grunt.

Ze znacznie mniejszym zainteresowaniem słuchał za to wplatanych uwag aktualnych, wyliczania partii gruzińskich — było ich jedenaście — premierów, generałów, ludzi, których Uwaliszadze nazywał bohaterami narodowymi i takich, których osądzał jako zdrajców. Uwaliszadze nie miał złudzeń, że Jan nie jest żadnym wysłannikiem Belwederu; ale pamiętał, że jest dziennikarzem. Jan płacił teraz za swe dziennikarstwo. Uwaliszadze dobywał mu z szuflady odpisy not, jakie właśnie doręczył był rządom czy ambasadorom tych i tych mocarstw, czytał mu swe memoriały i memoranda, orędzia i deklaracje. Wyliczał mu obecny skład gabinetu i wymieniał nowych członków Narodowej Rady Państwowej, rozwodził się szczegółowo nad różnicami, jakie dzielą gruzińskich eserów od gruzińskich socjal-demokratów, gruzińskich socjal-demokratów od gruzińskich narodowych demokratów, tych zaś od jakiejś młodej grupy „Prometeusza". Wprowadzał Jana w stosunki agrarne Gruzji, w jej kwestię ormiańską. Jan pamiętał, że kiedyś, dawno, Gruzini wyrzynali Ormian, — czy też odwrotnie? Uwaliszadze wyjaśniał, wyjaśniał, wyjaśniał... W głowie Jana powstał w rezultacie mętlik, którego nie mogło rozproszyć nawet dobroczynne działanie przyrządzonej (po gruzińsku) czarnej kawy. Ale wywołanie tego mętlika miało i swój praktyczny skutek: po nasłuchaniu się dwugodzinnych wywodów o najnowszych pracach rządu, dokonanej rekonstrukcji gabinetu, zmianach personalnych w obsadzie placówek, posiedzeniach Narodowej Rady itd.,— Jan nawykł do myśli, że przed nim siedzi premier pewnego rządu, że ten rząd ma państwo, zadania, prace, trudności, jakie zwykle są udziałem rządu. W miejscu człowieka, do którego szedł, adwokata A. W. Uwaliszadze z Tyflisu — wyrósł teraz całkiem inny, ledwo poznany człowiek: premier Uwaliszadze z Paryża.

Ostatkiem świadomości zapytał:

— Dobrze, ale niech mi pan powie, Excellence (Uwaliszadze bez większych trudności łykał ten tytuł), jak to się stało, że jest niepodległe państwo gruzińskie? Przecież nie było go przed wojną...

Uwaliszadze zatrzepotał tłustymi paluszkami:

— To bardzo proste. Polski także nie było przed wojną...

Janowi porównanie nie wydało się ani ścisłe, ani przyjemne.

— Polska — powiedział — proklamowała swoją niepodległość...

— Gruzja — zatrzepotał Uwaliszadze — tak samo proklamowała swoją niepodległość! Nie widzimy racji, dla której punkt Prezydenta Wilsona o samostanowieniu narodów miałby pomijać nasz stary, tak długo wal-

czący o wolnosc naród... Co dobre nad Wisłą, dobre i nad Terekiem. Zresztą Rząd Tymczasowy księcia Lwowa w swym orędziu z marca 1917 roku... Zarówno jak uchwała Rady Komisarzy Ludowych z stycznia... Mowa Lenina. Podstawy prawne na mocy których Warszawa, Helsinki, Tallin, Ryga czy Kowno mogły ogłosić swą wolę wystąpienia z byłego Cesarstwa Rosyjskiego są absolutnie te same, co te, na których Gruzja... Jedynie stan faktyczny... Wyście byli szczęśliwi. Ale, jeśli chodzi o prawo narodów...

Jan był zalany logiką prawniczych, pełnych dat i cytat, wywodów.

— Ale Polska została uznana przez mocarstwa — zaryzykował.

— A Gruzja może nie? — zapytał Uwaliszadze z tak szczerym zdumieniem, jakby ktoś powątpiewał w jego męskość.

Raz jeden jeszcze musiał Jan przyznać się do swej wielkiej ignorancji. („Ach, wy dziennikarze zachodni — wzdychał Uwaliszadze — nie wiecie najprostszych o nas rzeczy! A przecież wasze interesy..."). Raz jeden jeszcze musiał wysłuchać długiego, udokumentowanego wywodu. Uwaliszadze był nudnym sprawozdawcą zakulisowych gier partyjnych, niezłym narratorem historii, ale dopiero na gruncie prawa pokazywał swą siłę. Uwaliszadze przedstawił Janowi pokrótce—bo w ciągu niespełna godziny — dzieje stosunków, nawiązanych przez główne mocarstwa pomiędzy nimi, a tymczasowym rządem niepodległej republiki gruzińskiej („była i u nas kwestia monarchiczna — zauważył — aleśmy ją zawczasu zlikwidowali, żeby demokratycznego Zachodu nie drażnić. Nie było zresztą odpowiedniego kandydata, a nieodpowiednich było aż za dużo"). Ententa bardzo interesowała się nami. — Podniósł oczy znad jakiegoś papieru: Mogę pana zapewnić, że był czas, kiedy interesowała się nami, Kaukazem, znacznie bardziej, niż wami, Polską. — Mówił o misjach wysłanych tu i tam, o stosunkach dyplomatycznych. Poczłapawszy do jednej z półek, dobył oprawny tom sprawozdań oficjalnych Ligi Narodów i pokazał tam Janowi przedstawicieli republik ludowych Ukrainy, Krymu, Gruzji, Asserbejdżanu, a nawet Kubania. Zasiadali obok przedstawicieli Francji, Szwecji, Włoch, Hiszpanii. Równi z równymi. Tom był bodaj z 1925 roku.

— No, dobrze, ale jak się to stało, że dziś... — zapytał wreszcie Jan.

Ten ustęp wyjaśnień Gruzina był niestety dość krótki. Ochotnicza armia gruzińska (jak i inne armie federacji kaukaskiej) nie wstrzymały lawiny Czerwonej Armii („Cóż pan chce: jest nas zaledwo dwa miliony...") Desanty nie wstrzymały jej także. Nasz rząd, rada, przewódcy polityczni i wojskowi schronili się na statki alianckie: krążownik „Independence" przewiózł nas do Tulonu. Odtąd jesteśmy tu.

Westchnął.

— Już będzie dwanaście lat!

Na chwilę tłusta, ruchliwa i ożywiona twarz emigracyjnego premiera ściągnęła się smutkiem i Janowi smutek ten wydał się bardziej przekonywujący i prawdziwy, niż najbardziej przekonywujące argumentacje Uwaliszadze. Ale Gruzin otrząsnął się szybko i po chwili z dawnym ożywieniem wykładał Janowi, jak heroiczny opór stawia zaborcy cały naród gruziński, jak życie jego zbiegło do podziemi, jak tylko czekają, jak w górach i aułach górskich... Wspominał o jakimś powstaniu majowym, i innym, które nazywał wrześniowym, i jeszcze o trzecim, które dla odmiany nazywał tyfliskim. Aż Jan się szczerze zdumiał:

— Dlaczego o tym wszystkim nic nie ma w gazetach?

Uwaliszadze westchnął bezradnie i znowu podszedł do swoich półek. Wyniósł z nich aż trzy księgi-teki. Jedna, najgrubsza, zawierała materiał prasowy „Agence Prométhée". Jan nie słyszał dotąd o takiej agencji, ale domyślił się, że chodziło o oficjalną agencję owych niepodległych republik Kaukazu. Istotnie „Agence Prométhée" mieściła się nie dalej, jak w sąsiednim pokoju. Uwaliszadze pokazywał Janowi ten bogaty

materiał informacyjny, jaki „Agence Prométhée" dostarczała prasie światowej. Osobny tom pozwalał zorientować się, ile tego do tej prasy dociekło. Z wycinków zorientował się Jan, że prasa światowa niezwykle mało uwagi poświęcała doli i niedoli Kaukazu.

— Nie chcą o nas dziś wiedzieć — wzruszał ramionami Uwaliszadze — nie chcą — oto wszystko. Robimy co możemy. Oni nie chcą.

— Ale was popierali na początku? — pytał jeszcze Jan.

W owej chwili stara panna ukazała się w drzwiach, zagadała po gruzińsku do Uwaliszadze, ten jej coś odszwargotał i po chwili wtoczył się do pokoju nowy Gruzin. Był młodszy i bardziej otyły od Uwaliszadze; nosił czarne ubranie w szerokie białe paski i duże pierścienie na palcach. Czarne włosy lśniły pomadą. Uwaliszadze przedstawił go Janowi potokiem superlatywów, z których wynikało, że nowoprzybyły już zajmuje ważne, a w przyszłości zajmie niechybnie jeszcze ważniejsze stanowiska w życiu politycznym Gruzji. Przybyły nie zdziwił się obecności Jana, jego pochodzeniu i pytaniom. Można by sądzić, że wiedział, iż go tu zastanie. Uwaliszadze tymczasem odpowiadał:

— Pan się pytał, czy nas popierano? Jakżeby nie?! Wysłano do nas misje, udzielono naszemu rządowi pożyczek, wsparto desantem. Przez kilka pierwszych lat nasze placówki i nasz rząd były uznawane bądź de jure, bądź de facto. W Paryżu, w Genewie, w...

— Ale dzięki czemu? — zapytał Jan.

Uwaliszadze uśmiechnął się:

— Widzi pan, mocarstwa Ententy były wtedy przerażone bolszewizmem. Jednocześnie widziały rozkład armii białej. Judenicz, Denikin. W odróżnieniu od nich ruchy narodowościowe Bałtyku czy Kaukazu były demokratyczne. Ten nasz demokratyzm... Ach, gdybyśmy wtedy byli jeszcze bardziej demokratyczni...

— Nafta! — przerwał dość ordynarnie przybyły.

Uwaliszadze uśmiechnął się.

— Mój przyjaciel, którego bardzo cenię, ma na te sprawy swoje poglądy. On tłumaczy wszystko naftą...ja — demokracją...

Dalsza rozmowa zamieniła się w dwugłos obu Gruzinów. Bieg wypadków przedstawiali mniej więcej podobnie, ale przyczyny każdy podawał inne. Uwaliszadze rozwodził się, jaką klęską dla sprawy gruzińskiej była przegrana grecka w 1922, gdy armie króla Konstantyna greckiego, zapędziwszy się w głąb Małej Azji, poniosły klęskę; za Grecją stało wtedy pewne wielkie mocarstwo. Przybyły dodawał z ironią, że właśnie wtedy odkryto nowe naftodajne tereny w nijakim Iraku. To, a nie grecka klęska, zmniejszyło zainteresowanie dolą Gruzji. Uwaliszadze bolał nad tym, że miejsce wielkich demokratycznych premierów, jak Clemenceau, a potem Lloyd George, zajęli mali, okazujący mniej zrozumienia: przybyły łączył tę nową porażkę Gruzji z jakimś zawiłym konfliktem o naftę wenezuelską. Jeden walił nazwami mocarstw i nazwiskami premierów, drugi — nazwami naftowych koncernów i nazwiskami naftowych królów. Uwaliszadze wskazał na etażerkę:

— Poznaje pan tych ludzi? — pytał z uśmiechem.

Jan nie musiał być dziennikarzem, żeby poznawać. Był to garnitur europejskich mężów stanu z lat 1918-1922, a nawet 1924, w różnych pozach, na różnych gabinetowych zdjęciach, z różnymi dedykacjami, ale zawsze dla pewnych Gruzinów: „A S.EX. le Président..." „Un ami", „Hommage à la Georgie". Często obok europejskiej znakomitości figurował jakiś widocznie znakomity Gruzin: i tak w towarzystwie Poincarego Jan poznał Uwaliszadze. Uwaliszadze tymczasem sięgnął do półek etażerki. Wydobył oprawne w satyn kolejne tomy, dawał je Janowi do przeglądania, rocznik za rocznikiem. Były tu powklejane depesze wymieniane z okazji świąt narodowych, wstąpień na tron, objęcia urzędu i tym podobnych okazji. Lata 1918 i 1919 przedstawiały się bardzo pięknie.

Rocznik 1920 był wprost imponujący. Głowy państw i premierzy słali Gruzji najlepsze życzenia, zapewniali ją o swej głębokiej przyjaźni, byli nad wyraz wzruszeni, mile dotknięci, pełni żywych uczuć. Cały świat cieszył się w owym roku, że Gruzja odnalazła swe miejsce w wielkiej rodzinie narodów. Jeszcze dobry był rok 1921 i niezłym 1922. Ale następne roczniki cierpiały na uwiąd. Depesz było coraz mniej i były one coraz bardziej lakoniczne; coraz to częściej wystawiane w imieniu, z polecenia czy w zastępstwie kogoś. Nie było już też królów, prezydentów, premierów i ministrów spraw zagranicznych. Już tylko z tej nudnej lektury można było wnioskować, jak Gruzja traciła grunt.

— Polityka — mówił Uwaliszadze.

— Nafta — poprawiał tamten drugi.

Stali teraz we trzech z Janem przed wielką mapą Europy, na której ołówek oderżnął z zielonej rosyjskiej plamy czerwony prostokąt Kaukazu. I naraz zgodzili się w jednym:

— Byliśmy tak daleko od tego Zachodu, na którymśmy tak bardzo liczyli!

Ale po chwili ożywili się znowu i Uwaliszadze opowiadał Janowi szczegółowo o owej rekonstrukcji gruzińskiego gabinetu w Paryżu, o zamierzonej reorganizacji służby dyplomatycznej, o nowych demarszach i misjach i innych niemniej palących sprawach.

— Bo może jednak jeszcze tej jesieni: mam jeden bardzo pomyślny raport z Konstantynopola — objaśniał Uwaliszadze.

Jego towarzysz nie był aż tak optymistyczny.

— Nie sądzę, aby przed kwietniem przyszłego roku: koncesja Univers Oil wygasa dopiero w marcu...

I razem pożegnali Jana:

— Więc odwiedzi nas pan w wolnym Tyflisie?

A Jan był dziennikarzem jeżdżącym po świecie i może nie bardzo obeznanym w zawiłych sprawach pięknej Gruzji, ale za to na tyle zorientowanym w mechaniźmie polityki światowej, żeby wiedzieć, że ani tej jesieni, ani następnego marca, ani żadnego z wielu następnych marców. Tamci wiedzieli może nieporównanie więcej od niego, jeśli chodziło o nieszczęsną Gruzję, to prawda. Ale na ów kąt mapy rozpięty pomiędzy morzem Czarnym a Kaspijskim patrzyli przez głębokie szkła tęsknoty. I szkła te uwielokrotniały nadzieje i obniżały przeszkody.

* * *

Pomimo zapewnień. Jan ani nie przyszedł, ani nie zadzwonił więcej pod adresem ojcowskiego przyjaciela. Dwa razy wróciwszy do hotelu zastał wieczorem zapiskę, że dzwonił Uwaliszadze. Poza tym czekał na niego jakiś Gruzin, który chciał się z nim koniecznie widzieć, a en désespoir de cause pozostawił obszerny francuski list imieniem Pan-Kaukaskiego Komitetu Wyzwolenia, informujący Jana, że A. W. Uwaliszadze nie posiada żadnych pełnomocnictw do reprezentowania gruzińskiego narodu. Ale nazajutrz był list od Uwaliszadze, utrzymany w ciepłym i smutnym tonie. „Przykro mi jest trudzić pana, gdyż obawiam się, że ma pan znacznie milsze możliwości spędzenia czasu w tym mieście, a jednak może — jako syn starego przyjeciela — zrobi mi pan une faveur. Będę czekał na pana jutro i pojutrze począwszy od trzeciej po południu.—Klnąc w duchu, Jan zjawił się nazajutrz o trzeciej.

— Wiedziałem, że pan jednak przyjdzie — rzekł Uwaliszadze i wyłuszczył o co chodzi.

Chodziło po prostu o zrobienie wywiadu do prasy polskiej. Jan zgodził się. Niewidoczny cień ojca czynił go zawsze powolnym na gruzińskie zaklęcia. Napisał wywiad taki, jakiego sobie życzył Uwaliszadze, — właśnie o tych wszystkich zmianach, rekonstrukcjach, przegrupowaniach, no i planach. I wysłał wywiad do jedynego pisma, jakie może mogło go zamieścić, — z tym przekonaniem, iż pewno go nie zamieści.

Ale zrobił, jak chciał przyjaciel ojca.

* * *

Upłynęło od tego czasu parę lat i Jan był kilkakrotnie w Paryżu, za każdym razem unikając skwapliwie nieszczęsnych Gruzinów. Aż do Warszawy ścigały go zresztą odtąd listy, memoriały, biuletyny i pisemka gruzińsko-francuskie z nagłówkami w rodzaju: „Le Caucase Indépendant" lub „La Georgie" — un peuple enchainé". Unikał tego, a potem wstydził się, że unika.

Latem 1938 roku, podczas pobytu królewskiej pary angielskiej, Jan znalazł się w Paryżu. Nie wiedzieć, jak — zaszedł do Jardin du Luxembourg. I tu naraz, wśród dzieci, podlatujących na tle klombów jak wielkie barwne motyle, zobaczył grubego starszego pana, karmiącego z wysiłkiem ryby w sadzawce. Wydało mu się, że go zna, gdy tamten podniósł głowę. Poznał Jana także.

— Niech się pan nie boi, możemy pogadać trochę: już nie jestem premierem!

I siedli na ławce. Uwaliszadze rzeczywiście postarzał się bardzo: był to już naprawdę stary człowiek. Nie był też już premierem, ale swe premierowskie perypetie zbył teraz w paru zdaniach. Co robi? Mieszka pod Fontainebleau. Przy robotniczej rodzinie gruzińskiej. Pochodziła z tej samej wsi, z której ongiś wyszedł ojciec Uwaliszadze; Uwaliszadze w 1924 roku jakąś interwencją u Poincarégo coś im tam załatwił; teraz im się nieźle powodzi: przyjęli go na mieszkanie i utrzymanie. Nic nie chcą brać ode mnie — żalił się Uwaliszadze. — Mam nawet osobny słoneczny pokój na piętrze. Więc tylko tak ot, obieram ziemniaki do kuchni, nim jego żona wróci z pracy, no i uczę dzieci gruzińskiego. Żeby całkiem nie zapomniały. Jest ogródek, to ja tam zaprowadziłem ule; już mam ich czterdzieści osiem. Byłoby więcej, ale w tamtym roku coś siedem mi wymarło... To mi daje maleńki dochód, bo Francja teraz bardzo dba o pszczelarstwo. Wosk jest potrzebny do przemysłu wojennego. Z pszczołami jest mało zajęcia. Opracowuję też dla Institut leksykon gruzińskich dialektów; mam z tego niewielkie, ale regularne honoraria...

Jan poczuł naraz przypływ sympatii do byłego premiera. Zaprosił go na obiad.

— Nie dziś, nie dziś — odpowiedział Uwaliszadze — muszę spieszyć na pociąg: mam domowe zajęcie...

Jan nie zapytał, jakie to domowe zajęcia wymagają obecności Uwaliszadze, ale umówił się na jeden z następnych dni. Wieczorem, wracając do hotelu taksówką zauważył, że taksówkarz jest Kaukazczykiem. Zapytał go o adres dobrej kaukaskiej restauracji, a potem czy zna Uwaliszadze?

— A. W. Uwaliszadze? zapytał szofer. — Nie, ale wiem kto to taki. On tu — nie wiem, czy pan wie — był takim naszym prezesem...premierem, znaczy się... Bo myśmy tu mieli taki nasz rząd wygnańczy... Nawet mamy jeszcze... Ech...westchnął. A ten Uwaliszadze to był jeszcze jeden z lepszych. Ani się nie obłowił, ani też bardzo znowu nie mylił. I sam zrezygnował.

Jan znowu poczuł sympatię do Uwaliszadze i z prawdziwą radością spotkał go w dwa dni później. Restauracja kaukaska była istotnie jedna z najlepszych. Uwaliszadze wymawiał, że droga i że Jan — tak jak ojciec (Stanisław Fadiejewicz), wyrzuca pieniądze, ale było widoczne, że cieszy się nią. Mówił o swych pszczołach, o dzieciach swych gospodarzy, o kuchni gruzińskiej, i była w nim jakaś klasztorna, spokojna godność. Narzekał tylko na starość.

— A więc — zauważył Jan, — pan się lepiej czuje od czasu, gdy pan przestał być premierem?

Czarne oczka Uwaliszadze napełniły się radością:

— O, tak — powiedział z przekonaniem — o, tak!

I Jan poczuł nieprzepartą dziennikarską ochotę stawiania dalszych pytań:

— I dlatego pan właśnie odszedł?

Twarz Uwaliszadze ścięła się nagle i zrobiła prawie ciemną:

— Nie, odrzekł jakimś drewnianym, nieznanym mu głosem. Odszedłem, bo przestałem wierzyć.

— W co pan przestał wierzyć? Przecież nie w Gruzję?

Uwaliszadze obrzucił go spojrzeniem:

— Jak pan może... Janie Stanisławowiczu, jak pan naprawdę może... Nie, panie. Gruzja była, Gruzja jest i będzie, a tylko rozwój Gruzji może być lepszy czy gorszy, pełniejszy czy mniej pełny...a nawet i to jest zależne skąd i jak my na to patrzymy... Pewno nigdy już nie zobaczę Gruzji, i może inni służyli lepiej wiecznej Gruzji niż ja, ale nic nie mogło, rozumie pan, nie mogło, podważyć mej wiary w Gruzję. Ale ja nie tylko wierzyłem w Gruzję, Janie Stanisławowiczu. Ja jeszcze wierzyłem w Zachód. —

Uwaliszadze ściszył głos i poprzez otwarte okna restauracji napływał spokojny, wieczorny, gwar Paryża. —

— Widzi pan, panie Janie, my dwaj jestesmy ludźmi nie tylko z dwóch różnych narodów, ale jeszcze z dwóch innych generacyj. I przez to niech pan mnie tylko dobrze, ale to dobrze zrozumie, z dwóch odmiennych kultur. Pańska kultura, jak wszystkie powojenne kultury Europy, była narodowa. Pan nie miał francuskich bon i angielskich dziecinnych mód, pańskimi pierwszymi książkami nie były książki pani de Segur, ani Alice in Wonderland... Może ja to tłumaczę dosyć okrężnie, ale niech pan poczeka. Tak. Otóż *ja* miałem. Ja, w Tyflisie, jak i pełno małych Rumunów w Bukareszcie, małych Rosjan w Kazaniu, ba, małych Turków w Konstantynopolu, było od dziecka wychowywanych w kulturze Zachodu. Tylko inteligencja, oczywiście: ale cała inteligencja. Zaczynało się to z wierszykami *Malbrouque s 'en va t'en guerre*, a kończyło — kończyło Zolą, Francem, Dickensem, Kiplingiem, Maupassantem. Niech pan mi powie — jak pan pierwszy raz czytał France'a — to było — prawda? — w przekładzie?

(Jan pomyslał, że czytał bodaj w ogóle jedną rzecz France'a, a Zolę znał tylko z nazwiska i odpowiedział):

— W przekładzie.

— A właśnie. I dlatego to mówię. Otoż ten świat zachodni, który zagarniał nas wszystkich prawie w kołysce, nie opuszczał nas przez całe życie. Pan nie zrozumie nigdy co to było. Wielkie sprawy którymi żył wtedy Zachód były naszymi sprawami. Obchodziły nas dalekich, tak samo żywo, jak ludzi wyrosłych w kulturze antycznej wzrusza po dziś dzień obrona Sokratesa czy peryklesowska pochwała Aten, wygłoszona, jak pan pamięta — nie, pan na pewno nie pamięta — na pogrzebie poległych pod Platejami. Myśmy w Tyflisie *przeżywali* aferę Dreyfusa. W Tyflisie. Tego z wami nie ma. Nie było. Pan daruje, że tłumaczę się tak powoli, dobrze?

— Ależ...

— Nie, nie, wiem że to się panu wciąż jeszcze wydaje przydługie. Zrobiłby pan z tego, jak to wy dziennikarze, trzydzieści wierszy; nie, może piętnaście tylko. A jednak trzeba. I niech pan pamięta, że ów Tyflis gdzie były trzy francuskie księgarnie i przychodziły wszystkie francuskie nowości, był jednak wtłoczony w Turcję Abdul Hamida i Rosję Mikołaja II. W jakieś dwie wschodnie despotie, może tym bardziej odrażające, że zropiałe juz do cna. Z jednej strony rzezie Ormian — z drugiej kiszyniewskie pogromy. I wtedy ten Zachód gdzie o jednego niewinnie skazanego oficera cała opinia stawała do walki wydawał nam się czymś — nie, pan nie zrozumie czym dla mojej generacji był Zachód...

Jan zaczynał rozumieć.

...Tym bardziej żeśmy Zachodu nie znali. Nie znali sami. Nie znali inaczej jak z książek. Wychowałem się na „Chacie Wuja Toma", dojrzałem pod wpływem Zoli: jakże pięknym, szlachetnym, wielkim był *ten* Zachód! Jakże mnie mierziły niskie stragany tyfliskich przekupni, Ormian, Greków,

Turków, Żydów: oni wszyscy, to był ten świat Wschodu, który kłamie. Zawsze kłamie. Nigdy nie dotrzymuje słowa. Jakież to było inne od tego pięknego Zachodu, który zawsze dotrzymywał raz danego słowa, który walczył o sprawiedliwość, ujmował się za jednostką nawet, miał tyle współczucia dla nieszczęsnych Ormian i wyrzynanych Kurdów, dla mordowanych w pogromach. I...rozumie pan teraz, gdy przyszła *tamta* chwila, my, znający tylko ten piękny, książkowy Zachód, zawierzylismy Zachodowi.

Jan zauważył,że w restauracji zaczyna się robić pustawo, ale Uwaliszadze tego nie dostrzegał.

— O jak wierzylismy Zachodowi!; jakże nie mieliśmy mu wierzyć! Mówili nam to tyle razy! Składali tyle zapewnień i obietnic. Ludzie najpoważniejsi, ludzie sterujący losami narodów, ludzie którzy będą kiedyś na pomnikach, schodzili do nas i popierali. Wtedy, w chwilach gorących, nie pytali czyśmy bardzo wielcy demokraci, czy zupełnie nie, czyśmy dobrzy dla naszych Ormian, czy tacy jak Abdul Hamid, czy opieramy się na formalnie przeprowadzonej konstytucji, czy — i kogo — reprezentujemy. O tym nie było mowy. O tym zaczęło się mówić później, kiedy już nie mogliśmy być pomocni, my mali, im, wielkim, a byliśmy tylko...niewygodni. Jakeśmy mogli nie wierzyć? Pan, Janie Stanisławowiczu, który nie wyrósł, jak moja generacją, pod ciepłym jeszcze tchnieniem Zachodu, takżeby uwierzył... Jakże nie miałem uwierzyć... Jakże mogłem przypuścić wtedy że...że kramarz z ormiańskiego bazaru gdy raz daje słowo...to...to jednak słowo najbardziej krętackiego z ormiańskich kramarzy jest jednak słowem, a — —

— On ferme, Messieurs!

Uwaliszadze spuścił był głowę i podniósł ją na te słowa. Nad nimi stał francuski kelner o obojętnej, lekko zniecierpliwionej twarzy. Istotnie już dawno ostatnia para gości była już wyszła i kelner przystawał przy nich parokrotnie, co Jan dostrzegał, ale czego nie zauważył Uwaliszadze. Teraz dopiero Gruzin patrzył spod swoich zdumiałych, wracających w ten świat, brwi, na paryskiego kelnera. Aż powstał z nagłym ocknieniem.

— Ah, excusez nous. Nous sortons. —

Szli powoli w dół ku Sekwanie.

— Widzi pan, to było właśnie to. Wielka wiara mego życia. Wielka wiara mojej generacji. Wiara w Zachód. Wiara którą wszczepialiśmy, ja i tacy jak ja, w mój naród. W mój tragiczny naród. Wszczepialiśmy ją wtedy, za dni carskich, i, i potem, za rewolucyjnych dni, wtedy kiedy światy były tam jeszcze jak nieostygła lawa, która różne może przybierać kształty, jak glina,której rzeźbiarz może jeszcze nadać ten co zechce kształt. I...i wszczepialiśmy tę wiarę także potem stąd. Z daleka. Z Zachodu. Setki tysięcy ludzi którzy nigdy nie słyszeli o Madame de Segur, ani o Dickensie, ani o Zoli, którzy nie znają nut Marsylianki i nigdy nie słyszeli słowa „gentlemen" walczyli, marli i cierpieli w dalekiej Gruzji, z tą wiarą która przez nas do nich przeciekła. Z tą wiarą, że Zachód. Z tą wiarą. To było przez nas tu. Przeze mnie. I...i panie Janie...to właśnie...to właśnie jest straszliwa odpowiedzialność. I, widzi pan, kiedy nie mogłem wierzyć dalej, wtedy właśnie...odszedłem. Całe moje życie skończyło się w tej jednej, jedynej nauce...

— Jakiej nauce?

Ale Uwaliszadze jakby nie dosłyszał pytania i jakby dalej ciągnął swoje myśli:

— Bo naród, rozumie pan, jest jednak czymś wiele większym niż jedno pokolenie. Aktywny żywot pszczoły — to kilka tygodni niekiedy. Ale żywot roju — to czasami lata i lata. Otóż obawiam się że moja generacja pszczelna wniesie do gruzińskiego ula ten jeden gorżki miód, że nigdy już więcej na tych tu liczyć nie można. Dla mnie wychowanego w ich kulcie będzie to ciężka decyzja: dla młodszych tam, może nie. Ale drugi raz nigdy już nie będzie możliwym aby ci co zostali zawiedzeni tak straszli-

wie zawierzyli tak pełnie. Pan wzruszy ramionami i powie: co wielkiemu Zachodowi po biednej małej Gruzji? Co to za buta mocarstwowa u starego Uwaliszadze? A ja jednak panu odpowiem starym przysłowiem francuskim, że zawsze nawet najsilniejszy potrzebuje kiedyś kogoś słabszego od siebie. To większa prawda niż pan przypuszcza. I ta prawda może mieć swe zastosowanie właśnie dla niejednej Gruzji. Nas mogą jeszcze kiedyś potrzebować: ale nas wtedy nie będą mieli. Można nas było oszukać: kondotierów się z nas nie zrobi.

Przystanął i powtórzył jeszcze:

— I nawet nas mogą potrzebować.

Po czym poprawił:

— I *będą* potrzebować!

Uwaliszadze, który przypominał starego, dobrotliwego Francuza, jowialnego czasami, smutnego jak teraz, naraz odmienił się. Przed Janem w półmroku latarni paryskiej, w pobrzasku idącym od Sekwany, stał teraz człowiek z jakąś inną maską twarzy, skurczoną, bardziej męską, zaciętą. Jan pomyślał naraz, że cały pokost kultury zachodniej nie wypalił w tym człowieku jego Kaukazu i że teraz ten człowiek o pięknej francuszczyznie i klasycznym oczytaniu był tylko góralem z aułu.

W milczeniu jakie naszło usłyszeli brzęk motorów z góry. To ciepłą nocą nad Paryżem płynęły rzadkie wtedy samoloty.

— Samoloty, powiedział Uwaliszadze, samoloty... A wie pan że Gruzini dają świetnych lotników? Wie pan, czasem mi się zdaje, że posłyszę jeszcze warkot gruzińskich samolotów, kluczem lecących na Zachod jak kluczem leciały u nas jesienią na Iran dzikie gęsi. Tak, jestem już stary. Ale znowu nie taki stary żebym się nie miał doczekać.

* * *

Owej nocy przypomnień w paryskim hotelu śnił się Janowi warkot innych samolotów.

Silniki warkotały głucho.

Samoloty leciały na Zachód.

STEFAN THEMERSON

ŚLEDZTWO

fragment

ABSTRAKCJE I PLUSKWY

Czemu zawdzięczać należy to, że rodzina Nowaków dostała pokój słoneczny?

To, że rodzina Nowaków dostała pokój słoneczny, zawdzięczać należy dwóm faktom. Pierwszy z nich miał miejsce 32 lata wcześniej, w roku 1910, ± 1.800 kilometrów na północno-wschodni-wschód. Drugi: w roku 1920/21, tamże.

Co stało się w roku 1910?

Piotr Januszewicz, lat 10, uderzył w twarz stajennego Franciszka Łaszcza, lat 68, żonaty, sześcioro dzieci, dwóch synów, cztery córki zamężne, za to, że nie pozwolił mu dosiąść narowistej klaczy imieniem Olga, co było Piotrowi zakazane przez starego Pana Januszewicza, ojca, który, dowiedziawszy się o postępku Piotra, kazał mu pocałować Franciszka Łaszcza w rękę i powiedzieć: przepraszam. Piotr pocałował Franciszka Łaszcza w rękę i powiedział: przepraszam.

Jaki jest związek pomiędzy tym zdarzeniem a sprawą przydzielenia słonecznego pokoju rodzinie Nowaków?

Nie wiem. Ale wiem, że związek ten musiał istnieć, ponieważ Piotr Januszewicz opowiedział o zdarzeniu z roku 1910 bezpośrednio po rozmowie z panią pułkownikową Szczodropacką, wbiegłszy do bistrot Mme Vial na wódkę.

Jaka to była wódka?

Źle dystylowany marc, według opinii d-ra Lizockiego szkodliwy, ze względu na olejki, jakie zawierał.

Co stało się w roku 1920?

W roku 1920 niejaki Antoni Wrona zadenuncjował Piotra Januszewicza przed władzami bolszewickimi, po czym Piotr Januszewicz przesiedział dwa lata w więzieniu, gdzie nauczył się szewstwa.

Jaki jest związek pomiędzy tym zdarzeniem a przydzieleniem słonecznego pokoju rodzinie Nowaków?

Nie wiem, ale wiem że związek ten musiał istnieć, ponieważ Piotr Januszewicz opowiedział o nim przy drugim kieliszku marcu u Mme Vial.

O czym, przed pójściem do Mme Vial, mówił Piotr Januszewicz z panią pułkownikową Szczodropacką?

Pani pułkownikowa Szczodropacka przyszła do Piotra Januszewicza, jako do zastępcy kierownika schroniska, protestując przeciwko przydzieleniu słonecznego pokoju rodzinie Nowaków, co nazwała niesprawiedliwością, ponieważ Nowakowie przyzwyczajeni byli do mieszkania w ciemnych izbach i nic im się nie stanie złego jeśli zajmą pokój północny, podczas gdy jej córka, Ksenia, nie jest przyzwyczajona i jest blada i anemiczna.

Czy Ksenia Szczodropacka rzeczywiście była blada i anemiczna?

Tak.

Co odpowiedział na to Piotr Januszewicz?

Piotr Januszewicz odpowiedział, że dzieci Nowaków są również blade i anemiczne, że Nowakowa jest tuż przed rozwiązaniem i w tych dniach pójdzie do szpitala, że rodzina Nowaków w ogóle nie będzie w „Hôtel de la Poste Restante" dłużej niż dwa tygodnie, i że MIESZKAĆ BĘDZIE W POKOJU SŁONECZNYM.

Co na to pani pułkownikowa Szczodropacka?

Pani pułkownikowa Szczodropacka odwróciła się, poszła do siebie na górę, na I piętro, i rozpłakała się. Kiedy ojciec jej, generał Bliski, spytał: „Co ci się stało?", odrzekła: „Januszewicz jest bolszewik".

A co Piotr Januszewicz?

Było już powiedziane, że poszedł do Mme Vial na wódkę i opowiedział o zdarzeniu z roku 1910 i z roku 1920.

Komu opowiedział?

Edwinowi Fuchsowi i dr-owi Tadeuszowi Lizockiemu.

Czy Edwin Fuchs także powiedział, że Januszewicz jest bolszewik?

Nie. Edwin Fuchs uważał siebie za komunistę a Piotra Januszewicza za szlachcica i arystokratę.

Czy dr. Lizocki powiedział, że Januszewicz jest bolszewik?

Nie. Januszewicz był Polak i rzymski katolik, a dr. Lizocki tylko wszystkich żydów uważał za bolszewików i wszystkich bolszewików za żydów.

Co dr. Lizocki sądził o Edwinie Fuchsie?

Sądził, że może Edwin Fuchs jest komunistą, ale na pewno nie jest bolszewikiem, ponieważ jest protestantem.

Co Edwin Fuchs sądził o d-rze Lizockim?

Że należy do warstwy społecznej, która zniknie wraz z mijającą właśnie epoką historyczną, ale że jest morowy chłop, ponieważ przeszedł kampanię pod Narwikiem i nauczył się czegoś o życiu, chociaż inaczej trochę niż Edwin Fuchs, który był w Brygadzie Międzynarodowej w Hiszpanii i walczył z faszyzmem wtedy jeszcze, kiedy dr. Lizocki, rad z życia w owej poprzedniej epoce historycznej, udzielał porad ginekologicznych paniom z towarzystwa we Lwowie.

Czy dr. Lizocki leczył tylko panie z towarzystwa?

Nie. Dr. Lizocki był także lekarzem Kasy Chorych.

Dlaczego więc Edwin Fuchs kładł nacisk na te „panie z towarzystwa"?

Żeby uprościć obraz świata i ułatwić sobie w ten sposób rozumowanie.

Co myślała o Edwinie Fuchsie, o Piotrze Januszewiczu i o d-rze Lizockim Mme Vial?

Mme Vial zastanawiała się nad tym skąd mają pieniądze na wódkę.

Skąd mieli?

Piotr Januszewicz był przed wojną konsulem gdzieś w Belgii czy w Holandii i udało mu się uciec przed inwazją z portfelem w kieszeni szarych, flanelowych spodni; Edwin Fuchs prowadził książki w schronisku i dostawał za to tyle, że mu akurat na wódkę starczyło; dr. Lizocki pełnił funkcje lekarza w Hôtel de la Poste Restante, zresztą dwa kieliszki było dosyć by zaczął śpiewać: „Na ch... nam tornister — Na ch... nam ten pas —Na ch... nam to wszystko — I tak nie będzie nas" na przemian z Horst-wessellied i Międzynarodówką.

Czy dr. Lizocki mówił coś o rodzinie Nowaków?

Tak, powiedział, że zbadał już dzieci Nowaków, że chłopiec ma 5 lat i rachitis, dziewczynka — 4 lata i blednicę, najmłodsze — 3 lata i zaaplikowałby mu porcję wieprzowiny z kapustą; że Nowakowa będzie rodzić za dwa dni, najdalej za tydzień, że dobrze, że im Januszewicz dał ten słoneczny pokój, że po tym od razu widać że Januszewicz jest z dobrej rodziny, że go ojciec umiał wychować, że „gdyby cała nasza szlachta była taka, to byśmy nie wisieli na tym żydowsko-bolszewickim pasku".

Co powiedział Edwin Fuchs?

Powiedział, że Januszewicz jest byczy chłop, ale że to nie rozwiązuje kwestii społecznej.

Co powiedział Piotr Januszewicz?

Powiedział, że wypełniał kartę Nowaków i zobaczył, że Nowakowa jest z domu Olszewska, tak jak jego matka.

Czy, nim Januszewicz to powiedział, dr. Lizocki mruknął był coś pod nosem?

Tak.

Co?

Mruknął: „gówno rozwiązuje kwestię społeczną".

Czy wiadomo jest co w tym czasie robili Nowakowie?

Siedzieli na swych tłumokach w korytarzu Hôtel de la Poste Restante i czekali na opróżnienie słonecznego pokoju na I piętrze.

Od jak dawna czekali?

Przyjechali pociągiem o 1.30. O 1.45 byli już w Hotelu.

O której zajęli swój pokój?

O godzinie 5.30.

Czy zeszli na dół, na kolację?

Nie. Nowak sam zeszedł do kuchni i zabrał na górę zupę w jednym garnku i rutabagę w drugim.

Czy nazajutrz rano zeszli do jadalni na śniadanie?

Nie. Nowak sam zeszedł do kuchni i zabrał kawę na górę.

Czy zeszli potem na obiad?

Nie. Nowak sam zeszedł do kuchni i zabrał zupę w jednym garnku i gotowaną wykę w drugim.

Czy nigdy Nowakowie nie schodzili na dół do jadalni?

Nie. Nowak sam niósł wszystko do pokoju na górze.

Dlaczego?

Jak to: dlaczego...?

Dlaczego nie schodzili na dół?

Ależ przecież wokoło Nowaków była przepaść. Gdyby zeszli na dół, do jadalni, wokoło ich stołu rozpękłaby się podłoga i ziemia pod nią rozwarłaby się szeroko, a to nieprzyjemnie siedzieć z małymi dziećmi przy stole, jeść rutabagę okraszoną czerwonymi kłaczkami bani, i mieć przepaść wokoło siebie. Wprawdzie obie jadalnie przerżnięte były przepaściami, wzdłuż, wszerz, w ukos, w zygzag, ale ani jedna z tych przepaści nie była tak głęboka, tak nie do przebycia, jak przepaść otaczająca Nowaków. Przepaść dzieliła pułkownikową Szczodropacką i baletmistrza z Holandii, ale można ją było przebyć przy bridge'u; przepaść dzieliła byłego konsula w ZSSR, Płyckiego, i byłego nauczyciela szkoły powszechnej, Szablę, ale można ją było przebyć przy omawianiu sprawy zorganizowania chóru; przepaść dzieliła Edwina Fuchsa i Bujakowskiego, byłego policjanta, ale można ją było przebyć na kursach angielskiego, jakie zorganizował Fuchs; przepaść dzieliła malarza Krahla (potomka tego Krahla co z Sobieskim pod Wiedniem) i zawodowego sierżanta, Dantyszka (tego co przed sądem honorowym wytoczył sprawę Krahlowi, że zbrukał świętość narodową, Jana Stykę, mówiąc o nim: gówniarz, knociarz i pętak), ale można było tę przepaść przebyć na kursach hiszpańskiego, jakie urządził Krahl; przepaść dzieliła Lusię Lilienberżankę i Grustrzeckiego (tego od Polepy), ale można ją było przebyć gdzieś, na dalekim spacerze, o zmroku; przepaść dzieliła Gocha i chłopców chodzących do Szkoły Rzemieślniczej, ale można ją było przebyć w kuźniach, przy tokarkach i w salach wykładowych, gdzie Goch służył za tłumacza; przepaść dzieliła Wandzię Jadźwińską, która uczyła się krawiectwa i panią generałową Bliską, ale można było przebyć tę przepaść przy omawianiu sprawy koszulek dla małej Kseni Szczodropackiej; przepaść dzieliła dra Lizockiego i Zenona, ale można ją było przebyć w gabinecie lekarskim; przepaść dzieliła red. Tutkiewicza i dra Śliwkowskiego, ale można ją było przebyć przy omawianiu wspólnych wrogów; przepaść dzieliła Polepę (z jego Wielkiej-Polski-Moc-To-My), i kaprawego Cudzika (tego co w francuskiej kopalni „komunizmem sparszywiał"), ale mógł ją przebyć pogardliwy uśmiech Polepy i mogło ją przebyć nienawistne splunięcie Cudzika. Wszystkie one były węższe i płytsze od przepaści, otaczającej rodzinę Nowaków. Wszystkie one były przepaściami pomiędzy wspomnieniami, pomiędzy wspomnieniami jednych i wspomnieniami drugich, wszystkie one były przepaściami pomiędzy fikcjami, pomiędzy abstrakcjami, wyniesionymi w popłochu z tej rzeczywistości, która minęła, której już nie było. Przepaść otaczająca rodzinę Nowaków była przepaścią pomiędzy abstrakcjami i rzeczywistością która została.

Czy próbował ktoś przebyć tę przepaść?

Tak.

Kto?

Pierwsza była Zofia Królińska. Zaraz następnego dnia rano zatrzymała Nowaka na schodach: „Jak się ma żona, panie Nowak?" Odrzekł: „Chwalić Boga, pani, niezgorzej". Przysunęła się bliżej: „Do mnie możecie mieć zaufanie — rzekła — ja jestem socjalistka, należę do Pepees. Ja jestem z ludem, panie Nowak. Ale niech się pan pilnuje tu w Hotelu,

bo tu są różni ludzie, panie Nowak, niech pan słucha mojej rady. Tu są endecy i ozonowcy, tu są oenerowcy i komuniści, są luteranie i żydzi. Cała Polska tu jest, panie Nowak. Dla waszego dobra to mówię, panie Nowak". „Dziękujem wam, pani" — odrzekł Nowak i poszedł dwa stopnie wyżej. W obu dłoniach niósł kubki, pełne gorącej czarnej kawy. Chwyciła go za rękaw: „ Widzieliście, panie Nowak, tego pana co siedzi ze mną przy stole? Lorelei się nazywa, ale jest prawdziwy Polak, z krwi. Tyle że ze Śląska pochodzi. On brał udział w powstaniu śląskim i jego pomnik stoi pod Katowicami, jeżeli go Niemcy nie zniszczyli. Pan Lorelei jest literat, panie Nowak, taki co pisze książki i wiersze, widział pan pewnie w „Wiarusie Polskim"? Różni ludzie tam piszą, panie Nowak, ale to jest grafomania, rozumie pan, panie Nowak?, nie umieją. Ale pan Lorelei jest jak Mickiewicz. A do tego jest jeszcze pepesowiec, rozumie pan, panie Nowak? Gestapo go po całej Francji goniło. Pan dużo przeszedł, panie Nowak, ja panu radzę, panie Nowak, niech pan pójdzie do pana Lorelei i mu wszystko opowie, a on o panu książkę napisze, o polskim włościaninie książkę, rozumie pan, a potem się ją wydrukuje". „Za pozwoleniem pani — odrzekł Nowak — ale boję się że mi kawa łostygnie. Kobieta moja mało gorącego pożywienia dostaje teraz". I, zostawiając Królińską na schodach, poszedł na górę, do swego słonecznego pokoju.

Kto jeszcze?

Wielu. Polepa, Płycki, Zenon, Lilienberżanka, Januszewicz...

Polepa?

Kiedy w południe wracał z kuchni z obiadem, zatrzymał go na schodach Polepa. „I jak tam, gospodarzu?" — spytał. „Chwalić Boga, panie..." — odrzekł Nowak. „Na co to wam przyszło, z familią po świecie się szwendać, zamiast na swoim orać i siać. Podobno do katanów na fermę się wybieracie?" „A tak, panie..." „To bolszewiki was wygnały z Polski?" „Nie, panie. My przed wojną jeszcze wyemigrowali, panie". „Żydy z was krew wyssały i żydy zostały w Polsce, a wyście Polak, katolik, musieli do katanów na łaskę jechać. A kiedyśmy wam mówili: wydusić żydostwo!, toście się namyślali, toście byli powolni, ciężcy. Ale to nic! Niemcy teraz w Polsce żydów wyrżną, a potem sami się z ruskimi wytną, jedni drugich, i będzie Polska od Bałtyku do Morza Czarnego. Ziemia tam tłusta. Dla Polaków jej starczy. Na wyrost!". „Za pozwoleniem pana, ale zupa mi łostygnie, a to co w niej najlepsze dla dzieci, to gorącość". Zostawiając Polepę na schodach, poszedł na górę do pokoju i zamknął drzwi za sobą.

Płycki?

Były konsul Płycki natknął się na Nowaka wieczorem, na korytarzu, przed drzwiami kuchni: „A pan, panie Nowak, niech pan powie, głodny pan jest, panie Nowak?". „Ja tam przyzwyczajony, proszę łaski pana kierownika". „Widzi pan, panie Nowak! My, stare pokolenie, przyzwyczajeni jesteśmy. A niech pan popatrzy, panie Nowak, na tę dzisiejszą młodzież. Urządzili strajk, poszli do szkoły bez śniadania, nie przyszli na obiad i wysłali delegata ze skargą do centrali. Zamiast w obozie pracy drzewo rąbać, siedzą tutaj jak u Pana Boga za piecem, uczą się rzemiosła w francuskiej szkole i jeszcze im źle!". „Mówili, że wczoraj jeden omdlał w kuźni, proszę łaski pana kierownika". „Oj, panie Nowak, za dużo pan słucha co mówią. Jak im się kartki na chleb daje to idą i kupują biskwity". „Biskity są twardsze, proszę łaski pana kierownika, mąki w nich więcej". „Ale pan nie jesteś pan głodny, panie Nowak, i pokój słoneczny macie, w prawdziwym hotelu, pewnieście nigdy jeszcze z waszą kobietą w takim nie mieszkali. I łazienka jest na korytarzu. Gdyby wam przyszło na myśl się wykąpać, poproście pana Januszewicza to wam pokaże jak się kran odkręca".

Zenon?

„Ach, moje uszanowanie panu! Czy małżonka pana czuje się nieszczególnie, że zanosi pan kolację do pokoju? Jak się państwu podoba tu u nas? Powinni się państwo wybrać na spacer...okolica jest artystycznie prześliczna. Jeśli państwo nie mają nic absolutnie przeciwko temu to poproszę pannę Jadzię, moją narzeczoną, żeby uszyła coś dla szanownego... ha! ha! ha!...potomka...ha! ha! ha!...". „Dziękuję wam, paniczu...". „Czy myśli pan, że to będzie syn, czy córeczka?". „Jak Bóg da...". „Ach, ale ja pana tu zatrzymuję, a panu tymczasem zupa stygnie. Najmocniej pana przepraszam! I niech pan będzie łaskaw nie zapomnieć ucałować ode mnie rączek pani Nowakowej!"

Lilienberżanka?

„Czy pan lubi „Etudę Rewolucyjną" Chopina? Niech pan zajdzie do mnie, ja mieszkam w aneksie u Mme Fesanti, mam tam pianino, to panu zagram". „Dziękuję wam, pani, ale ja już nie młody dość na tańce i na śpiewy". „To nie jest muzyka do tańca, to jest...". „Za pozwoleniem pani, ja kobiety teraz samej z dziećmi łostawić nie mogę". „To jest... coś więcej! Widział pan tu francuskich farmerów? Niejeden ma fortepian u siebie w domu. Ja co niedzielę chodzę siedem kilometrów za miasto, na wieś, do jednej rodziny, która ma fortepian i gram Chopina i Beethovena i Bacha. Z całej okolicy zbierają się ludzie i słuchają. Z prawdziwym wzruszeniem, nie takim jak te snoby z inteligencji! Kolację dla mnie szykują i zawsze jeszcze kawałek masła albo jajko dają na odchodnem". „Za przeproszeniem pani, ja tu nie na swoim jestem. Skądżebym ja tu jaj wziął albo masła? Dla własnych dzieci mam tyle co na kartki". „Co?! Co?! To wy przypuszczacie, że ja po to im gram, żeby kolację dostać?! Że ja chodzę siedem kilometrów tam i z powrotem, że gram etudy Chopina i fugi Bacha i koncert Beethovena, żeby dostać kawałek masła? Mój ojciec, stary Lilienberg, miał fabrykę włókienniczą w Łodzi, 4.000 ludzi pracowało u niego. To wy przypuszczacie, że ja po to rzuciłam jego salony i powozy i balowe suknie, że po to siedziałam w więzieniu, że po to uciekłam do Francji, że po to harowałam w fabryce samolotów, żeby sobie zniszczyć palce i grać dla francuskich chłopów Chopina za jajko?!". „O, to i wybaczcie pani, ja nie chciał wam obraźliwego słowa powiedzieć. Jeno wiem jak trudno człowiekowi każdemu teraz o coś do zjedzenia jest. A już najgorzej to z dziećmi. Białe to i sił nie ma".

Januszewicz?

Późnym wieczorem wszedł do pokoju Nowaków, przyniósł z sobą parę kartek na mięso i na tłuszcze: „...mam ich zawsze trochę luzem z kancelarii, ale nie mówcie lepiej, ojcze, że wam dałem. Zaczną gadać, wiecie, niepotrzebnie". Nowakowa: „Ale też pan kierownik łaskaw dla nas! Niech Matka Boska panu kierownikowi wynadgrodzi!". „A jak tam, ojciec, z tą fermą, do której jedziecie? Ziemia tam dobra?". „Nie widziałem jej jeszcze. Ale myślę tak, że jak innym rodzi to i mnie będzie. Ziemia to jest taka rzecz, że nie patrzy kto ją obrabia. Polak, czy zaś Francuz. Ziemia to patrzy na to ile w nią człowiek potu wkłada". „Najważniejsze, ojciec, że będziecie z rodziną na swoim". „I tak i nie, panie. Niby na swoim, a nie na swoim. Jeich synów do niewoli wzięli, w Niemcach są jako te kriegsgefangeny. I starzy mi ich gospodarstwo dzierżawią, niby bez pieniędzy, ale za robotę i tylko póki te młode nie powrócą". „Da Bóg, że wszystko będzie dobrze!". „Daj Boże! A pan kierownik to się na ziemi zna. Mówili, że pan kierownik tu parcelę na ugorze zagospodarzył". „Mój ojciec miał w Nowogródzkim, wiecie, 4.000 hektarów...". Nowakowa: „Jezus, Maria! Cztery tysionce! I takiego pana syn żeby tu teraz na tej obcej ziemi za kierownika w hotelu być musiał". „4.000 hektarów" — powtórzył Nowak — „Wielki pan był!" — dodał z podziwem. Ale kiedy Januszewicz wyszedł, zamknął za nim drzwi bardzo starannie na klucz.

Dlaczego to „a l e"? Czy jest jakiś związek pomiędzy 4.000 hektarów i zamknięciem drzwi? Czy gdyby nie 4.000 hektarów to Nowak nie zamknąłby drzwi? Czy Nowak zamknął drzwi dlatego, że ojciec Piotra Januszewicza był panem na 4.000 hektarów?
Nie wiem. Być może.

Jeśli tylko: „być może", to czy nie należało zbudować zdania bez tego „a l e" i podać wprost fakty: 1. *Januszewicz o ojcu*, 2. *westchnienie Nowakowej*, 3. *podziw Nowaka*, 4. *Januszewicz wychodzi*, 5. *Nowak zamyka drzwi*. — ?
Być może.

Jaki jest tekst przysięgi?
„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu i Wszechwiedzącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, że będę mówił szczerą prawdę, jaką ją znam, nie zatajając niczego ani nic nie ukrywając. Tak mi Panie Boże dopomóż".

Czy zdanie bez „ale" nie jest w większej zgodzie z wymogami przysięgi niż zdanie z „a l e" — ?
Być może.

Czy był to jeden jedyny raz, kiedy Nowak zamknął drzwi na klucz?
Nie. Zamykał je zawsze.

Czy zdarzały się w Hotelu wypadki, które by to usprawiedliwiały?
Tak. Zdarzały się drobne kradzieże. Poza tym zdarzyło się raz, że Viencyslas, baletmistrz z Holandii, po pijanemu w nocy pomylił drzwi, stanął przed łóżkiem, w którym spał aktor Lewicki ze swoją żoną, i obsikał ich.

Czy tylko Nowak zamykał drzwi na klucz?
Nie.

Czy liczba 4.000 hektarów podana jakoby przez Januszewicza i liczba 4.000 robotników podana jakoby przez Lilienberżankę są autentyczne, czy też wybrane zostały tak, żeby zasugerować pewną myśl, która nie została podana bezpośrednio?
Nie są autentyczne.

Czy więc zdanie: „Mój ojciec, stary Lilienberg, miał fabrykę włókienniczą w Łodzi, 4.000 ludzi pracowało u niego" oraz zdanie: „Mój ojciec miał w Nowogródzkim, wiecie, 4.000 hektarów..." nie byłyby w większej zgodzie z wymogami przysięgi, gdyby nie zawierały liczby: 4 0 0 0 ?
Być może.

Jak brzmi ustęp, dotyczący mówienia prawdy, w przysiędze angielskiej?
„I will say the truth, only the truth and nothing but the truth."

Jak brzmi ustęp, dotyczący mówienia prawdy, w przysiędze francuskiej?
„...rien que la verité et toute la verité".

Kiedy Nowakowa poszła do szpitala?
Na piąty dzień po przyjeździe.

Czy Nowak odprowadził ją?
Tak.

Czy szli Grand'Rue i potem serpentyną na górę, czy też przy Quatre Chemins skręcili w lewo i poszli ścieżką?
Szli Grand'Rue i potem serpentyną. Nowakowej za trudno byłoby piąć się pod górę ścieżką.

Jak długo Nowak był w szpitalu?
Póki nie załatwiono formalności; dopiero kiedy siostry zabrały Nowakową na salę, Nowak poszedł z powrotem.

O której to było?
O g. 5.15.

Czy wracał potem tą samą drogą?
Nie. Wracał ścieżką.

Czy, idąc ścieżką, nie zauważył nic dziwnego obok, w krzakach? Czy nie zauważył nic takiego, co, gdyby to był zauważył, musiałoby go zaalarmować?
Przypuszczam, że nie.

Czy gdyby był zauważył na przykład trupa, leżącego w krzakach, tuż obok ścieżki, mniej więcej w połowie zbocza, czy byłby o tym powiedział komuś?
Przypuszczam, że tak.

Czy schodząc ścieżką w dół musiało się przejść obok komisariatu policji?
Tak.

Czy Nowak przeszedł obok komisariatu?
Przeszedł.

Czy nie wszedł do środka ani na chwilę?
Nie. Poszedł prosto do Hotelu.

Z kim widział się tego wieczora w Hotelu?
Najpierw z kucharzem, który mu dał kolację dla niego i dla dzieci, a potem w salonie prawie z wszystkimi.

Po co poszedł Nowak do salonu?
Tego wieczoru odbywała się w salonie Akademia dla wszystkich mieszkańców.

Jaka to była akademia?
Ku czci Literatury i Poezji Polskiej.

Jaki był jej program?
Najpierw miał prelekcję Mieczyk, potem miał prelekcję Lorelei, potem Mieczyk deklamował Wierzyńskiego, Lechonia oraz „Alarm" anonimowego autora, potem aktorzy czytali na głosy „chór przechrztów" z „Nieboskiej Komedii", potem Leon Majelnicki śpiewał lwowską balladę o pannie Franciszce i kiszkach, przy czym akompaniował mu na harmonii Roman Grustrzecki.

Czyj był wiersz p.t. „Alarm"?
Antoniego Słonimskiego.

Czy Mieczyk wiedział o tym?
Wiedział.

Dlaczego więc powiedział, że jest to wiersz anonimowego autora?
Dlatego, że przedtem, w swej prelekcji, mówił, że *szeroką falę poezji polskiej przepływa ciemny i mętny nurt obcy, który bierze swe źródło nie w kryształe ducha narodu a w moczarach międzynarodówki* i za przykład tego nurtu podał twórczość poetycką Słonimskiego, Tuwima i Wittlina.

Co robił przez ten czas Nowak?
Stał w samym końcu salonu, przy kominku, pod portretem niejakiego Chevalier de Bachaumont i, w braku tytoniu, trzymał w ustach małe drewienko, które ssał jak papierosa.

Co mówił Lorelei?
Mówił, *że serce Stefana Żeromskiego krwawiło się na widok krzywdy społecznej, jaka je otaczała, ale nigdy ani o włos nie zeszło ze szlachetnych koturnów, na jakich z taką miłością biło, i, zamiast za pomocą wszystkoburczych teoryj względności rozsadzać w proch i w pył piękne polskie wierchy tatrzańskie i zwałem gruzu strasznego przygważdżać starodawne obyczaje polskich miast, dworków i wsi, starało się zielone pachnące doliny podciągnąć ku wysokości Giewontu, na którego szczycie Śpiący Rycerz czekał i czeka wytrwale i nie na próżno.*

Czy Mieczyk także mówił o Żeromskim?

Tak.

Co?

Mówił, *że wielkość sztuki Żeromskiego polegała na tym, że pod jego zaostrzonym dumą i w inkauście miłości maczanym piórem pawim, kolor żółty zamieniał się w złoto, kolor biały w srebro, kolor siny w błękit, kolor pleśni w zieloność, a czerwień krwi — w szkarłaty, purpury i amaranty. Te purpurę, ten szkarłat, ten amarant, które zostawił nam w spuściźnie, podnieść chcemy wyżej niż sięgnąć mogą czerwone pióra kurów ognistych, niosących nam nic, tylko pożar, mór i zagładę.*

Co robił przez ten czas Nowak?

Stał w samym końcu salonu, przy kominku, pod portretem Chevalier de Bachaumont.

Jak wyglądałby Nowak, gdyby go przemalować według powyższej recepty Mieczyka (powołującego się na Żeromskiego)?

Miałby twarz złotą, usta amarantowe, kołnierzyk od koszuli srebrny, powieki błękitne.

Jak wyglądałby portret Chevalier de Bachaumont, gdyby go wymyć i odrestaurować według tej samej recepty?

Tak samo jak przedtem.

Ile lat miał Mieczyk?

20.

Ile lat miał Lorelei?

59.

Ile lat miał Nowak?

42.

Czy Nowak chodził jeszcze potem do szpitala ścieżką, biegnącą od Quatre Chemins w górę?

Tak.

Ile razy?

Raz dziennie, przez cały czas pobytu Nowakowej w szpitalu.

Jak długo była Nowakowa w szpitalu?

Tydzień. Trzeciego dnia urodziła chłopca, a siódmego wróciła do Hotelu.

Czy słowa Królińskiej: „*Tu* (w Hotelu) *sa endecy i ozonowcy, tu są oenerowcy i komuniści, są luteranie i żydzi. Cała Polska tu jest, panie Nowak*" — odpowiadały prawdzie?

Pierwsze zdanie odpowiadało prawdzie. Drugie zdanie, o tym że „Cała Polska tu jest", odpowiadało prawdzie tylko częściowo i tylko wtedy, kiedy Nowakowie byli w Hotelu. Przed ich zjawieniem się to zdanie nie odpowiadało prawdzie i po ich zniknięciu to zdanie przestało odpowiadać prawdzie.

Jak to — przed ich *zjawieniem się* i po ich *zniknięciu*? Czy znaczy to, że zjawili się i znikli jak duchy?

W pewnym sensie: tak. W innym sensie: *przyjechali* normalnie pociągiem z departementu Drôme i *wyjechali* normalnie pociągiem na fermę w Haute-Savoie.

Kiedy?

Nazajutrz po powrocie Nowakowej ze szpitala.

Kto zajął ich pokój na I piętrze?

Kiedy po wyjeździe rodziny Nowaków p. Szczodropacka chciała zająć pokój na I piętrze okazało się, że są tam pluskwy. Gnieździły się w szczelinach łóżek, za listwami przy podłodze, na ścianie pod zelektryfikowanymi świecznikami Louis XV, za wielką hotelową szafą w stylu Régence, w kącie pod umywalnią Empire i za wytartym gobelinem, którym kryty był fotel

„à medaillon" — Louis XVI. Piotr Januszewicz ustawił na środku pokoju puszkę od konserw napełnioną siarką, zapalił tę siarkę, a potem zamknął drzwi od zewnątrz na klucz, okleił szpary paskami papieru i zostawił tak pokój na 24 godziny. Dopiero po tych 24 godzinach, a może dopiero wtedy kiedy p. Szczodropacka zajęła z Ksenią słoneczny pokój na I piętrze — o rodzinie Nowaków zapomniano ostatecznie.

PORUCZNIK HERBERT

„KAŻDY KURS PÓŁNOCNY PROWADZI DO BAZY"

Wieczorem polecę na zadanie. W wyprawie popołudniowej nie brałem udziału i bezczynnie pętałem się po kasynie. Było nudno. Nie chciało mi się nawet grać w bridge'a. Nie mogłem się doczekać powrotu dywizjonu i dopiero kiedy nad lotniskiem rozległ się warkot silników, odetchnąłem z ulgą. Tak jest zawsze, ilekroć kilku spośród nas zostaje, podczas gdy większość leci „na tamtą stronę". Godziny, które spędzamy tu, na ziemi, w oczekiwaniu na ich powrót, nie liczą się, jakkolwiek trwają bardzo długo. Chcę powiedzieć, że nie liczą się jako czas przeżyty. Ten czas *spędzamy*. To jest chyba najwłaściwsze wyrażenie — spędzać czas, czyli popędzać go, aby minął jak najprędzej; abyśmy znów zaczęli żyć; aby zaczęło się coś dziać dokoła nas i z nami. „Spędzanie czasu" bywa bardzo nużące; dla mnie jest zawsze piekielnie nudne. Dlatego oddycham z ulgą, kiedy się wreszcie kończy.

Na lotnisku przy hangarach stał mały tłumek; oprócz pilotów — goście z Londynu: dwie dziennikarki amerykańskie, paru oficerów z Dowództwa i — Jean.

Jean, ładne, jasnowłose stworzenie, czeka na naszego dowódcę. Jest zawsze uśmiechnięta i zawsze pewna, że Jurek wróci. Wzrusza mnie ta jej naiwna, głęboka wiara, chociaż jeden z moich przyjaciół, Stefan, utrzymuje, że to po prostu brak wyobraźni. Ale Stefan jest w ogóle sceptyk i pesymista.

Samoloty wylądowały. Mechanicy zaroili się w koło nich uzupełniając benzynę i amunicję. Wypytują pilotów o działanie silników i o przygody.

Dziennikarki witają dowódcę; słychać trzaskanie migawek aparatów fotograficznych. Myślałby kto, że to była jakaś nadzwyczajna wyprawa, nie zwykłe, codzienne zadanie. Aż mi trochę zazdrość, że to nie ja wracam z tego lotu: nikt na mnie nie zwraca najmniejszej uwagi; bohaterami dnia są ci, którzy w tej chwili wysiadają z maszyn.

Wtem Jurek dostrzegł mnie za plecami gości i zwracając się do Amerykanek, powiada:

— Ten pilot we czwartek zestrzelił Focke Wulfa-190, który mnie atakował.

Zrobiło mi się głupio. Zaczerwieniłem się jak niewinne dziewczę i ogarnęła mnie złość na tę całą publikę, która gapiła się na mnie jak na raroga. Szczęściem adiutant zarządził odjazd do kasyna na podwieczorek. Zostaje tylko nowy skład pilotów, który ma lecieć.

Jean, żegnając się ze mną, mówi: „Good luck". Ciekawe czy z taką samą pewnością wierzy w mój szczęśliwy powrót, jak we wszystkie szczęśliwe powroty swego Jurka?... Zapewne w ogóle o tym nie myśli, bo cóż ją to może obchodzić? Ze złością powtarzam sobie w duchu, że ona sama i jej myśli mnie też nic a nic nie obchodzą. Nic! Absolutnie! — i — — wiem, że to nieprawda...

Idąc do samolotu, przypominam sobie ostatnie słowa odprawy:... „Każdy kurs północy prowadzi do bazy"...

* * *

Lecę jako prawy boczny w pierwszej czwórce. Ryk silnika jest mocny i rześki. Toczy się, jak szorstki kamień szlifierski, porywając i odrzucając precz całe strzępy moich myśli i spraw, które łączą mnie z codziennym życiem prywatnym. Czuję, jak ich ubywa, jak wygładza się i wyostrza to, co nazywamy „nastrojem chwili", jak poleruje się moja uwaga, jak skupia się coraz bardziej na zadaniu, w którym biorę udział, podczas gdy wszystko inne odpryskuje, urywa się i pozostaje gdzieś daleko, coraz dalej poza mną. To wrażenie, lub może raczej — to doznanie — jest tak silne, że odczuwam je niemal fizycznie. Można je porównać do pewnego stopnia ze stanem, jaki następuje po zażyciu proszku od bólu głowy, w chwili gdy ból ustaje i gdy wraz z uczuciem ulgi ogarnia nas miłe, jasne podniecenie.

Najpierw zapominam o Jean: teraz naprawdę już mi jest obojętne czy pomyśli o mnie mając przy sobie Jurka, czy nie. Potem wydłuża się, wątleje i urywa się myśl o urlopie, który już dwa razy musiałem odłożyć; potem — o jakichś listach, na które jeszcze nie odpisałem, o kłopotach z krawcem w Londynie, o irytującym komentarzu politycznym w sprawie Polski w jakimś angielskim dzienniku, o nieudanym impasie przy bridge'u...

Pozbywam się tego wszystkiego niejako mechanicznie, bez udziału woli, bez jakiegokolwiek wysiłku z mej strony; właśnie tak, jak nóż polerowany na kamieniu szlifierskim pozbywa się szczerb i rdzy.

Przychodzi mi jeszcze na myśl, że nie włożyłem wełnianych pończoch, bo zwykle było mi za ciepło; teraz marzną mi kolana. I natychmiast pocieszam się, że się rozgrzeję — niech się tylko zacznie...

Tymczasem mijamy Kanał w jednym z najszerszych miejsc, i widać już brzeg Francji.

Sygnał do szyku bojowego. Zapalam celownik, odbezpieczam działka i karabiny, rozglądam się po niebie.

Czerwone słońce na zachodzie oślepia z prawej strony.

— Wracając, będę je miał po lewej — myślę. — „Każdy kurs północny prowadzi do bazy".

Wchodzimy nad brzeg francuski blisko Le Havre. Niczym nie zmącony spokój. Pośród przejrzystych, zaróżowionych słońcem mgiełek, jakby uśpione, wyłaniają się zaciszne osady nad srebrną Sekwaną.

Wtem silnik potknął się w równym rytmie: kończy się benzyna w zbiorniku dodatkowym. Przełączam na główny i dociągam mocniej pasy, by stanowić z samolotem jedną całość.

I oto pada „zaproszenie do tańca": słyszę komendę dowódcy skrzydła: „Wszystkie samoloty pełny gaz, w tył na lewo!"

Robimy pełne okrążenie. W połowie skrętu widzę spływające w dół Focke Wulfy, których ognia uniknęliśmy właśnie tym manewrem. Zaszły nas od słońca i nie udało się im.

To dodaje mi pewności siebie. Odczuwam podniecenie, podobne do emocji myśliwego, który już widzi zwierzynę i wie, że dojdzie do strzału.

Pada komenda: „Atakujemy", i czwórki samolotów idą w dół za uciekającymi Focke Wulfami, które chybiły celu i widocznie wcale nie mają zamiaru próbować szczęścia w walce bez zaskoczenia. Jest ich mniej więcej tyle, ilu nas. Mamy teraz przewagę wysokości. Za pół minuty — nie: za kilkanaście sekund otworzymy ogień...

Wtem—nowy rozkaz: „Wyciągać w słońce—zbiórka nad ujściem rzeki".

W pierwszej chwili ogarnia mnie rozczarowanie i złość: czemu u licha puszczamy ich wolno? Taka okazja nie nadarza się co dzień! Ale w skręcie na pełnym gazie widzę, że słuszność jest po stronie dowódcy: znów spływają na nas Focke Wulfy.

Nie mogę ich policzyć: nie ma na to czasu, bo teraz kotłuje się dokoła, jak w roju pszczół. Jedne pędzą w dół, inne w górę. Niektóre idą wprost na nasze maszyny, mijając je w ostatniej chwili i przeciskając się nawet pomiędzy zwartymi czwórkami.

Rozglądam się na wszystkie strony, aby uniknąć zderzenia i czekam na sposobność. Słońce oślepia. Wreszcie mam je za sobą, ale przed sobą nie mam już dowódcy.

Aha — jest jakiś Spitfire! Dołączam, ale natychmiast rozpoznaję, że to nie on. Lecę więc do najbliższej czwórki. To dywizjon 303... Słyszę komendę jego dowódcy: „...tak...dobrze...czwórkami razem... Spłyniemy ze słońcem!"

Spływam wraz z nimi, ale postanawiam szukać swego dywizjonu, więc gdy 303 wyciąga, spływam dalej samotnie: albo znajdę swoich niżej, przy bombowcach, albo „zakorsarzę" w pojedynkę i wrócę oddzielnie.

Daleko przede mną i dużo niżej suną trzy punkciki. Lecę w ich kierunku. Rosną mi w oczach, ale ponieważ to tylko jedna trójka, więc nie moi. Błyskają w słońcu na tle ciemnej chmurki. Sylwetki ich garbią się... pęcznieją w głowach... i już wyraźnie rzeźbią się w kształty trzech Focke Wulfów! Ja zaś jestem wyżej; o wiele wyżej!

Serce zaczyna mi bić mocniej.

— Bliżej — myślę — bliżej... Jestem zupełnie na tle tarczy słońca, patrząc od nich. Nie powinni mnie zauważyć aż do ostatniej chwili. Zacznę od prawego, z bardzo bliska, i będę miał ich wszystkich zanim się spostrzegą.

Oglądam się jeszcze w tył, czy tymczasem kto inny nie snuje podobnych marzeń o mnie. Ale z tyłu jest tylko słońce; ogromne, jaskrawe, choć już czerwone — jakby pękało ze śmiechu.

Mierzę wzrokiem odległość od prawego Niemca: będzie ze 150 yardów. Celownik wyraźnie świeci na tle ciemnej chmury. Podnoszę środek ognistego pierścienia nieco ponad garb kabiny i naciskam spust.

Focke Wulf drgnął, przechylił się na prawe skrzydło, ozłocił w słońcu czarny krzyż na burcie i jakby zamarł bez ruchu. Tylko odległość między nim a pozostałymi dwoma zaczęła szybko wzrastać. Ale dymu i ognia —ani śladu, a to właśnie chciałbym przywieźć na zdjęciach mojej kamery foto, bo tylko wówczas zaliczą mi zwycięstwo jako pewne. Więc znów się składam.

Odległość bardzo mała: celownik pełen krzyża...

Naciskam spust. Błysnęło, zawirowało! W ciągu dwóch sekund widziałem go wszędzie: nade mną, w dole, na prawo i na lewo. Nie wiem, jakim cudem nie zderzyłem się z żadnym jego strzępem...

Ochłonąłem z wrażenia stanowczo za późno: dwa pozostałe Focke Wulfy były już o jakieś sześćset stóp wyżej ode mnie i z prawego skrętu pluły do mnie ogniem.

— Wiać! — przyszła błyskawiczna decyzja.

Robię gwałtowny skręt w prawo w górę. Szybkość ogromna. Czuję jak wgniata mnie w kabinę, a niebo i ziemia zlewają się w jakąś szarą masę.

Przyciskam brodę do krtani i po chwili zamroczenie mija: odzyskuję wzrok. Jeszcze chwila, a dam nura w sam środek tarczy słonecznej. Wówczas — już wszystko dobrze: nie trafią — nie zobaczą mnie na tle słońca. Jeszcze trzy sekundy... Jeszcze...

Maszyna drgnęła raz i drugi. Myśl, jak błyskawica: otwarło się podwozie!

Sprawdzam uchwyt, spoglądam na wskaźniki — w porządku!

Więc co? Trafili?...

Czekam: może wybuchnie ogień? Mimo woli wciągam głowę w ramiona, garbię się, kurczę się cały, żeby mnie zakryła płyta pancerna. Czekam tego nieznanego mi jeszcze uczucia — trafienia pociskiem. Wtem słońce zalało całą kabinę. Nie widzę nic, ani instrumentów na tablicy, ani horyzontu na niebie; lecę w środek słońca. Teraz nie trafią: są tak samo oślepieni, jak ja!

Oglądam się w tył. Dzieli mnie od nich już całkiem bezpieczna odległość. Po chwili tracę ich z oczu zupełnie.

* * *

Wyszedłem nad brzeg, mniej więcej w środku między Le Havre i Cherbourg. Odetchnąłem z ulgą: no, udało się korsarstwo! Teraz tylko wrócić na lotnisko, a to przecież już drobnostka. I — taki sukces! Zdjęć z tak bliska chyba jeszcze nikt nie przywiózł.

Przełączam radio na nadawanie i ślę meldunek do dowódcy, że miałem walkę i że wracam. Słyszę bardzo dalekie rozmowy dywizjonu. Pozostawiam zbawienną tarczę słońca trochę na lewo. Czuję się już bezpiecznie. Za dwadzieścia minut wylądуję.

Ciekawe — czy Jean będzie czekała na nasz powrót? Jeżeli tak, zapyta, co się ze mną działo. A ja powiem, że polowałem w pojedynkę. I dodam od niechcenia, że skutkiem tego Luftwaffe ma o jednego Focke Wulfa mniej. Zaatakowałem sam jeden trójkę i jednego odstrzeliłem. Z pewnością zapyta, jak to było.

— Jak zwykle, Jean: właściwie wszystkie walki są do siebie podobne. Spojrzę jej w oczy i uśmiechnę się, a potem — ponieważ będzie nalegała — opowiem jej w kilku słowach o tym spotkaniu.

— I nie bał się pan? — zapyta Jean.

A ja:

— Strasznie! Skóra na mnie cierpła.

Po czym Jurek postawi whisky i sam zapyta o szczegóły. Wtedy będę opowiadał wszystkim. Ale właśnie to opowiadanie będzie przeznaczone dla Jean. We czwartek jeden Focke Wulf, dziś drugi! Jeszcze kilka, czy kilkanaście lotów i... — czemu nie? — mogę mieć dwunastu, może piętnastu Niemców...

Uśmiechnąłem się do tej myśli. Nie ma co gadać: mam szczęście.

Ledwie to pomyślałem — silnik nagle przerwał... Drgnąłem. Sprężyły mi się wszystkie mięśnie i w tym napięciu czekałem, kiedy chwyci. Ale sekundy biegły, a warkot nie wracał. Tylko szum i poświst pędu seplenił coś ostrzegawczo o bliskim, niespodzianym niebezpieczeństwie. Poczułem zimny dreszczyk wzdłuż grzbietu, a potem gorące tchnienie strachu. Co się stało?!

Urwany tok myśli skoczył na nowy tor. Pędzą jedna za drugą:

— Może ciśnienie benzyny spadło na wysokości?

Przełączam krany, przestawiam manetki na wszelkie możliwe kombinacje. Nie pomaga. Śmigło obraca się tylko wskutek pędu powietrza.

— Iskrowniki? — W porządku. — Więc paliwo?...

Naciskam guzik wskaźnika.

Wskazówka drgnęła i opadła: ZERO!... Próbuję powtórnie: przecież powinienem mieć zapas wystarczający jeszcze na pół godziny?! Lecz zegar mówi wyraźnie, że zbiornik jest pusty. Zero!

— Co robić? Mam 25.000 stóp wysokości. Brzeg francuski poza mną, od Anglii zaś dzieli mnie prawie 100 mil wody. Zawrócić i lądować we Francji — to dostać się do niewoli. Skakać do morza, tak daleko od brzegów angielskich, przed zapadnięciem nocy — to nawet nie ryzyko: to pewna śmierć.

Naciskam guzik radia i wywołuję naszą stację lotniskową. Po chwili odzywa się oficer kontrolny z „operation". Namierzają mnie; wszystko idzie bardzo sprawnie. Ten żywy głos z Anglii dodaje mi otuchy. Nadając sygnały, żeby tam mogli stale określać moją pozycję, opowiadam o wszystkim co się zdarzyło. Opowiadam zupełnie inaczej, niż to sobie przed chwilą planowałem: miałem walkę, zestrzeliłem jednego; szkoda mi zdjęć, które utoną wraz z samolotem.

Nagle przychodzi mi na myśl, że i ja mogą utonąć. Ogarnia mnie strach. Spoglądam w dół. Ciężkie, oleiste fale przewalają się leniwie pode mną. Wkrótce tam będę. Brr...

— Hallo, Oleńka! Hallo Oleńka! — woła głos oficera kontroli.

— Słucham. Tu Oleńka.

— Nadawaj sygnał. Nie słyszę sygnału.

— O.K. — mówię z wysiłkiem. — Teraz słyszycie?

Słyszą. Podają mi znowu kurs: prosto na północ. Właśnie ten kurs utrzymuję od początku. Wydaje mi się, że minąłem już środek Kanału. Oficer kontroli radzi mi skakać z wysokości czterech tysięcy stóp. Odpowiadam, że rozmieniłem już ostatni dziesiątek, i uświadamiam sobie, że ta chwila się zbliża. Serce zaczyna bić szybciej. Trzeba się przygotować...

Brzegu Anglii nie widać. Przykryły go chmurki. Zdejmuję rękawice, otwieram osłonę kabiny i drzwiczki.

Minąłem już chyba dwie trzecie Kanału. Odpinam pasy. Jeszcze raz zawiadamiam „operation", że za chwilę będę skakał.

Odpowiada:

— Jesteś już niedaleko. Nie będziemy cię długo trzymali w wodzie.

Zdejmuję haubę, a z nią słuchawki i mikrofon. Łączność ze światem zerwana.

Wysokościomierz wskazuje 5.000 stóp. Zwiększam kąt nachylenia maszyny, żeby nabrać szybkości. Zaczynam odwracać Spitfire'a na plecy. Czuję jak maleje siła odśrodkowa, która dotychczas wtłaczała mnie w oparcie fotela, i jak zwolna moje ciało poddaje się prawom grawitacji: robię się lekki, zawisam wewnątrz gondoli, ocieram się o burtę; już do połowy jestem na zewnątrz.

W tej samej chwili budzi się we mnie ślepy, oszalały instynkt: trzymaj się, bo wypadniesz w przepaść! Coś wprost przeciwnego dyktuje rozum: prędzej, bo zostaniesz w gondoli!

Te dwa sprzeczne spięcia w ośrodkach nerwowych paraliżują mięśnie. Strach przed siłą instynktu. Strach przed logicznym nakazem, wbrew nawykom...

Nie dać się! Nie dać się opanować przerażeniu! Myśleć!!

Orczyk uciekł mi spod nóg, drążek sterowy wyrwało mi z ręki, a maszyna nie jest jeszcze na plecach, i teraz, niesterowana przeze mnie, w półobrocie pikuje do wody, a pęd powietrza znów zaczyna mnie wciskać do kabiny... To zwalnia krótkie spięcie instynktu. Rozpaczliwie usiłuję znaleźć punkt oparcia pod stopami, żeby wydostać się na zewnątrz. Szamocę się. Czyżbym tak miał zginąć?!

Wreszcie udaje mi się oprzeć na czymś nogę. Kurczę się i z całych sił odbijam się jak sprężyna. Poświst i szum samolotu ginie, rozwiewa się. Szukam dłonią uchwytu, otwierającego spadochron. Jest! Szarpię z całych sił i... uchwyt zostaje mi w ręku — urwany!

— Co się stało?!...

Wykręcam głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje za moimi plecami i widzę, jak z tyłu, w lewo ode mnie oddala się mały spadochronik pomocniczy, ciągnąc za sobą główną czaszę i pajęczynę sznurów. Czasza pęcznieje, wydyma się, zasłania sobą wszystko, i — zwisam bezpiecznie na szelkach spadochronu.

Bezpiecznie?!... Ogarniam wzrokiem bezmiar szarej wody. Brzegu nie widać. Spoglądam w dół, by ocenić wysokość. Trzy tysiące stóp? Może mniej? Widzę własne stopy, kołyszące się wolno na tle morza. Dziwny widok. Przychodzi mi na myśl, że bardzo niewielu ludzi na świecie przyglądało się swoim własnym stopom na tle morza, ale bezstronnie rzecz biorąc, nie mają mi czego zazdrościć. Zdarłem z noska nowych mocnych butów strzęp skóry. Musiałem o coś zaczepić w maszynie.

Fakt, że moją uwagę zaprzątają takie nieistotne drobiazgi, że zdaję sobie z nich sprawę — podnosi mnie na duchu. „To zimna krew i spokój" — myślę z aprobatą. Ale ów „spokój" pryska jak bańka mydlana, gdy znów spoglądam na morze.

Szara powierzchnia wody staje się coraz wyraźniejsza. Widzę wyraźnie biało-grzywe bałwany, załamujące się u szczytu i spływające w głęboko

zaklęsłe kotliny. Czy moja łódź gumowa utrzyma się na wzburzonej fali? I — jak długo?...

Otwieram kran butelki ze sprężonym powietrzem, aby napełnić „Mae Westkę" i ściągam linki, by zmniejszyć wahania spadochronu. Po chwili butla przestaje syczeć, choć „Mae Westka" nie wydęła się jeszcze dostatecznie. Chcę ją nadmuchać siłą własnych płuc, lecz nie ma już czasu: zwały białej piany są tuż pod nogami. Przekręcam klamrę zwalniającą pasy spadochronu i w następnej chwili wpadam do wody.

Zanurzam się z głową, ale wypływam zaraz na powierzchnię. Widzę, jak czasza spadochronu więdnie na stoku fali wysokiej jak góra, i wraz z całą masą wody pędzi wprost na mnie. Rzucam się w bok, żeby mnie nie nakryła, lecz za późno: nogi zaplątały mi się w linkach i spadochron, tonąc, ciągnie mnie za sobą. Raz po raz fale przelewają mi się nad głową. Pracuję rękami, żeby utrzymać się na powierzchni i usiłuję uwolnić nogi, ale bezskutecznie: źle nadęta „Mae Westka" prawie wcale nie trzyma. Już piję słoną, gorzką wodę. Już krztuszę się i kaszlę...

Strach podcina mnie jak biczem i nagle jak błysk przelatuje myśl:

— Dinghy! Nadąć dinghy!

Podciągam ją ku sobie. Jeszcze nie znalazłem butli, a już muszę puścić linkę, by znów wydostać się na powierzchnię. Ale po kilku próbach mam wreszcie butlę w ręku; tylko nie mogę znaleźć przetyczki. I znów zanurzam się, znów wypływam kaszląc i zachłystując się wodą...

Butla od dinghy... Gdzie jest butla?!

Czuję że siły mnie opuszczają. Robi się szaro. Dokoła — trzymetrowe ściany wody. Huczy mi w głowie, szumi, wyje. Chyba tracę przytomność... Nie: to silniki; to przecież silniki lotnicze!...

Spoglądam w górę. Nisko, wprost nade mną lecą dwa „Typhoony". Nawet się nie łudzę, że który z pilotów mnie dostrzeże na wzburzonym morzu o zmierzchu. Mogę liczyć tylko na własne siły. Muszę ich oszczędzać, bo...

Podciągam dinghy i tę nieszczęsną butlę. Mocuję się z nieruchomym korkiem i — znów jestem pod wodą... Wypływam, chcę chwycić powietrza, i w tej samej chwili fala uderza mnie w twarz. Krztuszę się, rzygam, duszę się, tonę... Ale instynkt życia jeszcze nie osłabł: znów jestem na powierzchni; znów oddycham. Trzeba uważać na fale. W tej chwili wynosi mnie na gładki grzbiet góry wodnej. Nade mną zawisła mewa. Przekrzywiła główkę na bok i patrzy. Zapewne widziała już nie jedną taką walkę i niejedną klęskę. Jeżeli teraz mi się nie uda — będzie również świadkiem mojej klęski. Więc — oszczędzać siły; myśleć; nie szamotać się.

Płynąc na wznak, raz jeszcze ostrożnie, wolno podciągam ku sobie gumową łódź, odnajduję butlę i oglądam ją dokładnie w przerwach między rzutami fal. Gdzież jest ta zatyczka, którą trzeba usunąć, żeby można było otworzyć kran?...

Jest! Małe kółko druciane, odchylone od korka. Odrywam je bez wysiłku, przekręcam korek i — butla syczy! Reguluję dopływ powietrza, nie spuszczam wzroku z dinghy, która nabiera wreszcie kształtów płaskiej owalnej łodzi. Mewa wciąż waży się nade mną na rozpiętych szeroko skrzydłach. Uśmiecham się do niej:

— Widzisz? Nie dałem się! Teraz już nie utonę. Muszę tylko odpocząć, zanim dokażę nowego wyczynu; zanim wylezę na mój gumowy statek.

To był istotnie „wyczyn"...

Wciągnąłem się na krawędź dinghy i ległem na brzuchu zupełnie wyczerpany. W głowie mi się kręciło, co chwila targały mną wymioty; szczękałem zębami i drżałem z zimna:; w uszach czułem ostry, dojmujący ból. Ale właśnie to zimno pobudziło moją energię: bałem się, że zamarznę na śmierć.

Uchwyty przy burtach dinghy wyślizgiwały mi się ze zgrabiałych dłoni, brakło mi tchu, a serce łomotało, jakby miało pęknąć lada chwila, lecz mimo to zdołałem wreszcie wciągnąć nogi i odwrócić się, żeby usiąść.

Teraz jest już prawie ciemno. Wyczerpuję wodę z dinghy. Ruch rozgrzewa mnie trochę, ale męczę się wkrótce. Zapinam jeden fartuch na nogach, na plecy naciągam drugi, z kapturem na głowę, i chowam zmarznięte ręce pod pachy. Byle wytrzymać do rana: przylecą i wyłowią. Wiedzą przecież, gdzie jestem. Co prawda wiatr oddala mnie od brzegów Anglii, ale dla samolotu przebyta przeze mnie odległość będzie bez znaczenia. Tak, ratunek jest pewny. Tylko przetrzymać noc.

Spoglądam ku północy i okrzyk rozpaczy wyrywa mi się z piersi. Wprost na mnie pędzi niemal pionowa ściana olbrzymiej fali, z której jak okap dachu zwisa biały grzebień piany. Zdążyłem nabrać pełne płuca tchu, po czym — tony wody zwaliły się na mnie przewracając moją łódkę do góry dnem.

Szamocę się z mocnymi fartuchami, by odzyskać swobodę ruchów. Już zachłystuję się, wisząc głową pod wodą. Rozpaczliwym wysiłkiem zdzieram tylny fartuch, krępujący mi ramiona, i uwalniam nogi. Wypłynąłem, i trzymając się dinghy odpoczywam. Potem udaje mi się odwrócić łódkę i znów na raty, nabierając sił po każdym ruchu, wleźć do niej. Lecz już nie otulam się fartuchami: to co sało się przed chwilą, może się powtórzyć...

Moje przewidywania były słuszne: jeszcze siedem razy w ciągu tej nocy fala przewracała mnie wraz z łódką i siedem razy gramoliłem się na nią, wyczerpywałem wodę, poprawiałem linkę, która łączyła mnie z moim gumowym statkiem. Za każdym razem wydawało mi się, że już nie zdołam walczyć nadal o życie. I za każdym razem gdy woda wdzierała mi się do płuc, zdobywałem się na jeszcze jeden wysiłek.

Nad ranem morze uspokoiło się nieco. Fala jest jeszcze duża, ale już nie przewraca łódki. Przetacza się tylko przez nią, napełniając ją wodą, którą ustawicznie wyczerpuję, żeby się rozgrzać.

Nie mam już kubka do wyczerpywania wody: zgubiłem go wraz z wiosłami i — co gorsza — z pudełkiem rakiet. W pokrowcu znalazłem dwa pudełka z żywnością, latarkę, ogrzewacz i żagiel. Latarka niestety nie działa, bo zmokła. Ogrzewacz chemiczny również zawodzi. Otwieram paczkę z żywnością. Pastylki odżywcze „Horliks", czekolada i pastylki na podtrzymanie energii stanowią lepką maź. Próbuję posilić się tą substancją, ale wstrętny smak czekolady rozpuszczonej w wodzie morskiej sprowadza nudności. Zatrzymuję więc tylko gumowy woreczek na wodę i tubkę skondensowanego mleka, resztę zaś wyrzucam. W drugim „hermetycznie" zamkniętym pudełku też woda... Ale pastylki „Horliks" są mokre tylko z wierzchu. Połykam dwie, resztę wkładam do gumowego woreczka, mocno zawiązuję własnym krawatem i chowam w zanadrze.

Słońce wschodzi. Lada chwila spodziewam się samolotów, które przylecą, żeby mnie odnaleźć i sprowadzić pomoc.

Już lecą! Słyszę warkot silników! Coraz wyraźniej! Coraz bliżej!!...

Dwa Spitfire'y wynurzają się spoza fal i lecą „kosiakiem" wprost na mnie. Serce bije mi radośnie:

— To jest organizacja ratownictwa! — myślę.

Samoloty już nad głową. Widzę litery na kadłubach. To nie z nas-ego dywizjonu, ale macham rękami, wołam, wrzeszczę, zapominając, że piloci nie mogą mnie słyszeć.

Minęli mnie... Oddalają się na południe... To nie jest pomoc. To nie poszukiwania... Po prostu lecą na jakiś wypad do Francji...

Słońce bardzo wolno podnosi się nad horyzontem. Wsłuchuję się w ogromną ciszę, wyścieloną szumem fal. Czekam. Czekam, aż warkot silnika przekreśli tę sypką, szeleszczącą, rozchlupotaną ciszę żwawym, wesołym rytmem, który kładzie się na wietrze i podbiega, waha się, opada, to znów się wznosi, znajomy, swój, bliski.

Jest! Słyszę go. Przegina się w przestrzeni i przenika ją dreszczem — raz, drugi... Wdrąża się, tężeje, zbliża się!

Dwa Spitfire'y krążą w oddali. Szukają. Widzę po sposobie latania, że szukają. Z każdym okrążeniem zbliżają się ku mnie. Serce wali coraz mocniej. Już są bardzo blisko. Jeszcze okrążenie, a wezmą mnie w środek. I nagle... kładą się w skręt, lecz w przeciwną stronę...

Może jeszcze wrócą? Może zwiódł ich cień jakiś wśród fal? Może następny wiraż znów pójdzie w moim kierunku?... Nie: oddalają się... Czuję, jak serce zamiera, jak coś kłuje w każdym palcu, boli w krzyżu, szczypie w oczy. Nie mogę złapać tchu. W myślach chaos.

— Koniec! Koniec!!... — dzwoni mi w uszach.

* * *

Słońce już było wysoko, gdy opanowałem się wreszcie i zacząłem zastanawiać się nad sytuacją. Gdybym nie był zgubił rakiet, byłbym uratowany. Gdyby zrobili jeszcze jedno okrążenie — musieliby mnie zobaczyć. Wiatr pędzi mnie stale z dużą szybkością na południowy wschód. Jestem zapewne bardzo daleko od miejsca gdzie wyskoczyłem, lecz przecież powinni się z tym liczyć. Może o zachodzie wznowią poszukiwania? Może będą szukali jeszcze jutro? Może ktoś dostrzeże mnie przypadkiem w przelocie.

Jeśli morze będzie spokojne, mogę przeżyć tydzień, a nawet dłużej. Pastylki i mleko skondensowane powinny wystarczyć na podtrzymanie sił. Tylko — nie mam czym ugasić pragnienia!...

Ledwie o tym pomyślałem, już mi się chce pić; już mącą się myśli; już pierzcha nadzieja.

Czuję piekielny ból w uszach. Każdy podmuch wiatru kłuje, jak igłą w mózg. Bolą mnie wszystkie mięśnie. Rwie w stawach. Mdli, skręca wnętrzności. Jak długo to będzie trwało?...

Przed zachodem słońca, jak przewidywałem, zaczął się ruch w powietrzu. Z początku słyszałem tylko warkot silników i nie mogłem nic dojrzeć w górze. Później zobaczyłem białe smugi sunące po niebie z północy na południe. Wyprawy szły na dużej wysokości.

Widziałem jak wracały. Szły znacznie niżej, ale za wysoko by mnie dostrzec. Poznałem po uszykowaniu nasze skrzydło myśliwskie. Lecą wprost nade mną. Żadnemu z nich nie przychodzi na myśl, że jestem tu, o dziesięć tysięcy stóp pod nimi.

Zapada noc. Znów trzeba się przygotować na wszelkie niespodzianki i na nową walkę z morzem. Tylko — czy warto walczyć? Cóż może przynieść następny dzień? Jeżeli nie znaleźli mnie dziś—to tym bardziej nie znajdą jutro.

Morze jest dosyć spokojne; wiatr po dawnemu pcha mnie wciąż w stronę Francji. Reflektory niemieckie są już znacznie jaskrawsze od angielskich.

Dokoła mnie w wodzie iskrzy się od miliardów świecących żyjątek. Jakieś duże, chyba dwumetrowe stworzenie przemknęło raz i drugi blisko mojej łódki. Wiem, że nie ma tu rekinów, ale — a nuż się jakiś zabłąkał? Trzymam więc żelazny maszt w pogotowiu i nie spuszczam oczu z fal.

Nad ranem słyszę pianie kogutów. Wiatr o świcie ustał zupełnie. Morze prawie gładkie. Na niebie cisza — żadnych samolotów nie widać.

Postanawiam pisać pamiętnik. Pamiętnik na kołnierzyku od koszuli, który zdążył wyschnąć. Oderwałem go i ostrożnie odkręciłem ochraniacz pióra. Atrament jest blady, wodnisty, ale — jest. Drobne litery na strzępie płótna wydają mi się czytelne.

Napisałem coś w rodzaju listu do kolegów i do dowództwa, oraz kolejno — uwagi w sprawie ekwipunku i jego zabezpieczenia na takie wypadki, jak mój. Potem starannie zawinąłem kołnierzyk w ceratowy pokrowiec od opatrunku i schowałem do wewnętrznej kieszeni. Jeżeli znajdą moje zwłoki, może się to przydać: może uratować innych.

Załatwiwszy tę sprawę doznałem uczucia ulgi. Jest ciepło. Słońce grzeje. Dokoła cisza i pustka. Nawet mew nie ma. Myśli płyną ku

moim najbliższym, a pamięć przenosi mnie w coraz odleglejsze czasy. Matka — dzieciństwo — dom rodzinny i tych dwadzieścia kilka lat życia, aż do wybuchu wojny.

Po południu moje ubranie wyschło wreszcie prawie zupełnie. Słońce skłania się ku zachodowi, ale nie czuję chłodu. Za to mam coraz większe pragnienie. Tabletka „Horliksu" już od dwóch godzin nie chce rozpuścić się w ustach.

Pod wieczór usłyszałem samoloty. Szły wysoko, z dala ode mnie, na samym horyzoncie.

Czyżbym był już poza Kanałem?

Przypuszczam, że znajduję się gdzieś na linii Dieppe-Cherbourg, w odległości piętnastu lub dwudziestu mil od wybrzeża Francji. Wiatr północny, wschodni lub zachodni w ciągu jednej doby może dopchać mnie do brzegu, na którym są Niemcy. Tylko wiatr południowy byłby pomyślny. „Każdy kurs północny prowadzi do bazy"... Gdyby zaczęło dąć z południa z taką siłą, jak poprzednio dęło z północy — w ciągu trzech dni mógłbym dotrzeć do brzegów Anglii. Gdyby zaczęło dąć z południa...

Ledwie to pomyślałem, prawie gładka powierzchnia morza zaczęła się marszczyć, później fałdować, a potem szumieć i pluskać. Bryzgi wody raz po raz padały na fartuch dinghy. Fale rosły. Jedna wśliznęła mi się na kolana, druga chlusnęła w plecy.

Płynę! Płynę na północ, o czym świadczy słońce, chyląc się ku zachodowi na lewo ode mnie. Z braku zagubionych wiosełek, służących również za podstawę masztu, opieram go o własny brzuch i rozwijam żagiel.

Przed samym zachodem słońca ujrzałem „Fortece" wracające z wyprawy. Szły wysoko nade mną. Podniosłem głowę i liczę. Wtem bliski warkot silników wstrząsnął mną, jak prąd elektrzyczny. Jedna z Fortec leci nisko, tracąc wysokość. Na jej skrzydłach — dwa Spitfire'y, jakby w kluczu, a dwie polskie czwórki myśliwców patrolują dokoła.

Kręcę żaglem nad głową. Skręcają wprost na mnie!

O Boże! Widzą... Zniżają się!

Serce wali. Pochylają się do skrętu, i — nie: nie widzą... Wyciągają w górę, przekładają w przeciwny skręt, oddalają się. Jeszcze jeden zawód...

Ale wiatr dmie. Wiatr *południowy*. Bądź co bądź, zbliżam się ku Anglii. Wiatr jest mi teraz jedynym sprzymierzeńcem.

Ukląkłem w dinghy, żeby z niej wyczerpać wodę. Niespodzianie nadbiegła duża fala, uniosła mnie, „sprzymierzeniec" dopomógł i wywrócił łódkę. Całodzienne suszenie ubrania poszło na marne. A noc zapada i znów dzwoniąc zębami, dygoczę z zimna.

Wiatr dmie coraz silniej. I cieszę się, i boję się: czarne chmury zaczynają pęcznieć na horyzoncie... Może będzie deszcz? Może ugaszę pragnienie?

Słyszę znów pianie kogutów. Zaczynam podejrzewać, że to złudzenie, bo w uszach mam pełno przeróżnych dźwięków i — boli.

Od pasa w dół zdrętwiałem wskutek siedzenia w zimnej wodzie bez ruchu. Nie mogę poruszyć nogami. Co będzie, jeżeli dinghy znów się wywróci?...

Zaczyna padać deszcz. Strząsam wodę z fartucha i rozpościeram go na kolanach, by nałapać deszczówki. Ale przelotny deszczyk kończy się prędko. Zgarniam odrobinę wody z fartucha pokrywką od latarki i piję. Jest słona...

Już nie panuję nad sobą: wyciskam z tubki ostatnie krople mleka, żeby zwilżyć obolały język. Nie zostało mi nic poza pastylkami. Ale chwilowo doznaję ulgi. Podnoszę wzrok ku niebu. Chmury przeszły; widzę przed sobą Wielką Niedźwiedzicę. Płynę na północ.

— Każdy kurs północny prowadzi do bazy!

Nad ranem budzę się z odrętwienia. Jestem dziwnie obojętny i leniwy. Nie zdaję sobie sprawy, czy spałem w nocy. Każdy ruch sprawia mi ból. Skórę na łokciach mam pościeraną o rękawy; sól morska jątrzy skaleczenia.

Gryzę i połykam suchą tabletkę „Horliksu". Jest zimno. Z niecierpliwością spoglądam na słońce, czekając aż się podniesie, by mnie ogrzać.

Usiłuję przezwyciężyć lenistwo i zaczynam wylewać wodę z dinghy. Ale w tej chwili ktoś mówi mi do ucha:

— Jak ci nie wstyd?! Dogadzasz im, zasługujesz się...

— Komu? — pytam zdumiony.

— Komu? — powtarza głos. — Wing Commandorom. Wing Commman-do-rom!

Nie rozumiem. Nie wiem, co to ma znaczyć. Ale czuję, że ktoś niesłusznie mnie podejrzewa.

— Przecież ja tylko żeby się rozgrzać. O — fala napełnia łódkę prędzej niż mógłbym z niej wyczerpać wodę!

Ktoś za mną śmieje się urągliwie, ironicznie:

— Dogadzasz Wing Commandorom! Ha, ha, ha! Wing Commandorom!

Ten śmiech jest nieznośny. Nie będę wylewał wody! Nie chcę. Pić! Pić mi się chce!

— Krew! Krew! — ktoś woła z góry. — Krrew!

Podnoszę wzrok. To mewy. Dwie z nich chcą usiąść na burcie dinghy. Spłoszyłem je krzykiem:

— Jeszcze nie jestem gotów!

Więc usiadły na morzu i cierpliwie czekają płynąc obok mnie. Patrzę na nie obojętnie. Jestem senny. Przymykam oczy. Po chwili — ktoś gra na harmonii. Aha: to Grzyb z 306 dywizjonu.

Słońce grzeje: miłe rozbierające ciepło rozchodzi się po plecach. Za chwilę zasnę, a wiem że nie powinienem, bo oczekuję przyjazdu Naczelnego Wodza. Miał przyjechać w poniedziałek... Ale — prawda! — przecież ja nie wróciłem z wypadu nad Francję...

Wydaję rozkaz: „Przygotować trumnę do dekoracji!"

Kwiaty, kwiaty, kwiaty! Chryzantemy — rdzawe i białe. Ścielą się, płyną, sypią się z góry. I nagle — jak wybuch granatu — czerwone, skąpane we krwi gwoździki! Idzie od nich podmuch, który rozrzuca chryzantemy na wszystkie strony. Czarne wieko trumny sterczy ostrymi kantami, które rozszerzają się, urastają do rozmiarów domu, hangaru, lotniska... I co teraz będzie? Jakże — — z taką olbrzymią trumną?...

Warkot samolotów przerywa te majaczenia. Otwieram oczy. Na średniej wysokości idzie wyprawa Bostonów, eskortowanych przez Spitfire'y.

Nagle jeden Boston zakopcił, odłączył się od szyku; zawraca, tracąc wysokość w skręcie, i nisko, akurat nade mną wraca do bazy. Dwa Spitfire'y towarzyszą mu wiernie, zachodząc z obu stron szerokim łukiem.

Nie ruszam się: i tak nie zobaczą...

Patrzę na morze. Dokoła mnie płyną kępy wodorostów. Czyżby to miało świadczyć o bliskości brzegu?...

Mijają mnie z szybkością około metra na sekundę.

— Więc jeżeli prąd jest od brzegu, a ja płynę z wiatrem, to robię półtorej mili na godzinę. Niech będzie nawet mila na godzinę, to i tak w cztery dni można przepłynąć cały kanał. A przecież płynę z tym wiatrem już całą dobę. Jeżeli wiatr się nie zmieni, to za trzy dni...

Coraz więcej wodorostów naokoło. Wyławiam sporą ich kępkę i próbuję żuć, ale pieką jak pieprz.

Morze staje się coraz burzliwsze. Muszę uważać, żeby fale nie uderzały z boku, bo mnie wywrócą. Jeden z uchwytów dinghy jest naderwany. Spoglądam z niepokojem na odstający strzępek gumy i nasłuchuję, czy nie zacznie syczeć powietrze. Dopompowywać trzeba coraz częściej.

Fala raz po raz uderza mnie w plecy, oblewając całego, lub wynosi mnie wysoko na swój grzbiet, z którego po chwili zjeżdżam w głęboką bróżdę.

Słońce zachodzi. Chyba spałem, bo przecież niedawno było południe? Wiatr wzmaga się ciągle. Na horyzoncie — chmury.

Może znów będzie deszcz? Oby tylko nie burza...

Pragnienie straszne. Oddech mam krótki i szybki, jak po zmęczeniu. Z trudem przełykam dwie pastylki „na podtrzymanie energii": boję się nocy.

Wiatr napina żagiel, aż trudno utrzymać sznury, które wrzynają się głęboko w namoknięte, ciastowate dłonie.

Płynę na północ. Po zapadnięciu ciemności nie spuszczam z oczu Wielkiej Niedźwiedzicy, która wskazuje mi Gwiazdę Polarną. Konstelacje mrugają ku sobie porozumiewawczo: „On płynie na północ. Wiecie? — Każdy północny kurs prowadzi do bazy".

Ale z dołu, chyba z samego dna morza, ktoś podgląda gwiazdy.

— Ho-ho! On płynie na północ... Wielka Niedźwiedzica twierdzi, że ten w dinghy płynie na północ — chlupocze fala. — I cóż na to Wing Commandorowie?

Ktoś zaśmiał się głośno tuż obok mnie. Chlasnęło po wodzie, zadudniło i nagle — dzwonią dzwonki elektryczne!

Obejrzałem się w tamtą stronę. Daleko, w lewo ode mnie chwieje się na falach jasna, świecąca kula.

— Boja ratownicza! Omal jej nie minąłem...

Zwijam żagiel i zaczynam wiosłować. Może za chwilę będę mógł napić się czystej wody; ogrzać się w ciepłym suchym „śpiworze" i nadać sygnał przez radio?!

Męczę się szybko, lecz wiosłuję nadal, bo światło zbliża się, rośnie, jest coraz jaśniejsze.

Jeszcze sto yardów... Jeszcze osiemdziesiąt... Pięćdziesiąt. Jeszcze tylko parę ruchów...

Wtem świetlista kula rozdwaja się, rozpływa się w dwie różne strony. Na prawo płynie wielki, różowy łabędź; na lewo zwolna zapada pod wodę pomarańczowy słoń...

Przestaję wiosłować. Przecieram oczy. Słoń podnosi trąbę i ryczy żałośnie. Już znikł. Łabędź płynie dalej, kołysząc się na falach w dół i w górę, w dół i w górę...

— Przywidziało mi się chyba — myślę. — Nie ma na świecie różowych łabędzi...

Podnosząc żagiel słyszę złowrogie szemrania. Ktoś narzeka, że się nim wysługuję; że znów dogadzam Wing Commandorom...

— Co to może znaczyć?

Wiatr szarpie żaglem i fale przewalają się przez dinghy. Patrzę na Wielką Niedźwiedzicę, która jeździ po niebie jak na karuzeli. Naciągam sznury, pochylam się w tył i usiłuję uspokoić rozbiegane gwiazdy. Przychodzi mi na myśl, że powinien je ktoś pilnować, bo mogę zasnąć, jestem taki zmęczony... I nagle domyślam się, że gwiazd pilnuje Molly; ta, co usługuje w messie oficerskiej na naszej stacji. No, dobrze, tylko niech uważa, bo może przyjść zmiana kursu.

— Jakto zmiana? — dziwi się Molly. — Przecież każdy kurs prowadzi do bazy...

— Nic podobnego — mówię. — Wcale nie każdy...

Ale ona mi przerywa:

— Panie poruczniku, ukradli Wielką Niedźwiedzicę!

— Już wiem czyja to robota — myślę. — Na pewno przemytnicy. Ale ja ją znajdę.

— Kiedy cała policja mówi, że Wielkiej Niedźwiedzicy nie ma — upiera się Molly. — Ktoś ją wymyślił, ale na prawdę to jej nie ma.

Wiem, że to pomyłka. Trzeba tylko sumiennie poszukać. Schowali ją na pewno w jakiejś książce, którą dawno czytałem. Nie pamiętam nazwiska autora, ale wiem, że i on był przemytnikiem. I wiem, że to było wydawnictwo księgarni „Rój" w Warszawie.

— „Rój" się spalił!—krzyczy Molly. — Nie wie pan, że „Rój" się spalił?

Wzruszam ramionami:

— No, to co z tego? — i zaczynam szukać po ciemku.

Szukałem jednak na próżno. Przykryły ją chmury. Noc stała się atramentowo czarna.

* * *

Ocknąłem się gdy już szarzało. Wiatr zmienił kierunek na północno-wschodni. To mogło przedłużyć moją podróż, ale — cóż mi pozostawało innego, jak żeglować dalej?

Zaczyna się rozwidniać. Spoglądam na północ, i gdy fala unosi mnie w górę — widzę ląd! Ląd, bez żadnej wątpliwości! Białe, kredowe urwisko skalne. Odległość jest jeszcze bardzo duża, ale nie zmniejsza to mojej radości. Żeby mi tylko starczyło sił...

Morze jest burzliwe; obawiam się, że fala wywróci mnie lada chwila. Woda przelewa się przez dinghy. Nie wyczerpuję jej, bo każdy ruch sprawia mi ból. Jestem bardzo osłabiony. Połykam pastylki na podtrzymanie energii. Skutek tych pastylek jest na prawdę nadzwyczajny: siły pomału wracają, a ból ustaje; nawet pragnienie staje się mniej dotkliwe.

Wiatr znosi mnie w prawo. Umocowuję kaprut kotwiczny przy lewej burcie. W ten sposób — jeśli nawet nie płynę ku brzegowi, to przynajmniej stale mam go przed oczyma.

Mijają godziny i wciąż widzę ten brzeg — wciąż jednako odległy...

Próbuję wiosłować masztem, ale to próżna strata sił. Postanawiam więc zdać się na wiatr i — czekać: za dzień czy za dwa dopłynę wreszcie.

Nikt nie wie; nikt nie może wiedzieć, jak długo trwa dzień, jeśli nie spędził go na morzu w dinghy, kołysany, huśtany, zalewany przez fale; kto nie przeżył tych godzin samotnych, ze wzrokiem utkwionym w ląd; kto nie cierpiał wskutek pragnienia...

Boję się zamknąć oczy, boję się zasnąć, obawiam się zapadnięcia ciemności — aby ten brzeg, biały kredowy brzeg, nie rozwiał się, nie zginął. A słońce skłania się ku zachodowi: jest na lewo ode mnie. Za godzinę, może za półtora godziny zacznie się zmierzchać. Spoglądam ku lekko zamglonej tarczy słonecznej. Wzrok mam zmęczony i niepewny: wydaje mi się, że obok słońca błyszczą dwie złote gwiazdy. Nie — przecież nie mógłbym widzieć gwiazd o tej porze i w tej stronie. A jednak coś tam błyszczy na niebie... Rozpływa się w jasnym błękicie i błyszczy znowu. Coraz wyraźniej, coraz wyżej...

Serce zaczyna przyśpieszać. Oddycham z trudem. Nie chcę wierzyć na próżno; nie chcę ulec złudzeniu. Ale połyskujące przedmioty są coraz wyraźniejsze, coraz większe, a pod nimi ukazuje się nad powierzchnią morza — dym!...

Nie mam już wątpliwości; to konwój: statki, chronione przez balony na uwięzi. Idą wprost na mnie. Widzę już maszty i kominy. Obliczam, że muszę się znaleźć między pierwszym a drugim. Przecież muszą mnie zauważyć z pokładów gdy będę między nimi. Wywijam nad głową żaglem. Krzyczę.

I oto lewy zadymił mocniej i pochylił się w lewo, pozostawiając za sobą biały ogon piany.

— Boże! Dostrzegli mnie!

Mały statek handlowy urasta w mych oczach do rozmiarów wielkiego gmachu. Gmachu spełnionych marzeń i nadziei. Już widzę marynarzy stłoczonych na pokładzie. Widzę jak jeden z nich rozkręca nad głową linę, by mi ją rzucić.

Lina pada wprost na mnie. Chwytam ją rękami i zębami.

Szarpnięcie. Uderzam o burtę statku. Dinghy ucieka spode mnie. Ciągną mnie w górę. Słyszę głosy, widzę twarze, oczy, uśmiechy. Ludzie! Ludzie dokoła mnie!!

Kilka par rąk ściąga ze mnie mokre ubranie. Ktoś wlewa mi rum do ust. Unoszą mnie w górę i — Jezus, Maria! — pode mną w dole przelewają się zielone, grzywiaste fale!...

Ze zwierzęcym strachem, kurczowo objąłem za szyję najbliżej stojącego marynarza.

— Nie bój się — uspakaja mnie rosły chłopak. — Tu jesteś bezpieczny. Zawstydziłem się.

— Sorry. Od niedzieli jestem w morzu — powiedziałem, chcąc jakoś usprawiedliwić ten odruch.

Liczą na palcach:

— Niedziela, poniedziałek, wtorek, środa, czwartek.

Pokiwali głowami:

— Zupełnie dosyć...

W kabinie starszego oficera jest upał, ja zaś dygocę z zimna pod kocami na jego koi. Skiper podaje mi po łyku wody, nie pozwalając rękam uchwycić szklanki. Potem prosi o dowody tożsamości.

Nie mam nic, prócz pamiętnika pisanego na kołnierzyku.

— To zupełnie wystarczy — mówi skiper.

Przygotowuje dla mnie własne ubranie i martwi się, że rękawy będą trochę za krótkie.

— Wysłaliśmy już sygnał o tobie na lotnisko — powiada. — Za pół godziny będziemy w porcie; tam już czekają lekarze. Znaleźliśmy cię sześć mil na południe od Beach Head. Teraz idziemy do Newhaven.

Opowiada o sobie, pokazuje fotografie rodziny, zaprasza na urlop i wszelkimi sposobami stara się zająć moją uwagę, żebym nie myślał o piciu.

Wreszcie — zakotwiczamy. Gdzieś mnie niosą, wiozą, znów niosą... Coś dzieje się dokoła mnie, jakieś głosy, dźwięki, coraz dalsze, coraz mniej wyraźne, coraz trudniejsze do rozróżnienia... A potem — szum. Tylko szum, który rośnie, nabrzmiewa, pędzi. Widzę różowego łabędzia, jak rozdwaja się, odpływa. Dwa różowe łabędzie, cztery, osiem — całe szeregi, sznury różowych łabędzi! Potem! — słonie i balony, które rozpycha na lewo i na prawo czarna pionowa krawędź. To dziób statku. Wyją silniki — nie: syreny! I — słońce pęka nad kredowym brzegiem, wylewając na białe skały gęstą, czerwoną maź. Zbieram ją palcem, bo wiem, że to pigułki na podtrzymanie energii tak się rozpuściły. Ach — zalały mój pamiętnik na kołnierzu od koszuli, i — co teraz powie Jean? Tak: co teraz powie Jean?...

Nie znajduję odpowiedzi na to dręczące pytanie. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie mi się podziała. Przecież miałem ją gotową; była w kopercie z napisem: „Każdy kurs północny prowadzi do bazy". Mam tę kopertę z całą pewnością, tylko nie wiem gdzie...

— Boże, jak mi się chce pić!

Otwieram oczy. Jean podaje mi szkladkę. Piję. Nareszcie mi nie bronią. Aha: jest i koperta; leży na kołdrze, którą jestem przykryty.

— *How are you now?* — pyta Jean.

Jean?... Ależ tak: Jean!

— Skąd pani się tu wzięła? — pytam zdumiony.

Śmieje się.

— Nareszcie pan mówi do rzeczy. Ja tu jestem już drugi dzień, od chwili kiedy pana przywieźli.

— Dokąd?

— No tu, na lotnisko.

Aha! Zaczynam rozumieć. Lecz nagle mój wzrok pada na białą kopertę na kołdrze i znów nie jestem pewien, czy mi się śni, czy nie.

Jean domyśla się tego widocznie, bo otwiera kopertę i mówi:

— Nie potrafię przeczytać, bo to po polsku. Ale Jurek mówił, że pan powinien najpierw o tym się dowiedzieć.

Ale ja chcę wiedzieć przede wszystkim, co się działo w dywizjonie. Więc Jean opowiada:

Że kontroler słyszał mój raport o zestrzeleniu Focke Wulffa, który już jest wpisany na moje konto; że zapewne źle mnie namierzono, bo równo-

cześnie ktoś inny wołał „May day"; że szukały mnie Typhoony jeszcze tegoż wieczora, a następnego dnia rano kilka sekcji z dywizjonów angielskich, bo nasi byli nad Francją, lecz po powrocie szukali całą eskadrą. Dwa razy latali aż pod brzeg francuski, wypatrywali, widzieli nawet kawałki drzewa unoszone przez fale, i tylko mnie znaleźć nie mogli. Szukał jeden i drugi nasz dywizjon, i wciąż na próżno. Wreszcie Admiralicja orzekła, że nie mogłem przeżyć tak burzliwej nocy, i że nie ma co szukać dalej.

— A ja przez cały czas wiedziałam, że pan wróci — dodaje Jean.

— Naprawdę? — pytam.

— Naprawdę — mówi z figlarnym uśmiechem.

— Jean, gdybym mógł się ruszać, pocałowałbym panią za to — oświadczam stanowczo.

No i naturalnie Jean całuje mnie w oba policzki.

Wzdycham z rezygnacją: ten pocałunek jest o wiele bardziej „siostrzany", niż bym sobie tego życzył...

— Ale pan to musi przeczytać! — woła Jean podsuwając mi przed oczy ćwiartkę papieru. — To jest depesza.

Czytam najpierw podpis, i czuję, że ogarnia mnie wzruszenie. Unoszę się na łóżku i czytam od początku:

„Niezmiernie cieszę się z ocalenia pana porucznika i nie wątpię, że dojdzie Pan wkrótce do formy po tych ciężkich przejściach.

Żołnierski uścisk dłoni łączę

Naczelny Wódz

Sosnkowski gen. broni".

ZBIGNIEW JORDAN

PIERWSZY DZIEŃ WOJNY Z PIERWSZĄ DYWIZJĄ PANCERNĄ

Gdy ostatniej nocy przed wyruszeniem na pozycję wyjściową układaliśmy się do snu pod siatkami maskującymi nasze wozy, patrząc na błyski raz po raz rozświetlające horyzont, mówiliśmy do siebie po raz ostatni: „Błyski, które dziś jeszcze widzimy przed sobą, oświetlą niezadługo niebo nad nami i nad naszymi głowami przesunie się szum i łopot skrzydeł powoli zanikający w przestrzeni". Gdy padały te słowa, słychać można było czyjś śmiech pełen podniecenia i zakłopotania. Każdej nocy na naszych posłaniach zwracaliśmy głowy w kierunku błysków. Ich częstość i jasność była dla nas komentarzem uzupełniającym komunikat o walkach pod Caen. Stały się one nieodłączną częścią krajobrazu, jak od czasu do czasu dochodzące słowa angielskiej komendy, po których podsuwaliśmy bliżej do wozu nasze głowy, chroniąc je od odłamków przeciwlotniczych pocisków spadających wraz z gwiazdami na sąsiednie pola. W rzeczy samej, dla tej ziemi nie tyle spalonej na kamień słońcem ile ubitej gąsienicami czołgów i stopami żołnierzy, dla tej ziemi z której wygrzane zostało niemal każde żywe stworzenie i teraz żałośnie pustej i zamkniętej w sobie, błyski spod Caen i słowa angielskiej komendy tworzyły tło właściwe i harmonijne.

Tej nocy szybko ucichły rozmowy pod siatkami. Hejnał wieczorny rozlegał się głośniej niż zwykle w zupełnej ciszy obozu. Spaliśmy snem twardym, niezmąconym żadną zmorą i niewypowiedzianą obawą.

Wyczekiwanie czekało na nas wraz z przebudzeniem. Nie ulegało już wątpliwości, iż ruszamy tego dnia. Pytanie: „dokąd" — nie wymagało żmudnych spekulacyj. Mapy przygotowywane wokół wozów, dowodzenia tłustymi, czarnymi literami dawały ostateczną odpowiedź dwoma słowami: Caen i Falaise. Niemal po przekątni mapy przebiegały dwie

równoległe linie. Prosta jest na mapie droga z Caen do Falaise. Nazwy: Cauvincourt, Estrées la Campagne, Grainville, Sassy, Jort były jednymi z licznych napisów, nieodznaczającymi się niczym od innych. Trun, Chambois, Champeaux, Ecorchées były *off the map*. Oczy nasze nie odrywały się od prostej drogi do Falaise. Mówiono po cichu, że generał meldować kazał natychmiast, jeżeli na swej drodze napotkamy tylko piechotę. Myślimy wówczas wszyscy o tym samym: „Idziemy na przełamanie frontu w wielkim stylu". Wyczekiwanie w bezczynności skupia nas co chwila koło map. Koło nich tworzą się grupki, głowy dotykają się wzajemnie, by dostrzec lepiej ten lub ów szczegół na mapie.

Od map idziemy z powrotem do wozów, które stać się mają naszymi domami na dnie, tygodnie, może miesiące. Dziś, gdy wiele czasu od tej chwili minęło, każdy z nas ma niemal osobisty stosunek do swego *half-track'u*. Patrzy z wdzięczością na dziury w pokrywającym go płótnie, na wgłębienia w żelazie jego ścian, na przebite na wylot mniej odporne jego części. Każdy z tych śladów od odłamków ma swoją opowieść i cała załoga wozu zna ją doskonale. Te opowieści czynią nam go bliskim i jedynym. Lecz na początku ile z nim było troski i kłopotu. Póki ciało nie przyzwyczaiło się do jego guzów i występów, sen w nim był trudny i niekrzepiący. Rzeczy nasze w żaden sposób nie chciały się pomieścić w jego wnętrzu. Pamiętaliśmy z urazą wysiłek, który był potrzebny, by zamontować w nim radiostację, rozmieścić akumulatory, umocować anteny, zmieścić „*compo*" i „*jenicany*" z zapasową benzyną. Gdy odchodzimy od grupki skupionej nad mapą, by sprawdzić wykonalność planu nowego rozmieszczenia rzeczy w *half-track'u*, on swoją sztywnością i obojętnością unicestwia go natychmiast. Więc machamy ręką i mówimy z tłumioną złością, iż dobrze jest tak, jak jest. Pozostaje nam tylko czekać.

Nieoczekiwana szansa jazdy do Bayeux skraca moje oczekiwanie. W Bayeux, po raz pierwszy po ośmiu dniach w Normandii, mam sposobność rozmawiać z Francuzami. Na drodze z plaży i na polach, gdzie kazano nam rozbić nasze obozy, nie widzieliśmy ich wielu. Widać ich czasem na podwórzach rozbitych farm, idących samotnie przez pola, z rękoma opuszczonymi, twarzą obojętną. Wydaje się, że ta wojna ma dla nich inne zupełnie niż dla nas znaczenie. Ich mała liczba sprawia, iż zdają się zagubieni w tym zbyt wielkim i niepojętym dla nich świecie. Widząc ich idących krokiem ciężkim, bez zainteresowania do świata, odciętych jakąś decyzją od codziennych zajęć, od trosk o dom, o dojrzałe żyto na polach, o więdnącą koniczynę, myślę o nich często jak o ludziach prostych, o których milczą sagi, legendy i epopeje sławiące czyny mitycznych bohaterów. I dla nich, jak dla owych ludzi prostych z czasów niepamiętnych, wojny, które spadały na ich domy, rodzinę, ziemię, dobytek, zdają się posiadać siłę żywiołów, niepojętych i nieopanowanych w ich klęskach i błogosławieństwach. Przeciw nim nie ma sensu się buntować, nie ma celu ich przeklinać. Żywiołowe klęski trzeba przede wszystkim przetrwać, jeśli taka jest wola złośliwych lub dobrotliwych bogów. Bo sprawy ludzkie i boskie są w takich klęskach dziwnie splątane, w każdym razie sprawy ludzi możnych i potężnych, niemal równych siłą bogom. Ich zamierzenia są dla ludzi prostych niezrozumiałe, a udział bogów niepojęty. Więc trzeba czekać póki złość ludzka nie nasyci się zniszczeniem a bogowie zadowoleni ze swego dzieła nie wrócą do swych odległych siedzib.

Życie w Bayeux ma takie wszystkie cechy tymczasowości. Lecz jest w nim pewna nadzieja i wiara w przyszłość, uwalniająca od przygnębiających myśli, które noszą wokół siebie ludzie spotkani na polach. Wobec nich odnajduję dawne uczucia, które ożywia w wielu z nas słowo „Francja". Pierwsze słowa są trudne i pełne obopólnego zakłopotania, jak w każdym spotkaniu po długim niewidzeniu. Bayeux jest pełne mundurów. Francuzi są widocznie zadowoleni, iż ktoś z tego tłumu w khaki mówi do nich ich własnym językiem. „Vous êtes Anglais?" — pytają się mnie i gdy

dowiadują się, że jestem Polakiem, wydaje mi się, że stają się śmielsi i uśmiech na ich twarzy jest szerszy. Rozpoznają we mnie kogoś ze „swoich". Ze swej strony widzę ze zdumieniem, iż obyczaje mojej kontynentalnej rodziny straciły dla mnie dawną oczywistość. Gdy widzę jak znajomi z daleka zdejmują kapelusze na przywitanie, gdy tworzą się ożywienie rozmawiające grupki przypadkowo spotkanych, gdy M. le Curé przemyka się w rzymskim kapeluszu, a mężczyźni całują ręce spotkanych kobiet, odwracam głowę z lekkim zażenowaniem. Anglicy są wyraźnie ubawieni naszymi kontynentalnymi obyczajami, chociaż dużo wkładają wysiłku, by swym spojrzeniem i mimowolną reakcją wesołości nie zdradzić swego rozbawienia niczego nie podejrzewającym tubylcom.

Na natłoczonych drogach normandzkich porządek jest wzorowy, lecz znać trzeba dobrze własną trasę, by się nie zagubić. Nazwy francuskich miejscowości brzmieć muszą nieco barbarzyńsko w uszach brytyjskich M.P. a ich własny kod dróg i miejscowości nie zawsze jest nam znany. Na pierwszym skrzyżowaniu za Bayeux, pytając się o dalszą drogę, staram się za wszelką cenę podkreślić różnicę między Bayeux i Buhot, miejscem naszego przeznaczenia. *Red-cap* stanowczo nie ma zaufania do mych lingwistycznych zdolności i niewiele zwracając uwagi na moje spellowanie „Buhot", powtarzanym z uporem w łoskocie motorów nieprzerywających się kolumn — „jak Pepperncorn u podnórza wodospadu", mówię do siebie broniąc się przed uczuciem śmieszności — skierowuje mnie zdecydowanie i energicznie w lewo. Mam przekonanie, że źle jedziemy. Lecz machina, której cząstkę stanowię, pcha mnie na drogę nie mego własnego wyboru. Wiem, że machina ta działa sprawnie. Od chwili, gdy wkroczyłem do obozu nad brzegami Tamizy, poprzez wszystkie etapy drogi do Normandii, wymagano ode mnie jedynie możliwie prędkiego i sprawnego wykonania ściśle określonych czynności. Moja inicjatywa własna ograniczona była do powściągania wybryków indywidualizmu. Ileż było śmiechu, gdy ktoś z naszych wodzów brał inicjatywę w swoje ręce. Organizacja brytyjska jest niewidzialna dla oka i niesłyszalna dla ucha, więc zdaniem niedoświadczonych nie istnieje wcale. Milczący sierżanci brytyjscy rozstawieni w punktach o przewidzianej kolejności, niepokaźny *clerk* domagający się jedynie kilku dokładnych informacyj, kucharze za stołami z talerzami, tablice objaśniające, gdzie znaleźć można kantynę, kino i natryski, to wszystko wydaje się ramami niewystarczającymi i zbyt kruchymi. Polak z inicjatywą, postawiony wobec tego faktu, postanawia „zrobić porządek", wprowadzić własne ulepszenia, jednym słowem pokazać, jak się takie rzeczy powinno robić. Powstaje wrzask i wrzawa nie do opisania, zbiórka, odliczenie, padają słowa soczyste i dobitne, Lecz ten, kto poszedł w kierunku milczącego sierżanta brytyjskiego już na miejsce zbiórki nie wraca. Zamęt potęguje się i przerasta możliwości opanowania go. Inicjator organizacji znika i wrzawa nagle cichnie. Wszyscy uspakajają się powoli, złość ostyga, na nowo śmiech ucisza przekleństwa. Jeszcze trochę wahania, niezdecydowania i po jednemu wchodzimy w ramy niewidocznej organizacji. Niewytrąceni z równowagi sierżanci zbierają zagubionych. Teraz już pewni są swojej trzódki i nikt po ich władzę nad nimi nie sięgnie.

Przypominam sobie teraz te sceny i ich widokiem staram się uciszyć uczucie wstydu, że nie wykazałem więcej inicjatywy. Wiem już teraz na pewno, że jestem ponownie na drodze do Bayeux. Nie pozostaje nic innego jak szukać powrotu, podczas gdy moje bardziej indywidualne „ja" beszta moje „ja" bardziej pokorne i ustępliwe.

Na drogach pełno już kolumn polskich. Jedzie artyleria motorowa, artyleria przeciwpancerna, wozy sanitarne i zaopatrzenia. Dywizja jest widocznie w ruchu. Z niepokojem patrzę na zegarek. Minęła już godzina wyznaczona na mój powrót. Robi mi się gorąco nawet w ten upalny dzień sierpniowy. Któż chciałby zgubić swój pułk w przededniu

jutrzejszych wydarzeń? W kilka godzin później, już przed Caen, jakiś młody porucznik meldował się „posłusznie" z plutonem czołgów mojemu dowódcy, pełen niepokoju, czy zdąży dołączyć do swego oddziału przed *zero hour*: „W taki dzień", powtarzał z uporem, „w taki dzień nie być razem z nimi" — i nikt nie mógł go przekonać, że jego obawa jest bezpodstawna.

Dojeżdżam wreszcie na pole, gdzie koczowaliśmy od tygodnia. Dwa szwadrony dragonów, jak się dowiaduję, odeszły już do pułków pancernych. Dowództwo z szwadronem wsparcia i szwadronem odwodowym wyruszy o zmroku. Pogotowie marszowe o tej a o tej godzinie. Obmywając się z kurzu śmieję się teraz z moich obaw i w podnieceniu opowiadam w przesadnych słowach o Bayeux i przygodach w drodze.

Zapada zmrok, zmrok sierpniowy, powolny i niechętny. Ciągle czekamy. Każdy mówi, że dobrze by było przespać się trochę, lecz nikt nie bierze tej rady na serio. Powoli wschodzi księżyc. Na opustoszałym nieco polu wozy nie przybierają już teraz fantastycznych kształtów, jakie im nadawały siatki maskownicze. Tu i ówdzie stoją milczące grupki. Nasze głowy kierują się od czasu do czasu w kierunku Caen, by zobaczyć znajome błyski. Lecz niebo na horyzoncie coraz bardziej ciemnieje i nie przecina je żadne światło biegnące ku górze i rozpływające się na boki. Księżyc nad nami świeci coraz jaśniej. Nasza „orkiestra" nie schowała jeszcze instrumentów. Grają szkockie melodie, polskie kujawiaki, by wrócić jak najszybciej do ulubionych przeboi dancingowych. Niewidoczny chór słuchaczy śpiewa wówczas często słyszane, lecz nigdy nierozpoznane słowa. Pozostaję sam, siedząc w otwartych drzwiach *half-track'u*. Jest mi nieco głupio, iż nic do głowy nie przychodzi. Jest po prostu piękna noc sierpniowa i trudno i śmiesznie myśleć o tym, że ruszymy za chwilę na wojnę.

Załoga wozu zbiera się. Powoli ustawiają kolumnę. Dowódca jest już w wieży i daje umówione znaki latarką. Za chwilę słyszę, jak daje rozkaz dowódcy pocztu, który prowadzić będzie kolumnę do punktu przejścia, skąd odbierze nas regulacja własna i aliancka: „Ruszać". Zatrzaskują się drzwi *half-track'ów*. Siedzimy w zupełnych ciemnościach. Widzę tylne światła prowadzącego nas jeep'a, który wchodzi na szosę. I my ruszyliśmy. Jeszcze jeden podskok na nierównym terenie, jeszcze jedno przełażenie, leniwe lecz pewne kilku ton żelaza naszego *half-track'u* przez wyjeżdżony rów i jesteśmy na szosie i nabieramy szybkości.

Do chwili dojścia do podstawy wyjściowej panuje cisza radiowa, więc nie mam nic do roboty. Moi współtowarzysze milczą w ciemnościach. Nie wiem kiedy, z głową opartą o pręty łóżka polowego, zasypiam.

Nie łatwo wracam do przytomności, gdy ktoś lekko dotyka mego ramienia. Z trudem, by nie obudzić śpiących, dokonujemy z adiutantem zamiany miejsc. Staję w wieży i pęd zimnego powietrza wypędza szybko resztki snu. Drogę i sąsiednie pola zasnuła mgła. Księżyc ciągle jeszcze świeci jasno, lecz jego światło rozpływa się w białej zasłonie. Jesteśmy już na osi naszego marszu. Co chwilę mijamy posterunki, które sygnalizują nam niebieskimi światłami latarek drogę wolną. Niebieskie światła upewniają nas, że jesteśmy na osi właściwej, osi niebieskiej.

Oglądam się w tył. Jedziemy bez świateł, więc wozy trzymają się na ogonach, dachy *half-track'ów* niemal zlewają się z sobą i tworzą ścieżkę uniesioną nad szosą i przesuwającą się szybko, jak szyny kolei w „La Bête Humaine". Tylko na zakrętach ta jednostajnie ciągnąca się wstęga przerywa się co chwilę i przybiera na moment kształty i osobowość wozu biorącego wiraż, by po ułamku sekundy rozpłynąć się w tej nierealnej wstędze przesuwającej się w przestrzeń przed nami. W każdej wieży postać ludzka, zagubiona, pozbawiona w zmroku swej indywidualności i tylko ruch ręki w lewo lub w prawo, podniesionej w górę lub miarowo unoszonej i opuszczanej — znaki ostrzeżenia i komendy dla tych, co jadą za mną — mówią jakimś ludzkim semaforem: „Jestem tutaj i czuwam".

Ogarnia mnie — jak często w Szkocji na nocnej służbie, gdy pod drzewami chodziłem od baraku do baraku i księżyc także świecił gdzieś wysoko nad chmurami — zapewne przesadne i wyolbrzymione, jak wszystkie uczucia w noce bezsenne, uczucie zatroskania i miękkiej pieczołowitości nad tymi, co śpią zleceni mej pieczy.

Zbliżamy się do nowego skrzyżowania i niebieskie latarki ustawione łukiem znaczą drogę dalszego marszu. To niebieskie światło nie jest przyjemne i miłe dla oka. Niebieska zasłona na szkle ochronnym rozwadnia je i nadaje mu zimny, lustrzany charakter. „Cóż mi to przypomina?" — pytam się siebie, raczej retorycznie. Paryż, Montparnasse w marcu 1940 r. Gdy o zmroku skręcało się przy pomniku Balzac'a na bulwar, takie właśnie światła niebieskie i żółte, ochraniające szyby Café de Dôme, Coupole i wielu innych, ciągnących się w kierunku Gare de Montparnasse, o nazwach dzisiaj zapomnianych, wyznaczały granice bulwaru. Za tymi niebieskimi i żółtymi szybami kryło się oślepiające światło wnętrz, gwar ludzkiej plotki, podniesiony głos dyskusji, szmer intymnego szeptu. Jakaś ręka się podnosi, widzę czyjś dobry, dobrze znany uśmiech i jak zawsze w takiej chwili idąc przez salę skanduję słowa Verlainowskiej elegii o knajpie i szynkowni.

Mijamy regulatora u wylotu polnej dróżki zamkniętej ciemnością nocy. Znika Montparnasse z żółtymi i niebieskimi światłami. Idę wąskimi uliczkami ku Luksemburgowi. Na najwyższym piętrze hoteliku koło Sorbony czeka otwarta książka i niedokończone notatki. Spieszę się do nich, lecz chciałbym iść jak najdłużej wzdłuż milczącego parku. „Dość tego", mówię do siebie, „pomieszałeś daty z wydarzeniami i w ogóle nie ma to sensu".

Godziny mijają. Pola nie są już tak bezludne, jak mi się to dotąd wydawało. Na łączkach, za murkami, ukryte wśród krzaków i drzew, stoją wozy i namioty, jeszcze ciche i uśpione. Posterunki przy drodze wołają do nas: „*Hullo Poles*! *Hullo Jokes*!" — odpowiadamy. Zatrzymujemy się na chwilę. Jeden z motocyklistów opiera się o kierownicę i natychmiast usypia. Gdzieś zza górki odzywa się działo. Trzask suchy, jakby dziecięcej, niewinnej zabawki, rozchodzi się szeroko w ciszy poranku. Ktoś porusza się w *half-track'u* i pyta, czy jesteśmy na miejscu. Caen powinno być tuż przed nami. Ruszamy. Anglik przy drodze woła za nami „*Good Luck*"!

Coraz więcej armat, coraz częstsze wystrzały. Wjeżdżamy między ruiny. Poruszamy się drogą, która nie była ulicą Caen. To bull-dozery rozgarnęły gruzy na dwie strony i utorowały przejście w bezkształtnej masie rumowisk rozciągających się, jak daleko okiem sięgnąć mogę. Nie chciałem wierzyć, gdy wczoraj w Bayeux ewakuowany z Caen Francuz mówił do mnie: „Caen n'existe plus". Spod gruzów podnosi się jeszcze gdzieniegdzie dym dopalającej się belki. Czarny kurz podnosi się na drodze, wiatr przynosi zapach spalenizny, zapach trupi. Na drzewie stojącym wśród ruin, wiatr powiewa firanką wyrwaną z okna i ocalałą na jego konarach. Na resztce muru ktoś kamieniem wydrapał „Vive la République". Na kiju wetkniętym między cegły lekko kołysze się la Tricolore. „Spustoszenie", „ruiny", powtarzam machinalnie. Czuję gwałtowną potrzebę, którą zapewne wszyscy, w różnych okolicznościach, w różnych i nieoczekiwanych chwilach na wojnie odczuwają, potrzebę ciepła ludzkiej obecności, usłyszenia dobrze znanego głosu, spojrzenia w czyjeś oczy. Więc cicho, by go nie obudzić, jeśli śpi snem twardym, przełamując z trudem barierę dyscypliny, mówię: „Panie Majorze, jesteśmy w Caen".

Za Orne jedziemy już normalną ulicą. Domy zniszczone wstrząsem i podmuchem, podziurawione od pocisków, lecz trzymają się razem. Gdy minęliśmy je, zjeżdżamy w dół, na płaszczyznę, do której dostęp z takim uporem był broniony. W miarę jak zjeżdżamy w dół mgła gęstnieje,

pochłania wszystko i odbiera rzeczom ich wygląd znany i codzienny. Zimne, mokre powietrze uderza o moją twarz, kropelki wilgoci osiadają na okularach. Nie ma wątpliwości, że jesteśmy blisko frontu. Z mgły dochodzą wybuchy pocisków i huk wystrzałów. Ciągle jeszcze nie mogę ich od siebie odróżnić. Nie ja jeden i nie wszyscy z równą bezkarnością. Sześciu z nas odeszło zanim zdali sobie sprawę, iż osiągnęli linię frontu. Zza zakrętu wypada z wielką szybkością *half-track* kanadyjski, widoczny dopiero, gdy już nas minął. Jedziemy w mgłę coraz gęstszą. Drżę z zimna i podniecenia. „Jakież to dziwne i tajemnicze", mówię do siebie z radością nowego odkrycia i słowa Alice „*Curiouser and curiouser*". w czasie jej podróży do Wonderland, przychodzą mi na myśl. Czuję jednocześnie, że ktoś z dobrych, wiernych przyjaciół czyni mi wyrzuty za to, co przeżywam. Przesuwają się twarze, imiona. „*Three Guineas*" — odnajduję wreszcie i widzę twarz znaną tylko z fotografii. Lecz tajemniczość osłaniająca rzeczywistość poza mgłą, mgłą otaczającą mnie wokoło i tą, która rozpościera się nad moimi uczuciami, przyciąga mocniej niż uczucie wierności przyjaźni, którą teraz nazywam tylko literacką. Staram się zamknąć w słowach i zdaniach ten dziwny stan radosnego podniecenia zanim nie zniknie w zapomnieniu. Zaczynam mimo woli myśleć po angielsku. „*You are leaving behind the world of peace, the world of kindness and of human heart. You are crossing the frontier, beyond which there awaits you pain and cruelty and hideousness of human existence. You are beginning to ride into death, into what is irrevocable and ultimate*". Nie mogę przedrzeć się dalej poprzez własne myśli. Z mgły dochodzi odgłos głośnika radiowego. Roznosi on hałaśliwość „Forces Programme".

„*You make me cheery*
When you call me deary"

zawodzi radio. Zostawiamy je za sobą. Przy następnym głośniku słychać *news'y* poranne. Londyn budził się do swych zajęć codziennych. Zaczynam znowu patrzeć na świat trzeźwo i konkretnie. — Jeep na czele kolumny zatrzymuje się. Z mgły wyłania się postać w stroju motocyklowym i woła: „Czy to dowództwo Dragonów"? Jesteśmy już na podstawie wyjściowej. Wracam na swoje miejsce w głębi *half-track'u*. Okrywam się cały płaszczem by się odgrodzić od świata i po raz drugi niespostrzeżenie usypiam.

Gdy mnie budzą mówiąc: „Czas uruchomić radio-stację, słońce świeci wspaniale i żar przenika gruby, płócienny dach. Odrzucamy szale, zdejmujemy bluzy, zawijamy rękawy koszul, strój w którym odbędziemy całą kampanię francuską. Stoimy w życie przejrzałym o kłosach ciężkich, przegiętych do ziemi. Widzę jak wielu, zanim zeskoczy na ziemię i depcze po nim, ogląda się ukradkiem, jakby wstydząc się tego, co robi. Na podłodze *half-track'u* pali się maszynka polowa i rozchodzi się zapach kawy. Wokół nas ruch. Manewrują czołgi, wozy zaopatrzenia jeżdżą w różnych kierunkach, bateria artylerii pędzi na pełnym gazie, trzy 25 funtówki ustawiają się na stanowiskach i zaczynają grzmieć raz za razem. Powietrze wokół nich drga, wibruje, i wznosi się niebieską kolumną ku niebu. Nikt do nas nie strzela, co unicestwia całkowicie moje wyobrażenie wojny i nasuwa myśl niedorzeczną, że wszystko, co oglądacie, dokonuje się nie na serio, tylko dla pozoru i na niby. Pośpiech wokoło wydaje się niedorzeczny i niepotrzebny, ruch nieskoordynowany, aktywność bezcelowa i do niczego nie prowadząca. Bitwa pod Borodino z „Wojny i Pokoju" przychodzi mi na myśl. Zapytuję się ze zdziwieniem: „Czy wojna już się zaczęła?" Wszyscy patrzą na mnie ze śmiechem i kiwają potakująco głowami, więc nakładam mocniej słuchawki na uszy. W słuchawkach mego współtowarzysza słyszę meldunek z *rear-link'a* Brygady: „Hullo Władek, pułk...otoczył nakazaną miejscowość i przystępuje do likwidacji npla. Będzie gotów za pół godziny. Wzięli jeńców". Więc wojna naprawdę się zaczęła. Przychodzą następne meldunki. Likwidacja skoń-

czona, natarcie rozwija się dalej. „Natarcie idzie pomyślnie", mówi dobrze znany głos w słuchawkach. O.K. mówi mój towarzysz i każdy z nas to samo po cichu powtarza. Nasza artyleria bije coraz szybciej i zawzięciej.

W dniu, w którym po raz pierwszy stanęliśmy na ziemi francuskiej, nasza barka, nieco zbyt obciążona, czekać musiała kilka godzin na przypływ, by dobić do brzegu. Czekając kąpaliśmy się w seledynowej wodzie, wygrzewaliśmy się w słońcu, a załoga barki opowiadała nam historię D-Day na plażach Courseilles. Ich opowiadanie kulminowało niezmiennie w stwierdzeniu, iż morze czarne było od statków i niebo niewidoczne od samolotów. W tych słowach starali się zamknąć trudne do wypowiedzenia przeżycie potęgi, która przyszła od morza, zalała i mocno uchwyciła brzeg kontynentu. Gdziekolwiek ruszyliśmy się, w naówczas wąskim pasie nadbrzeżnym, słowa te, a raczej jakiś ślad odległy przeżycia przez nie sugerowanego, szły za nami. Wszystko co oglądaliśmy, było na olbrzymią skalę, miało rozmach i impet, pewność, opanowanie i cierpliwość człowieka niezwykłej siły fizycznej wobec przeciwności i prowokacyj niewspółmiernych z jego siłą. Gdy II Armia Brytyjska, to najprecyzyjniejsze narzędzie na Froncie Zachodnim, przeniesiona została szybko, sprawnie i niespostrzeżenie spod Caen na odcinek Caument i rozpoczęła ofensywę, która utworzyła jedno z ramion *Falaise pocket*, ofensywa ta obracała się w tysiącach użytych samolotów i setkach wspierających dział. Te fantastyczne liczby nie opuszczały naszych myśli. W pierwszy dla nas dzień wojny przynieśliśmy z sobą na podstawę wyjściową dużo fantazji, dużą dozę ciekawości i awanturniczego ducha, pewien zasób pojęć naiwnych i niedbałości na doświadczenia cudze. Co z tych zasobów nie mieściło się w warunkach, jakie odnaleźliśmy w pierwszych godzinach walki, zostało odrzucone tego samego jeszcze dnia. Lecz owe przeżycie potęgi, skupionej w sobie i miażdżącej, gdy ostatecznie zostaje wyzwolona, dającej pewność zwycięstwa nawet w chwilach ciężkich, nie opuściła nas od tej chwili. Chociaż nie spełniło się ku zdziwieniu wielu oczekiwanie, że tysiące bombowców i setki armat borować nam będą zawsze drogę, po której ruszą naprzód czołgi, posuwając się prostym i łatwym szlakiem od zwycięstwa do zwycięstwa, niemal bez ofiar i poświęceń.

Gdy ruszaliśmy po raz pierwszy z podstawy wyjściowej to złudne oczekiwanie panowało wśród nas niemal wszechwładnie. Może ono było przyczyną, iż byliśmy tego poranku radośni i weseli, śmialiśmy się dużo i beztrosko. Może przyczyną była nieświadomość, duch awanturniczy, rozprężenie po skończonym czekaniu, gdy biegu wydarzeń żadna siła odmienić już nie może? Jedno wydaje mi się pewne. Każdy człowiek, skoro zdecydował się na pewną linię postępowania, którą uważa za słuszną i sprawiedliwą, gdy ma zadanie swoje konkretnie i rzeczywiście wykonać, przestaje całkowicie myśleć o zasadach, które go do tej decyzji doprowadziły. Postawiony wobec ostatecznych spraw życia i śmierci, wobec określonych trudności fizycznych, działa zgodnie z prawami prymitywniejszej natury, prawami jego własnego ciała i jego nieoczekiwanych odruchów. Chęć życia, strach, panowanie nad nim, ze zdublowaną jak gdyby obawą, czy zdoła się go utrzymać w obrębie wzniesionych zapór, stają się codziennym doświadczeniem. Jego droga jest nieodwołalnie wyznaczona i świadomość tego faktu, którą subiektywnie interpretujemy jako poczucie dyscypliny lub obowiązku, napełnia bądź beztroską, bądź uczuciem przygniatającego nacisku. Przestrzeń swobodnego działania woli, poświęcenia, spełnienia obowiązku ponad miarę zwykłą, jest niewielka i ograniczona, zachowanie osobowości w bezosobowym świecie wojny, świecie codziennej śmierci i ran, jest osiągalne tylko częściowo i w sposób niedoskonały.

Gdy przypominam sobie nas samych, gdy po raz pierwszy na wojnie usłyszeliśmy rozkaz „Ruszać!" — prawem kontrastu przychodzą mi na

myśl wydarzenia o kilka dni późniejsze. Wczesnym popołudniem formowały się za Jort trzy grupy pancerne, które różnymi drogami dotrzeć miały do wioski stojącej okrakiem na dwu drogach wiodących z Trun ku Sekwanie — Chambois. Staliśmy pod częstymi salwami „Nebelwerferów" — które są bardzo impresywnym narzędziem śmierci — i nieco słabszym ogniem artylerii. Gdy przekazywałem wówczas rozkaz „ruszać", wysiłek woli każdego człowieka, którego rozkaz ten dotyczył, był niemal widoczny w drgnięciach *half-track'u*, w obrocie ich kół, jakby niechętnych i opornych, zmuszonych wreszcie do posuwania się pod naporem siły potężniejszej niż ta waga żelaza. Widzę jeszcze jak jeden z nich zadrgnął, zakołysał się i opadł na bok z urwanym kołem, ludzi wyskakujących z jego wnętrza i padających na ziemię, motocyklistę z ociekająca krwią twarzą, rękoma wyciągniętymi żałośnie przed siebie, jak człowiek w ciemnościach, i krzyk który przedrzeć się miał przez świst pocisków i detonację wybuchów: „do tyłu", na który obraca się i idzie, jeden człowiek samotny między szeregami posuwających się naprzód *half-track'ów*, przyspieszających na widok rozbitego wozu. Nieco z boku, po zewnętrznej stronie naszej nacierającej kolumny, rusza czołg. Jeszcze słychać ostatnie strzały jego karabinu maszynowego walącego w gęste gałęzie drzew 50 m. przed nim, po których spadają na ziemię ścięte liście, gałęzie i coś, co wydaje się kształtem ludzkim. W tej chwili wyrasta tuż przed nim słup piasku, rozszerzający się do góry jak parasol. Czołg idzie rozpędem, wchodzi w chmurę kurzu, znika na chwilę z oczu i wyłania się ponownie, pozornie niezachwiany. Lecz zatrzymuje się na chwilę, jakby dla upewnienia się, że rzeczywiście ma jechać naprzód. Wokół niego idzie wóz za wozem, czołg za czołgiem. Ich bezwładność raz przełamana nie daje się łatwo zatrzymać. Więc i on rusza ponownie i zwolna otacza się tumanami kurzu, w których ginie z oczu.

Nie tak ruszaliśmy po raz pierwszy z podstawy wyjściowej. Wozy ruszają zdecydowanie, szybko nabierają szybkości. Rozsypują się w lewo i prawo od nas, idą ławą, otoczone aureolą rozpalonego, roztańczonego powietrza. Czołgi pchają się na boki. Małe Stewardy rozbiegają się daleko w pole węsząc i łapiąc wiatr. Inne mają kierunek i formację jak figury w tańcu. Brygada Pancerna rozwinęła się do natarcia jak na ostatnich ćwiczeniach w Yorkshire, jak na tych ćwiczeniach szeroko, pewnie, z fantazją i pewnością siebie. Na skrzydle czołg zaczyna strzelać z karabinu maszynowego. Denerwujemy się, bo nie wiemy do czego. „Po co on strzela?" — pytamy co chwilę. Trudno jest usiedzieć na miejscu. Przed nami, na otwartym terenie, zakrytym dla nas jedynie grupą drzew wokół rozbitej farmy, wśród jabłoni, rozpoczyna się szarża.

Koło farmy zostajemy po raz pierwszy ostrzelani. Jak się później dowiadujemy, był to ogień przedłużony w głąb naszej nacierającej kolumny, który spadł najpierw na prawe nasze skrzydło między czołgi, spieszonych dragonów i ich wozy. Widzę nagle wokół nas wyrastające słupy piasku. Za chwilę sypie się on do wnętrza wozu i podskakuje na płótnie dachu. Nie słychać świstu zbliżających się pocisków. Tłumi go jednostajny szum słuchawek, monotonne brzęczenie zasilacza. Ucho nabrać musi wrażliwości na nowy gatunek podniet, by je wyłowić w otaczającym je świecie dźwięków i hałasów. Ciało nie zna jeszcze ostrzegawczego charakteru zbliżającego się świstu, ledwo wyczuwalnego nacisku i pędu powietrza, a jego znaczenie nie wyzwala żadnych reakcyj. Ciało pogrążone jest jeszcze ciągle w nieświadomości, nastawione na grę wyobrażeń raczej aniżeli na zdarzenia dokonujące się w jego otoczeniu. Doświadczenie jest zbyt nowe, by zrozumieć użyteczność słów Marquis de Saint-Perm: „Eh bien quoi, mes enfants! C'est du canon. Cela tue. Et voilà tout".

Ogień przenosi się dalej i wali teraz w puste pole buraków. Po raz pierwszy obserwuję zjawisko, które mimo swej oczywistości fizykalnej nadal wzbudza we mnie zdumienie. Gdy pocisk pada, najpierw widać

jego działanie. Wznosi się kurz jak na drodze za podmuchem wiatru, wyskakuje potem nagle do góry rozciągając się błyskawicznie w nieprzezroczystą kulę i dopiero wówczas dochodzi do ucha trzask suchy, dźwięczny, ostateczny, jak dźwięk wybijającego godziny Big Bena. W miarę nabywania doświadczenia uczymy się doceniać wagę tego opóźnienia. Im bliżej pocisk pada, tym mniejsze jest ono, chociaż zawsze uchwytne i wyraźne. Obiektywnie mniejsze, lecz nieporównanie dłuższe w naszym oczekiwaniu. Czas nawet wyrazić gdzieś w głębi życzenie by dał się słyszeć wreszcie trzask detonacji, po którym rozchodzi się po ciele ciepła fala rozprężenia niosąca myśl: „jednak nie tym razem". Hans Castorp miał rację, gdy twierdził, że tylko czas, w którym dużo się dzieje wydaje się długi i chwila niedawna jest odległa, pogrążona w niepamiętnej przeszłości. Ruszamy dalej. Jeszcze długo widzę za sobą dachy farmy z rozbitą, rozrzuconą dachówką i gęsto usiane dziurami. Posuwamy się brzegiem pola buraków ukryci za krzakami. Przejeżdżamy rów i wyjeżdżamy w pole pszenicy zamknięte z dwóch stron cienką osłoną sosnowego lasu. Tutaj zatrzymujemy się. Kto może wyskakuje z wozu i wyciąga się w pszenicy. Poranne zakłopotanie znikło bezpowrotnie. Robimy sandwicze i herbatę. Dziwny to piknik w łanie dojrzałej pszenicy. Pociski przelatują ponad naszymi głowami i wybuchają gdzieś z tyłu za nami. Pomiędzy drzewami widać w polu rozciągającym się za lasem nasze czołgi. Teren tam wznosi się nieco i my widzieć już nie możemy na kogo polują i kto na nie poluje. Co chwila padają między nimi pociski. Gdy padają zbyt blisko czołg cofa się nieco i podjeżdża w innym miejscu na stanowisko. Manewrowanie czołgów nie ustaje na chwilę, są ciągle czynne, aktywne i zaczepne.

Nieco na lewo, między dwiema fałdami zakrywającymi całą scenę, rozgrywa się dramat, którego pełnego przeboju jeszcze nie znamy. Nakrywa go z góry chmura dymu palącego się zboża. Twierdzę, że tam jeden z naszych pułków pancernych wpadł w zasadzkę, strzeżony z przodu działami przeciwpancernymi, a drogę odwrotu mając odciętą silną nawałą artyleryjską. Nadsłuchujemy dochodzącej stamtąd strzelaniny. Na sercu robi się ciężko i czujemy naraz ogarniające nas zmęczenie. Niebo nad nami jest czyste i niebieskie, jak w czasie żniw, których tutaj nikt nie zbiera.

Na równoległym do osi naszego natarcia polu rozpętuje się nagle piekło. Artyleria kładzie tam barage, jedną z tych legendarnych rzeczy, o której słyszeliśmy z radia i gazet. Trudno uwierzyć, by jakakolwiek istota mogła wyjść spod niego żywa. Ogień kładziony jest systematycznie, pokrywa metr po metrze i posuwa się naprzód z niesłabnącą energią i zawziętością. Gdy doszedł do fałdy „znika" za nią. Cały horyzont zakryty jest kurzawą, w której kotłują się zdławione już nieco odległością detonacje. Wojna ta jest bezosobista, nie przeciwstawia człowieka człowiekowi, raczej organizację organizacji, siłę ognia sile ognia, odporność na nią jednej strony odporności drugiej. Niewielu jest takich, którzy wiedzą i widzą, że zabijają człowieka.

Nadchodzi zmrok. Nasze szwadrony wracają od pułków pancernych. Dowiadujemy się o stratach, zabitych, rannych. Lista ich długa. Padają imiona, nazwiska. Nad polną dróżką kopią groby dla tych, których nie zdołano jeszcze pogrzebać, lub co dopiero zmarli z ran. Cała beztroska wesołość dzisiejszego poranku wydaje się nagle grzeszna i niewybaczalna. Zmęczenie dosięga stopnia, kiedy każda halucynacja jest możliwa.

Zajeżdżają wozy z zaopatrzeniem. Konieczność zmusza do aktywności, aktywność wyrywa z beznadziejności. Peregrynuję za innymi od wozów do *half-track'ów* i z powrotem. Gdy niosę akumulator, straszliwie ciążący do ziemi i wyrywam nogi z wikłającego je zboża, nad głową przelatuje coś z przeraźliwym świstem i głucho uderza o ziemię. Niewypał. Na odgłos świstu przypadam po raz pierwszy instynktownie do ziemi. Lecz akumulator krępuje moje ruchy i padam na ziemię jak długi. Gdy leżę

jeszcze przez chwilę oddychając głęboko i obwiązując zgniecioną rękę, jakaś straszna złość ogarnia mnie. Klnę cicho i z ulgą po raz pierwszy od dawnego czasu.

Gdy kładę się wreszcie koło radiostacji, przez otwarte drzwi widzę pola, teraz spokojne, spoczywające w ciepłym, miękkim zmroku. Na całym horyzoncie palą się ognie, żyto w stertach, żyto na pniu, kopy siana, stodoły, budynki. Takie ognie palić się będą odtąd każdego wieczoru na horyzoncie, wyznaczając kraniec naszego marszu ku Falaise.

SPIS RZECZY

	Str.
JÓZEF WINIEWICZ — *Dlaczego i jak trzeba zmienić dotychczasową granicę Polski z Niemcami*	81— 93
EMIL ZASŁAWSKI — *Czartoryski i jego Liga Narodów*	94— 98
ZYGMUNT HAUPT — *Kapitan Blood*	99—104
ANTONI SŁONIMSKI — *Modlitwa o szarfę i trunek*	105
BOGUSŁAW KUCZYŃSKI — *Upadek Mussoliniego*	105—113
KSAWERY PRUSZYŃSKI — *Cień Gruzji*	113—128
STEFAN THEMERSON — *Śledztwo — fragment Abstrakcje i Pluskwy*	128—137
PURUCZNIK HERBERT — *„Każdy kurs północny prowadzi do bazy"*	137—150
ZBIGNIEW JORDAN — *Pierwszy dzień wojny z Pierwszą Dywizją Pancerną*	150—159

Cena 4/6

NA WYCZERPANIU

OBIE KSIĄŻKI

ZARÓWNO NA SKŁADZIE GŁÓWNYM
JAK I W KSIĘGARNIACH POLSKICH

WKRÓTCE UKAŻE SIĘ
KIESZONKOWE WYDANIE W PŁÓTNIE

PISOWNI POLSKIEJ

WEDŁUG AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI

BRAK NUMERÓW

zmusza nas do bezwzględnego przerwania wysyłki „Nowej Polski" tym czytelnikom, którzy nie wznowili opłacenia prenumeraty

TOM IV TOM V

Prenumerata roczna na 1945 rok

£1.16.0 **nie zmieniona** **£1.16.0**

★ ★ ★

CZASOPISMO POLSKIEJ MYŚLI

NIEZALEŻNEJ

NOWA POLSKA jest największym i najpoważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

NOWA POLSKA służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

NOWA POLSKA pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów emigracji. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:
Andrzejewski, Baliński, Bartosik, Bloch, Bramson, Broniewski, Cękalski, Ciołkosz, Czarnomski, Czuchnowski, Danilewiczowa, Domański, Dziewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falska, Fiedler, Gazda, Górka, Gotlib, Gross, Grosfeld, Grubiński, Haupt, Hemar, por. Herbert, Horzelski, Hertz, Hładki, Janta, Karpiński, Kittay, Kneblewski, Konarska, Korian, Kossowski, Kot St., Kriedl, Krzywan, Kuczyński, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Lisiewicz, Łagniewski, Łęczyc, Łobodowski, Malczewski, Malessa, Malinowski, Markowski, Machalski, Mrozowicki, Muczkowski, Naglerowa, Nagórski, Olcha, Ordęga, Pawlikowska, Parnicki, Piotrowski M., Połczyński T. J., Potworowski, Pomian, Pragier, Piskor, Pruszyński, M. Pruszyński, Poznański, Piątkowski, Raczyński E., Słonimski, Sokołów, Stankiewicz, Stańczyk, Strzałkowski, Stawiński, Stempowski, Strasburger, Szczerer, Sczepański, Szczerbic, Szczytt-Lednicka, Solski, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Waligórski, Wilk, Wieniewski, Winiewicz, Wilga, Wittlin, Wójcicki, Zahorska, Zasławski, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Żuławski, Żyw.

Nowej Polski zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, a są jednak w przystępnej cenie s. 3/-. Abonament roczny z przesyłką:

w W. Brytanii i Dominiach	£1 16 0
w Ameryce Płn. i Płd.	$7.50
Roczniki Oprawne za 1942	£1 6 0
„ „ „ 1943	£1 15 0
„ „ „ 1944	£2 0 0

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1.

TEL. MUS. 1409.

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub czeków.

Własna piwnica wyborowych win

OBIADY i KOLACJE

Le Coq d'or Restaurant

POD KIEROWNICTWEM OSOBISTYM
G. HENRI SARTORI
Stratton St., Piccadilly, W. I
Tel.: MAYfair 7807-9

POD NOWYM ZARZĄDEM!

RESTAURACJA FRANCUSKA

LA COQUILLE

79, ST. MARTINS LANE.
LONDON W. C.
TEL.: TEMple 8768

W niedziele zamknięta

ESPLANADE

HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej Warwick Ave. na brązowej linii.

聚英酒樓

CHOY'S

CHIŃSKA RESTAURACJA

Najlepsza kuchnia chińska w Londynie
otwarta codziennie od 12—10 w nocy
także w niedziele
26—28, Dean Street, London, W. 1
Tel.: GERrard 6086
Dodatkowych opłat nie dolicza się

Telephon: GER. 6847

HONG KONG
CHOP SUEY
NOODLES

HONG KONG

CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
London, W. 1.

otwarta do godz. 10 w nocy.

Dzięki ofiarności naszych czytelników udało nam się dodatkowo skompletować
53 tomy oprawne 1942 r.
35 „ „ 1943 „ (bez Nr. 12)
90 „ „ 1944 „

Cena za całość 3-ch tomów £5.0.0

OBECNIE wysyłamy w pierwszym rzędzie opłacone z góry zamówienia

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Advertising Offices, The Carlton Berry Co., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

3/- Published by „Nowa Polska" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by JOHN BALE & STAPLES LIMITED (A STAPLES PRESS COMPANY) 83-91 Great Titchfield Street London W 1 3/-

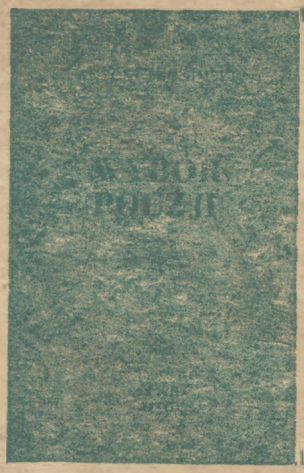

ZAWIADAMIAMY
O
CAŁKOWITYM
WYCZERPANIU
OBU
KSIĄŻEK

L'ESCARGOT BIENVENU RESTAURANT
maison française
Partners: GEO GAUDIN, ALEX GAUDIN (French)
48, Greek Street, Shaftesbury Av. London, W1
Tel.: GERrard 4460

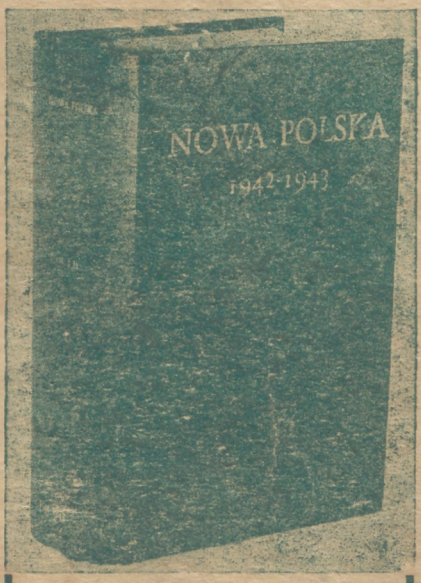

CZY MASZ JUŻ
TEN ROCZNIK
W BIBLIOTECE?

TECZKI
z grubej tektury
sprzedaż w księgarniach polskich
wymiar 25½×31½ cm.
Cena 9d Setka £2.10.0